

*SKICE  
NA PAPIERZE*



*Nikolaja de Lazari*



*Nikołaj de Lazari*

# *SZKICE NA PAPIERZE*

Rękopis odczytała  
Galina Popowska

Przełożył, do druku przygotował,  
wstępem i przypisami opatrzył  
Andrzej de Lazari

Łódź 2014

Oryginał rękopisu wspomnień Nikołaja de Lazari przechowywany  
jest wśród dokumentów Aleksandry (Dolli) de Lazari  
w Centralnym Moskiewskim  
Archiwum-Muzeum Zbiorów Osobistych.

Dziękuję Pani Oldze Abaczijewej i pracownikom Archiwum za pomoc  
w pracy nad tą książką.

Dziękuję również profesorowi Stanisławowi Wiechowi za  
„żandarmskie” konsultacje.

skład komputerowy – Andrzej de Lazari

© Copyright by Andrzej de Lazari, 2014

alazari@uni.lodz.pl

ISBN 978-83-7729-131-3

KSIEŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński  
Oddział Publikacji Zleconych  
90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14  
tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02  
www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2014. Wydanie 1

# *Moim wnukom Jankowi i Zosi*

*Andrzej de Lazari*



## Spis treści

### Andrzej de Lazari

|                                 |    |
|---------------------------------|----|
| <i>Los!</i>                     | 9  |
| <i>de Lazari z Karasubazaru</i> | 13 |

### Nikołaj de Lazari

#### *Szkice na papierze*

|                                                           |    |
|-----------------------------------------------------------|----|
| Rodowód. Dzieciństwo                                      | 37 |
| Korpus kadetów                                            | 40 |
| W Symferopolu                                             | 47 |
| Odessa, Popowa Grobla, Berdyczów,<br>powstanie styczniowe | 59 |
| Pożegnanie z Malwiną                                      | 70 |
| Dwa miesiące w Odessie                                    | 72 |
| W Petersburgu i Wilnie                                    | 73 |
| Aleksandra Engelgardt                                     | 75 |
| Nowa era w moim życiu                                     | 79 |
| W Lidzie                                                  | 80 |
| Znowu w Petersburgu                                       | 82 |
| W Połtawie                                                | 88 |
| Krzemieńczuk                                              | 95 |

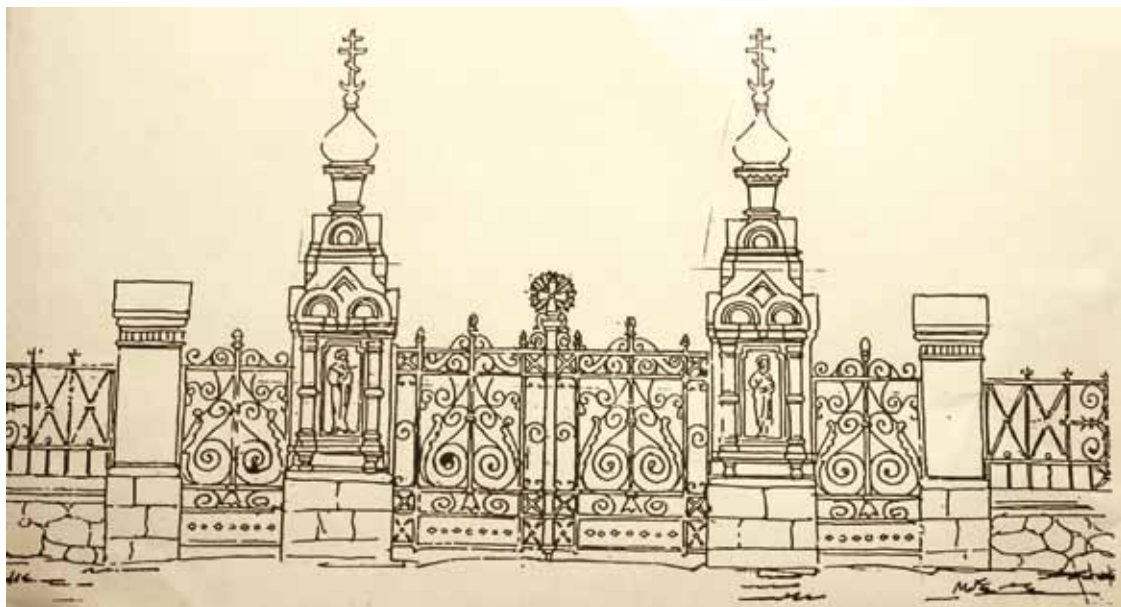
|                                     |     |
|-------------------------------------|-----|
| W Królestwie Polskim                | 109 |
| Rok 1873                            | 116 |
| Kapitan Krupski                     | 122 |
| Inne sprawy podczas służby w Grójcu | 125 |
| Rodzina Engelgardtów                | 129 |
| Znowu w Grójcu                      | 130 |
| Rok 1874                            | 136 |
| Hrabina Prozor                      | 138 |
| Lato w Winiarach                    | 140 |
| Zakup majątku                       | 141 |
| W Warszawie                         | 145 |
| W Radomiu                           | 147 |

### Aneks

|                                    |     |
|------------------------------------|-----|
| Przebieg służby Nikołaja de Lazari | 152 |
| Fotografie z lat późniejszych      | 156 |
| Drzewo genealogiczne               | 161 |
| Posłowie                           | 167 |



*Szkice  
kaplicy cmentarnej, cerkwi i bramy wjazdowej  
na cmentarzu we wsi Dubasiszcze,  
wybudowanych tam w latach 70.- 90. XIX wieku*



## Andrzej de Lazari

### *Los!*

Przypadkowo, szukając w rosyjskim Internecie tłumaczenia mojego tekstu, znalazłem na portalu [www.SmolBattle.ru](http://www.SmolBattle.ru) zadziwiającą notatkę:

„Ktoś na forum wspomniał o marmurowej płycie z tekstem w języku francuskim we wsi Dubasiszcze w powiecie glinkowskim. Postanowiłem sprawdzić; okazało się, że napis jest po rosyjsku: «Generał-major **Nikołaj Nikołajewicz de Lazari**. Urodził się w 1834 roku 21 marca. Zmarł w 1901 roku 24 lutego». Według miejscowych, na początku lat 90. leżał tu jeszcze jeden taki pomnik, ale niestety zniknął”.

Niżej ktoś zamieścił zdjęcie „płyty”. A ktoś inny dopisał: „Widziałem tę płytę już 11 lat temu... również się zainteresowałem... Dziwne, że jej nikt jeszcze nie podiwaniał...”.



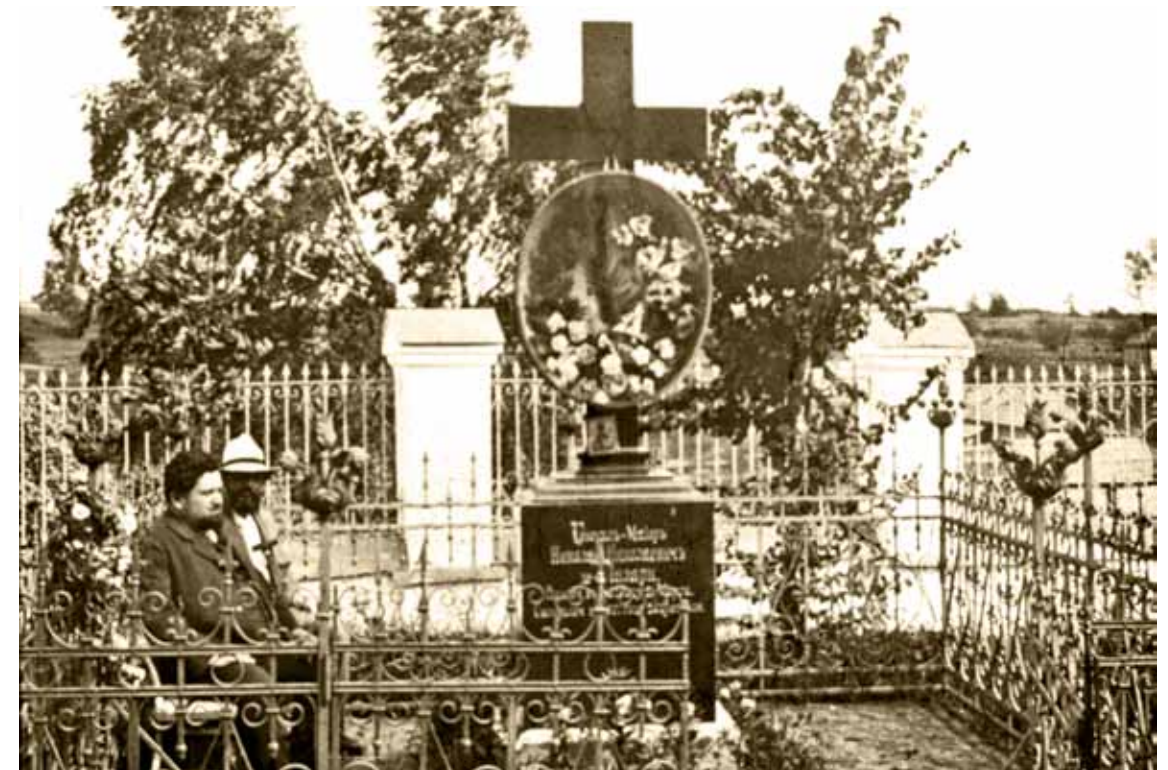


Rzeczywiście dziwne, że „nikt jej nie podiwnił”, że po cmentarzu, kaplicy i cerkwi pozostał tylko ten kawałek nagrobnego pomnika mojego pradiadka, i że znalazłem go w Internecie. Bardzo jestem wdzięczny amatorowi-krajoznawcy, który zainteresował się kamieniem, walającym się w polu i umieścił fotografię na portalu! Dziękuję prawosławnemu ojcu Maksymowi Glinkinowi i Oldze Tierieszkowej z Glinki (ok. 80 km od Smoleńska), którzy zaopiekowali się kamieniem, postavili krzyż, informacyjną tablicę, zasadzili kwiaty, a przede wszystkim – dziękuję mieszkańcom wsi Dubasiszcze, którzy tak przyjaźnie spotkali przy kamieniu mnie i moją żonę oraz daleką „praprawnuczkę” Nikołaja, Galinę Popowską!



*Spotkanie przy kamieniu w czerwcu 2012 roku  
z mieszkańcami wsi Dubasiszcze*

W domu odnalazłem dwie przedrewolucyjne fotografie. Na obu znajduje się mój dziad **Konstanty (1869-1930)** przy mogile swojego ojca; na drugiej obok niego siedzi **Iwan Bażenow (1855-1926)**, mąż **Eugenii de Lazari (1870-1963)**, jednej z sióstr Konstantego.





Obok masy zdjęć na szkłe (dziad był zapalonym fotografem), zachowała się w domu również kopia rękopisu wspomnień Nikołaja Nikołajewicza. Choć rosyjski znam dobrze, nie byłem w stanie przebrnąć przez „jacie”, „jery” i charakter pisma pradziadka.

1. Mama.

Родилась мне предположительно в 1919 году в Ленинграде, в семье Ирины и Андрея Делазари. Отец мой был юристом, а мать – преподавателем. В 1938 году мы переехали в Москву. В 1941 году началась война, и мы были эвакуированы в Ташкент. В 1945 году мы вернулись в Москву. В 1949 году отец мой был арестован, и мы с матерью переехали в Ленинград. В 1952 году отец мой был освобожден. В 1955 году мы переехали в Калининград. В 1958 году отец мой был арестован, и мы с матерью переехали в Ленинград. В 1960 году отец мой был освобожден. В 1965 году мы переехали в Москву. В 1970 году отец мой был арестован, и мы с матерью переехали в Ленинград. В 1975 году отец мой был освобожден. В 1980 году мы переехали в Москву. В 1985 году отец мой был арестован, и мы с матерью переехали в Ленинград. В 1990 году отец мой был освобожден. В 1995 году мы переехали в Москву. В 2000 году отец мой был арестован, и мы с матерью переехали в Ленинград. В 2005 году отец мой был освобожден. В 2010 году мы переехали в Москву. В 2015 году отец мой был арестован, и мы с матерью переехали в Ленинград. В 2020 году отец мой был освобожден. В 2025 году мы переехали в Москву.

Poradziła sobie z tym **Galina Popowska**, której nisko się za to kłaniam. Razem postanowiliśmy wyjść na spotkanie zadziwiającemu losowi kamienia i jednocześnie – rosyjskich i polskich de Lazari.

## de Lazari z Karasubazaru

*Jakie drzewo, taki plód.*  
Z przysłów Tatarów Krymskich

Dopóki żyła moja mama, **Irena de Lazari (1919-1992)**, losem przodków mało się interesowałem. To fascynowało mamę. Co prawda, w końcu lat 70. przyjechał z Leningradu (Petersburga) na Uniwersytet Łódzki wykładowca literatury rosyjskiej, profesor Nikołaj Sokołow (1915-2000) i bardzo mnie zadziwił, gdy pewnego razu oświadczył: „A wie pan, panie Andrzeju, że moja córka wyszła za mąż za Andrieja Delazari...”. Przekazałem tę wiadomość mamie; okazało się, że **Andriej Delazari (1952)** jest praprawnukiem aktora i śpiewaka-gitarzysty **Konstantego de Lazari** (pseudonim **Konstantinow, 1838-1903**), brata mojego pradziada. Później, w połowie lat 80., gdy zbierałem materiały do habilitacji, „zesłano” mnie na staż do Kalinina (Twer), a ja potrzebowałem biblioteki i archiwum Domu Puszkina – Instytutu Literatury Rosyjskiej RAN. Pieniądzy na hotel oczywiście nie miałem. Zamieszkałem u ojca Andrieja, u **Jewgienija Delazari (1924-1992)**. W Polsce mieliśmy wówczas stan wojenny. Ktoś doniósł, że pracuję w Domu Puszkina nielegalnie (wcześniej pracowałem tam pół roku nad doktoratem, nie byłem więc dla rosyjskich kolegów osobą anonimową) i zostałem odesłany przez bezpiekę do Kalinina, a petersburscy Delazari mieli nieprzyjemności.

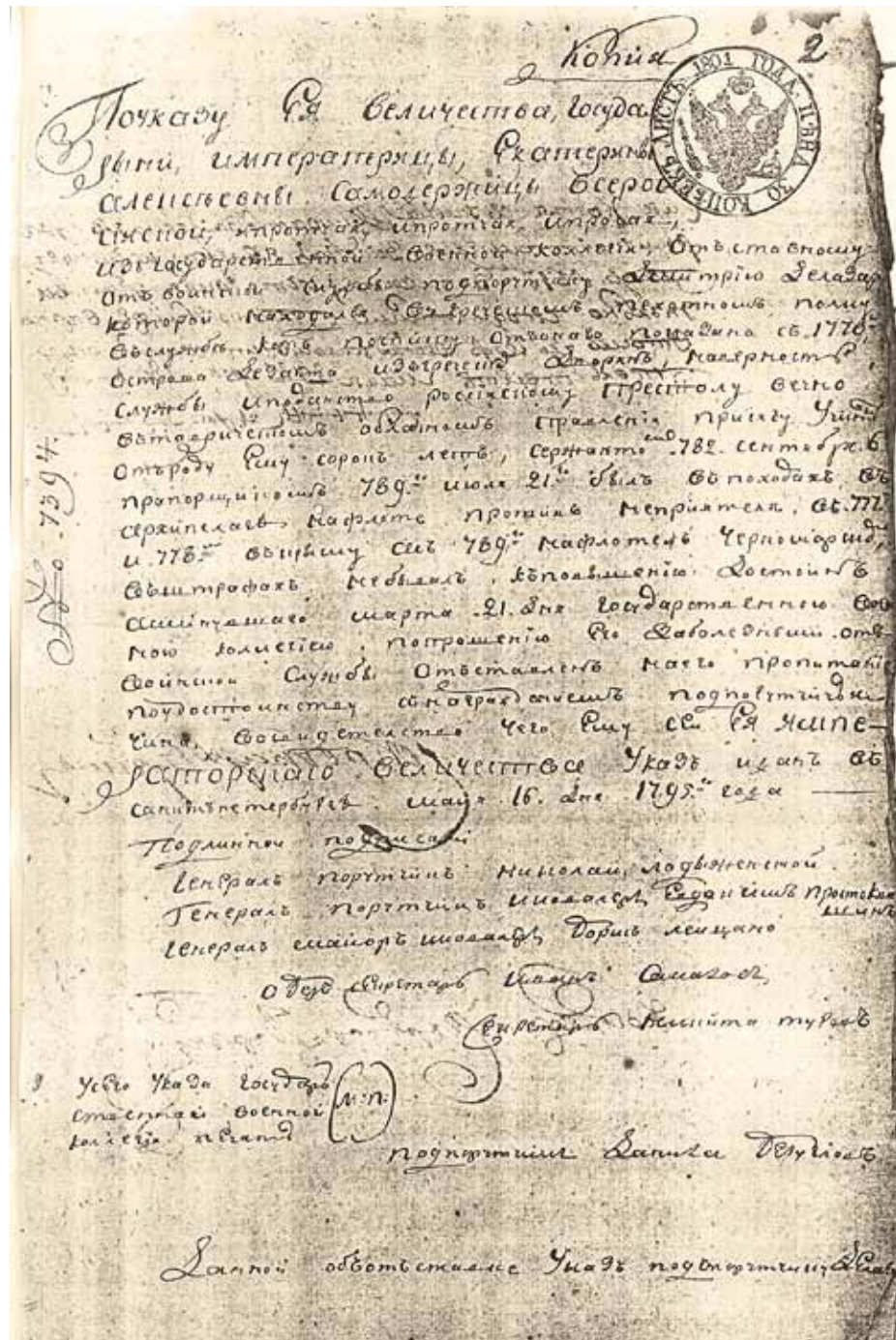
„Imiennie-nazwiskowych” zbieżności jest w naszych rodzinach więcej: panińskie nazwisko mojej żony (Elżbiety) oraz żony Jewgienija (Iryny) brzmi Rusakow, ale tu wspólnych korzeni jeszcze nie odnaleźliśmy.

W 1996 roku (mojej mamy i ojca Andrieja już na świecie nie było), w nowej rzeczywistości politycznej, spędziliśmy z żoną w domu petersburskich Delazari dwa tygodnie, tym razem bez meldunkowych problemów. Wtedy poszliśmy do Archiwum Senatu i znaleźliśmy tam w *Родословной дворянской книге Таврической губернии 1804 года* dokument *Родословная и доказательство о дворянстве Николая Дмитриева сына Делазара*. Dowiedzieliśmy się z niego, że **Dmitrij**, ojciec owego **Nikołaja (1794-1882)**, „pochodzący z greckiej wyspy Dezante”, zaciągnął się na służbę do Pułku Greckiego<sup>1</sup> w 1770 roku.

<sup>1</sup> Grecki Pułk Piechoty powołał Grigorij Potiomkin do walki z Turcją. Zob. М. Фомин. Греки на службе у российской империи: <http://rus-sky.com/gosudarstvo/army/greeks.htm>.



Później udało mi się dwa razy uczestniczyć w konferencjach na Krymie i dzięki znajomości z symferopolskim badaczem, Pawłem Końkowem, zdobyć kopie wielu dokumentów archiwalnych. Najstarszym z nich jest Указ Ея Величества, Государыни Императрицы, Екатерины Алексеевны, Самодержицы Всероссийской и прочая и прочая и прочая:



W Dekrecie czytamy:

„Z Państwowego Kolegium Wojennego do emerytowanego podporucznika Dmitrija Delazari, odbywającego służbę w Greckim Pułku Piechoty jak ze spisu wynika od 1770, z Wyspy Dezante z greckiej szlachty, który na wieczną wierność służby i poddaństwa Rosyjskiemu Tronowi w Taurydzkim Urzędzie przysięgę złożył. Ma czterdzieści lat, sierżantem od 782 września 6. Chorążym od 789 lipca 21. Uczestniczył w wyprawach na archipelagu we flocie przeciwko nieprzyjacielowi w 777 i 778. Na Krymie od 789 we Flocie Czarnomorskiej. Karany nie był, zasłużył na awans. A ubiegłego marca 21 dnia przez Państwowe Kolegium Wojenne na jego prośbę z powodu choroby ze służby wojennej zwolniony. Na jego utrzymanie według zasług wraz z nagrodzeniem stopniem podporucznika to świadectwo otrzymuje od Jej Imperatorskiej Wysokości. Dekret wydano w Sankt Petersburgu, maja 16 dnia 1795 roku”.

W ten oto sposób dowiedzieliśmy się, jak pojawił się na Krymie pierwszy **de Lazari – Dmitrij (1755-1803)**, Grek włoskiego pochodzenia z wyspy Zante (Zakintos), będącej kolonią wenecką. Niestety nie znamy imienia jego ojca (najprawdopodobniej Nicolo), jednak na wyspie nazwisko de Lazari jest szanowane, a w muzeum znajduje się bardzo sympatyczny herb rodu – ręka, trzymająca nad morską falą gałązkę oliwną.



Herby w muzeum na wyspie Zakintos





Z innych dokumentów wiemy, że ożenił się z niejaką Marią Juriewną (1759-?), miał syna Nikołaja (mój prapradziad) i cztery córki: Jekatierinę (1874-?; mąż Fiodor Iwanowicz Kriwonosow – 1765-1827), Warwarę (1792-?; mąż Gieorgij Luludaki), Annę (1798-?) i Elenę (1786-?; mąż Siepan Nikołajewicz Czewati). Według rodzinnych opowieści Dmitrij został zabity z zazdrości w Atenach i tam go pochowano.

Z zachowanego dokumentu z 15 sierpnia 1836 r. o służbie **Nikołaja Dmitrijewicza** (fotografie zamieściłem niżej we wspomnieniach), wynika, że „za wyróżniającą postawę w boju pod siołem Borodino został odznaczony orderem Anny 4-ego stopnia”, że uczestniczył w wielu bitwach i w ślad za wojskami Napoleona doszedł do Paryża. Potem walczył na Kaukazie. W 1823 roku przeszedł w stan spoczynku, został nadzorcą, a następnie dowódcą kompanii w taurydzkiej straży celnej. W 1830 r. w rodzinnym Karasubazarze objął funkcję policmajstra. Pod koniec życia przeniósł się do Odessy do najstarszego syna Jegora. Zmarł tam w wieku 88 lat.



*Karasubazar<sup>2</sup> w 1856 roku. Obraz Carla Bossoli (1815-1884)*

<sup>2</sup> Zob. <http://en.wikipedia.org/wiki/Bilohirsk>.

**Nikołaj Nikołajewicz**, którego nagrobny kamień leży w wiosce Dubasiszcze, należy do trzeciego pokolenia de Lazari z Karasubazaru. Niestety nie był ani artystą, ani śpiewakiem, ani gitarzystą, jak jego brat **Konstantin**. Był żandarmem, jak jego kolejny brat **Wasyl (1831-1899)**, i służył m.in. na terytorium Polski. **Jegor (Grigorij, 1826-1900)**, najstarszy z braci, był urzędnikiem i całe życie spędził w Odessie.

Nikołaj, na szczęście dla jego polskich potomków, nie pojawia się ani w podręcznikach, ani w innych pracach o historii stosunków polsko-rosyjskich. Jedynym znanym mi wyjątkiem jest książka Stanisława Wiecha (*Spółeczeństwo Królestwa Polskiego w oczach carskiej policji politycznej (1866-1996)*, Kielce 2010, s. 344), z której dowiadujemy się, że pułkownik Nikołaj de Lazari zbyt wielu Polaków zwalniał od służby wojskowej i został przeniesiony za to w 1888 r. do Tyflisu, a następnie w 1891 do Erewania. Natomiast z jego wspomnień wynika, że przyjaźnił się z wieloma polskimi ziemianami, gościł u nich i zapraszał ich do siebie.

W 1892 r. Nikołaj został naczelnikiem Omskiego Zarządu Żandarmerii, a w 1898 r. przyznano mu stopień generała majora „z przeniesieniem w stan spoczynku z mundurem i emeryturą”. Dopiero w lipcu 1898 r. zamieszkał w Rudłowie pod Smoleńskiem, gdzie zmarł i został pochowany na cmentarzu we wsi Dubasiszcze.

Nikołaj miał dwóch synów – **Konstantego (1869-1930)** i **Aleksandra (1880-1942)** oraz cztery córki: **Eugenię (1870-1963, Bażenowa)**, **Zofię (1872-1944)**, **Wierę (1876-1970, Łuchmanowa)** i **Ksenię (1877-1969, Szczerbowa)**.

Los **Aleksandra** był tragiczny, jak i większości przedstawicieli rosyjskiej inteligencji w ZSRR. Będąc pułkownikiem carskiej armii zaakceptował rewolucję i dosłużył się stopnia generała majora w armii sowieckiej, jednak w 1941 roku został po raz kolejny aresztowany i w lutym 1942 rozstrzelany jako „uczestnik spisku antystalinowskiego” i „polski szpieg” (zrehabilitowano go w 1956)<sup>3</sup>. Represje dotknęły również jego żonę **Eugenię (1882-1949, Kobylecka)**<sup>4</sup>, mężów córek Nikołaja i ich dzieci. Obecnie wznawiane są w Rosji prace Aleksandra z historii wojskowości, m.in. o stosowaniu broni chemicznej podczas I wojny światowej (zob. A. H. де Лазари, *Химическое оружие на фронтах Мировой войны 1914 – 1918 гг. Краткий исторический очерк*, Научная редакция и комментарии М. В. Супотницкого, Москва 2008).

<sup>3</sup> Zob. *Дворяне: Книга памяти*, <http://pkk.memo.ru/page%202/KNIGA/La.html>

<sup>4</sup> Zob. Ibidem.





*Aleksander de Lazari w 1903 i 1941 r.*



*Eugenia de Lazari z córkami Niną i Dolli; Aleksander z żoną i siostrami*



Pod koniec lat 90. udało mi się odnaleźć w Moskwie córki Aleksandra – Ninę (1906-1997) i Dolli (Aleksandrę, 1904-2004). Szczególnie ciepło przyjęła mnie Dolli. Zachowała nazwisko ojca, choć jej mężem był słynny alista z *Kwartetu Beethovena* – **Wadim Borisowski** (1900-1972). Zachowa-



ła również wiele rodzinnych pamiątek i tradycję rosyjskiej szlachty. Swoje zbiory pod koniec życia przekazała do Centralnego Moskiewskiego Archiwum-Muzeum Zbiorów Osobistych<sup>5</sup>.



Żona Aleksandra, **Eugenia** (1882-1949), z pochodzenia była Polką, córką Józefa Kobyleckiego (1833-1888). Jeden z jej braci, **Julian Kobylecki** (1883-1939), przed rewolucją służył w wojsku carskim, potem przeszedł na stronę polską i walczył w wojnie polsko-bolszewickiej.



W Polsce żyją jego wnukowie i prawnukowie (dziękuję Markowi Kobyleckiemu za udostępnienie legitymacji orderu jego dziadka).

<sup>5</sup> Zob. o niej A. Сабуров, *Последняя институтка*, „Русский Дом” 2001, № 7, <http://www.pravoslavie.ru/rusdom/200107/21.htm>





Zofia de Lazari pozostała panną. Mężem Eugenii był pułkownik **Iwan Bażenow (1855-1926)**, potomek słynnego architekta, Wasyla Bażenowa (1738-1799). Ich córka, **Nadzieжда (1892-1966)**, została żoną ostatniego carskiego ambasadora w Anglii, **Jewgienija Sablina (1875-1949)**<sup>6</sup>, dzieci nie mieli. Wnuk drugiej córki Bażenowów, **Aleksandry de Goguel (1893-1992) – Constantine de Goguel (1942)** – jest aktorem, mieszka z dziećmi w Anglii. Podarował mi kilka rodzinnych zdjęć i listów.

*Zofia, Ksenia, Jewgienija i Wiera*



*Aleksandra de Lazari z córkami: Zofią, Eugenią, Ksienią i Wierą*

<sup>6</sup> Zob. O.A. Казнина, *Русские в Англии: из переписки Е.В. Саблина*, <http://rovs.atropos.spb.ru/index.php?view=publication&mode=text&id=106>

Wiera wyszła za mąż za znanego w owych czasach żeglarza Dmitrija Łuchmanowa<sup>7</sup> (1867-1946; Wiera była jego drugą żoną, miał jeszcze trzecią).



*Wiera Łuchmanowa; Walentyna de Lazari (Dylewa, pierwsza żona mojego dziada) i Konstanty z córkami: Aleksandrą (1897-1988), Eugenią (1900-1934), Walentyną (1893-1916); Dmitrij Łuchmanow*

Ich wnukowie, prawnukowie i praprawnukowie mieszkają w Rosji, Holandii i na Łotwie.

<sup>7</sup> Zob. m.in. Д. Лухманов, *Жизнь моряка*, [http://royallib.ru/book/luhmanov\\_dmitriy/gizn\\_moryaka.html](http://royallib.ru/book/luhmanov_dmitriy/gizn_moryaka.html)





*Dmitrij Łuchmanow, Zofia de Lazari  
i Wiera Łuchmanowa*



*Aleksander de Lazari  
i Wasyl Szczerbow*

Ksenia de Lazari wyszła za  
mąż za **Wasyla Szczerbowa**  
(1873-1918), bogatego zie-  
mianina z Rudłowa w guberni  
smoleńskiej (miejscowość już  
nie istnieje). Rodzina Szczer-  
bowów była ściśle powiąza-  
na z innymi znanymi rodami  
Smoleńszczyzny. Matką Wasy-  
la była **Olga Drucka-Sokoliń-**

**ska** (1850-1918), zaś mężem jego siostry Jekatieriny – **Nikołaj Opoczinin**  
(1853-1917), tamtejszy marszałek szlachty. Warto również wspomnieć, że  
matka Nikołaja, **Jelizawieta Achwierdowa** (?-1860), była siostrą gubernator  
Smoleńska, **Nikołaja Achwierdowa** (1800-1876).



*Dmitrij i Wiera Łuchmano-  
wowie, i ich dzieci: Nikołaj  
(1904-1939, zginął w łagrze)  
i Ksenia (Goldberg, 1903-  
2001)*



*Wasyl i Ksienia  
Szczerbowowie*

W Rudłowie pradziad spędził swoje ostatnie lata w kręgu rodziny. Z tego  
okresu zachowała się masa zdjęć, zrobionych przez jego starszego syna,  
mojego dziada – Konstantego. Oto kilka z nich:







*W Rudłowie w sadzie*



*W Rudłowie. Poniżej: Jewgenija (Bażenowa), Ksenia (Szczerbowa), Aleksandra, Konstanty, Walentyna Dylewa (de Lazari) i Iwan Bażenow*



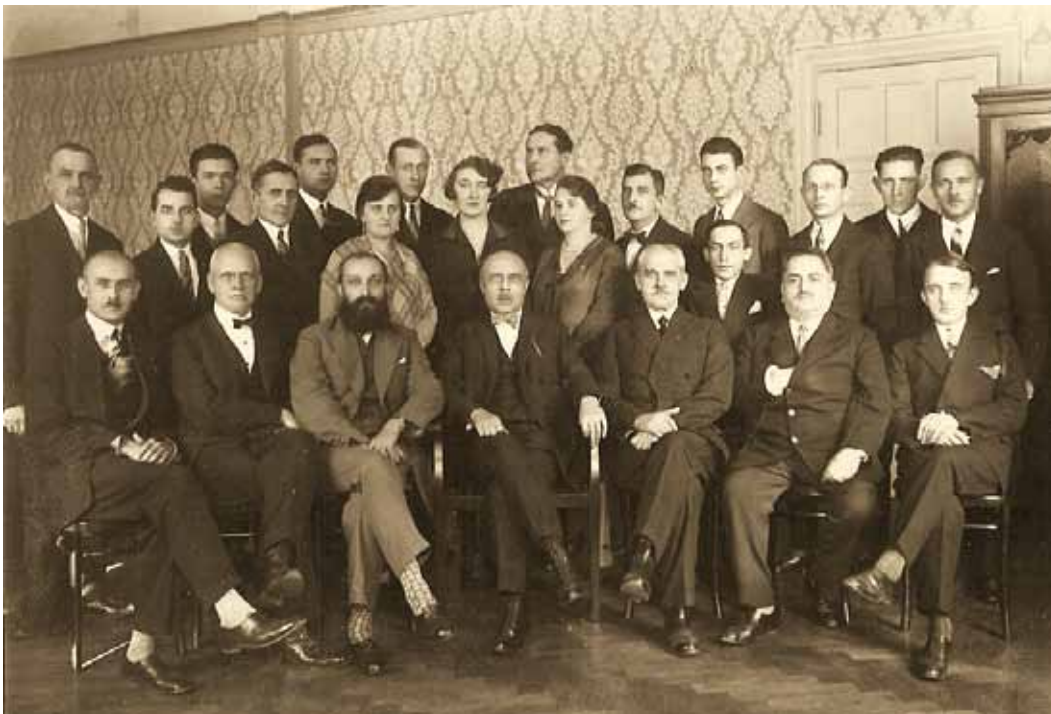


Rudłowo drogie jest mojemu sercu jeszcze z jednego powodu – tam urodziła się moja mama, **Irena de Lazari (1919-1992)**.



*W Rudłowie: babcia –  
Natalia de Lazari (1897-  
1957) – z moją mamą  
w wózku*

Dzięki temu, że dziadek Konstanty przez kilka lat pracował na terytorium Polski jako urzędnik do spraw włościańskich i posiadał niewielki majątek w Żuchowicach (pod Piotrkowem), udało mu się w 1922 r. uciec „na polskich papierach” z bolszewickiej rzeczywistości. Majątek sprzedał, by rozliczyć się z pierwszą żoną, i osiadł w Łodzi jako pracownik Urzędu Skarbowego.



*Izba Skarbowa w Łodzi – lata 20. XX w..  
Drugi z prawej siedzi Konstanty de Lazari*



*W Łodzi, w 1926 r. w Parku Helenowskim*



*Irena i Ija de Lazari*



W Polsce dziadek miał trzy córki: **Irenę** (moją mamę), **Iję (1921-1994)** i **Ludmiłę (1924-1997)**.





*Irena (trzecia z lewej) i Ija (druga z prawej) wśród prawosławnych uczniów Gimnazjum Niemieckiego w Łodzi (1933 r.)*

Ija została znanym nie tylko w Polsce etykiem, profesorem Uniwersytetu Łódzkiego, autorką rozpraw o Mahatmie Gandhim, Albercie Schweitzerze, o tolerancji. Jej mężem był **Tadeusz Pawłowski (1924-1996)** – logik i estetyk, również profesor Uniwersytetu Łódzkiego. Pochowani zostali na Starym Cmentarzu w Łodzi. Ich córką jest Joanna Pawłowska (1953).



*Ija  
i  
Ludmiła  
de  
Lazari*



Ludmiła wyszła za mąż za **Zbigniewa Skotnickiego (1920-1998)** – wspaniałego człowieka z piękną kartą akowską. By uniknąć prześladowań, wyjechał w 1945 roku na „ziemie odzyskane”. Z wykształcenia był inżynierem-rolnikiem – początkowo więc agronomem, później – dyrektorem kwitnących PGRów na terenie Pomorza i Wielkopolski.

Ludmiła i Zbigniew Skotniccy pochowani zostali w Poznaniu. Ich dzieci – Jarosław (1947), Aleksandra (1949), Piotr (1951) – oraz wnukowie i prawnukowie mieszkają w Poznaniu i w Zielonej Górze.

*Ludmiła i Zbigniew Skotniccy*

U Ludmiły i Zbyszka do końca swych dni mieszkała Natalia de Lazari. Była kochającą babcią.

*Modlimowo koło Gryfic.  
Babcia Natalia z wnukami:  
Jarosławem, Andrzejem,  
Aleksandrą i Piotrem.  
Obok stoi Ija de Lazari*







Irena za mąż nie wyszła, a o moim ojcu wiem mało. **Dymitr Piczugin**, wojskowy lekarz i mama poczęli mnie w obozie Deuchendorf bei Kapfenberg w Austrii pod koniec wojny. Gdy obóz został wyzwolony przez wojska sowieckie, mamę odesłano do Polski, co stało się z ojcem – nie wiadomo. Pewnie trafił do kolejnego łagru – tym razem sowieckiego. Poszukiwania przez Czerwony Krzyż zakończyły się niepowodzeniem. Pozostało po nim tylko jedno małe zdjęcie wycięte z większego.



Ponieważ mama biegle знаła rosyjski i niemiecki (ukończyła w Łodzi Gimnazjum Niemieckie) w obozie przydzielono ją do opieki nad dziećmi wywiezionymi z okupowanych terenów ZSRR<sup>8</sup>. Później dziećmi opiekowała się do końca życia – najpierw mną, potem tymi, z którymi nie radziły sobie domy dziecka. W 1971 r. uhonorowano ją pięknym odznaczeniem – Orderem Uśmiechu.



*Odznaczenie Ireny  
(druga z lewej)  
Orderem Uśmiechu*

<sup>8</sup> Jej wspomnienia z pobytu w obozie oraz wspomnienia o niej zostały zamieszczone w: *Убитое детство. Сборник воспоминаний бывших детей-узников фашистских концлагерей*. Выпуск 1. «ИНКО»: С.-Петербург, 1993.

Nazwisko de Lazari w Polsce noszę tylko ja, moja żona **Elżbieta** (nauczycielka i tłumaczka) i nasza córka **Katarzyna de Lazari-Radek**, która poszła śladami Iji, swej ciotecznej babki – jest doktorem filozofii i wykłada etykę na Uniwersytecie Łódzkim. Jej mężem jest **Paweł Radek**, łódzki prawnik.



*Elżbieta de Lazari, Katarzyna de Lazari-Radek i Paweł Radek*



*Nasze wnuki - Zosia i Jaś*

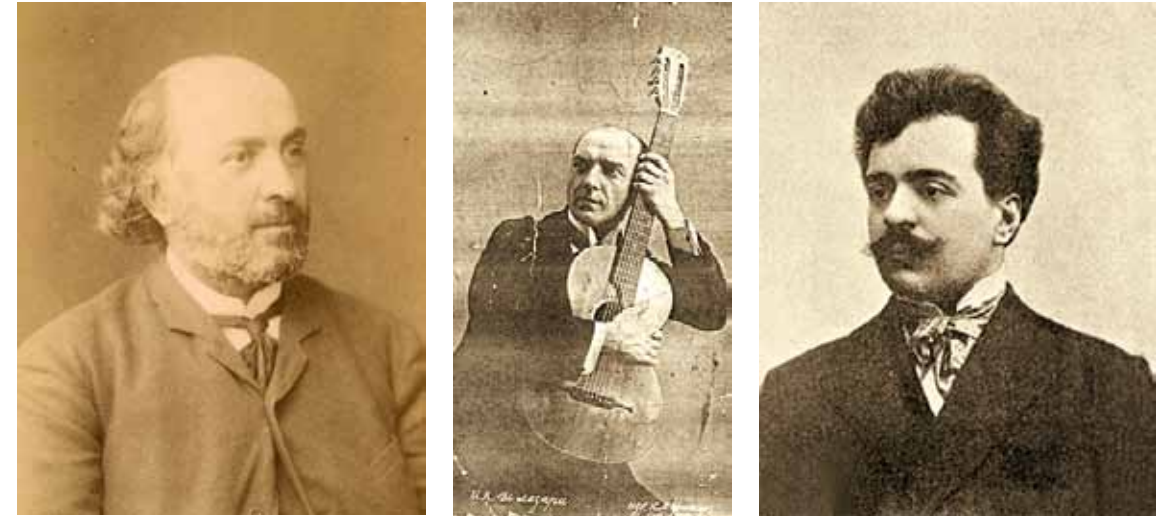


Jedyną moją wierną pomocnicą w badaniach historii przodków jest **Galina Popowska** z gałęzi Szczerbówów. Nasz związek rodzinny wygląda następująco: **ja** – moja mama **Irena** – jej ojciec **Konstanty** – jego siostra **Ksenia** – jej mąż **Wasył Szczerbów** – jego siostra **Jekatierina (Opoczynina)** – jej córka **Jekatierina Strazdyń**, jej córka **Ada Popowska** – jej córka **Galina Popowska**



*Rodzina Galiny: córki – Jekatierina i Aleksandra, mąż – Siergiej Driazżyn, ojciec – Bogdan Popowski, brat Jurij i Galina (na zdjęciu nie ma przybranej córki Galiny – Marii)*

Delazari mieszkający w Rosji – w Moskwie i w Petersburgu (nazwisko piszą łącznie) – to potomkowie **Konstantego (Konstantinowa)**, aktora-gitarzysty (brata Nikołaja Nikołajewicza) i jego synów.



*Konstanty de Lazari (Konstantinow) i jego synowie: Iwan (1871-1931, Wania, gitarzysta) i Nikołaj (1871-1941, pisarz)*

O niektórych z nich wspomniałem wyżej. Niestety, przeszłość rodu mało ich interesuje.

W weneckiej książce telefonicznej de Lazari jest bez liku...



*Dionizy de Lazari (1764-1838), arcybiskup z wyspy Zante*



*Nikolaj de Lazari*

*SZKICE  
NA PAPIERZE*



## [Rodowód. Dzieciństwo]

Osiągnąwszy wiek, w którym życie staje się zrozumiałe, mimo woli wraca się do przeszłości. Wspomnienia o niej (pewnie nikomu niepotrzebne), mają wpływ na dzień dzisiejszy. Zatrzymawszy się na tej myśli, postanowiłem zapoznać moje dzieci z tymi wspomnieniami, szkicując na papierze to, co pamiętam i co pod koniec życia dręczy mnie. „Oby tylko pamięć nie zawiodła” – myślę sobie, przystępując do tych szkiców. Rozpocznę od lat najmłodszych, od tego, co zachowało się w mojej pamięci w 57 roku od narodzin.

Mój ojciec wychowywał się w 2. Korpusie Kadetów i po zakończeniu nauki w 1806 r. został powołany do Lejb-Gwardyjskiego Fińskiego Pułku. Z opowiadań moich zmarłych rodziców, ojca i matki (z domu Achwierdowej<sup>9</sup>, rodzonej siostry byłego gubernatora guberni smoleńskiej, generała-lejtnanta Nikołaja Aleksandrowicza Achwierdowa<sup>10</sup>, i córki generała Aleksandra Isajewicza Achwierdowa<sup>11</sup>, byłego wychowawcy śp. imperatora Mikołaja I), pamiętam, że na początku małżeństwa, byli oni bardzo szczęśliwi.



*Nikołaj Dmitrijewicz  
de Lazari*

<sup>9</sup> Jelizawieta Aleksandrowna Achwierdowa (?-1860).

<sup>10</sup> Nikołaj Aleksandrowicz Achwierdow (1800-1876) – rosyjski generał pochodzenia gruzińskiego, wojskowy gubernator Smoleńska, senator.

<sup>11</sup> Aleksander Isajewicz Achwierdow (?- 1808) był komendantem Kizlaru (Dagestan) i uczestniczył w walkach na Kaukazie, a następnie w wojnie przeciwko Napoleonowi. Natomiast wychowawcą synów Pawła I był jego brat Nikołaj Isajewicz (1754-1817).



*Jelizawieta Achwierdowa  
de Lazari*

Ojciec, będąc w młodości porucznikiem, należał do tych oficerów, którzy weszli w skład organizatorów Lejb-Gwardyjskiego Pułku Wołyńskiego, a następnie Litewskiego, jednak za jakiś pojedynek w Warszawie, podczas namiestnictwa wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza, trafił do Ławry Piecherskiej, a potem został zesłany na Kaukaz, gdzie ożenił się z moją matką.

Urodziłem się [21 marca 1837 roku] na Krymie w Karasubazarze [dzisiaj – Biełogorsk], gdzie ojciec mój był policmajstrem. Rodzice mieli dwa domy w Karasubazarze, winnicę w Sudaku, dom w Teodozji, gdzie spędziłem dzieciństwo, i w ogóle byli ludźmi zamożnymi. Choć ze słów matki rodzice mieli dwanaścioro dzieci, ja pamiętam sześcioro łącznie ze mną: najstarszy brat Jegor<sup>12</sup>, drugi – Wasilij<sup>13</sup>, siostra Jekatierina<sup>14</sup>, brat Dmitrij<sup>15</sup>, ja i brat Konstantin<sup>16</sup>.

Z okresu od 7 do 11 lat zapamiętałem nienormalny stosunek ojca do matki i rodzeństwa, który później miał ogromne znaczenie w życiu każdego z nas. Ojciec, niech spoczywa w spokoju, miał nader drażliwy charakter, szukał rozrywek na boku, mało troszczył się o matkę i o nasze wychowanie, więc my, bracia Dmitrij, Konstantin i ja, byliśmy pozostawieni swemu losowi. Dobrze pamiętam, jak biedna matka często wylewała gorzkie łzy, a ja nie znałem przyczyny tych łez. Życie nasze upływało wśród zabaw na ulicy z prostymi chłopakami i każde drobne dziecięce przewinienie lub wybryk pociągały za sobą ojcowską okrutną karę. Najczęściej dostawało się mnie, ponieważ byłem

<sup>12</sup> Jegor, Grigorij (1826-1900), żona – Maria Grigorjewna Stratonowicz.

<sup>13</sup> Wasilij (1831-1899) – generał żandarmerii (służył m.in. w Chersoniu i Pietrozawodsku), żona – Anna Michajłowna Bielajewa..

<sup>14</sup> Jekatierina (1834-1854), mąż – major Mazan.

<sup>15</sup> Dmitrij (1835-?).

<sup>16</sup> Konstantin (1838-1903) – pseudonim sceniczny Konstantinow, aktor, śpiewak, gitarzysta, przyjaciel m.in. Aleksandra Ostrowskiego, zob. [http://dic.academic.ru/dic.nsf/enc\\_biography/18703/%D0%94%D0%B5](http://dic.academic.ru/dic.nsf/enc_biography/18703/%D0%94%D0%B5).



skryty, skupiony na sobie samym i gdy ojciec wypytywał o dokonany przez nas wybryk, zawsze milczałem, nie reagując na jego krzyki i wyzwiska pod moim adresem. To uporczywe milczenie wyprowadzało go z równowagi i dręczenie mnie nie miało końca. Nie łatwo wspominać to wszystko, a jeszcze trudniej pisać o tym, dlatego, nie wdając się w szczegóły wszystkich epizodów mojego dzieciństwa, przytoczę tylko jeden fakt, który zapamiętałem na całe życie.



*Jelizawieta Achwierdowa z dziećmi  
(Jekatieriną, Dmitrijem i Wasilijem)*

Na naszym podwórku rosła wysoka czerwona morwa. Pewnego razu w trójkę (z Dmitrijem i Konstantinem) wleźliśmy na drzewo i zaczęliśmy zrywać owoce. Z pasją oddałem się tej przyjemności i nie zauważyłem, że ubrudziłem białą letnią koszulę i spodnie. Nasza stara niania zawołała nas na obiad, więc pobiegliśmy do domu. W jadalni zastaliśmy ojca, mamę i siostrę, siedzących przy stole. Ojciec, widząc moje poplamione na czerwono ubranie, wstał od stołu, zbliżył się do mnie i zapytał: „Co to takiego?” Czułem się winny, więc milczałem. Ojciec podszedł do krosienka z haftowaną poduszką, wyjął wałki, na które nawinięta była kanwa, a następnie całe krosienko połał na mnie. Bił do tej pory, dopóki nie straciłem przytomności, a następnie podniósł mnie za kołnierz z podłogi i wyrzucił do sąsiedniego pokoju, zamykając drzwi na klucz. Przeleżałem tam na podłodze do rana.





Pamiętam, że następnego dnia wezwano doktora, który postawił mi na szyi pijawki, a ojciec usiadł na moim łóżku i podarował mi 3 srebrne ruble. Po tym zdarzeniu nie brałem już udziału w żadnych dziecięcych zabawach, wciąż byłem zamyślony, milczący i sąsiedzi przezwali mnie filozofem.

*Nikołaj Dmitrijewicz*

## [Korpus kadetów]

Tak przeżyłem w domu rodziców do czasu, gdy mnie, Dmitrija i Konstantina odwieziono w 1848 roku do Petersburga. Dmitrija ojciec oddał do Pułku Szlacheckiego, a mnie i Konstantina do 2-go Korpusu Kadetów. Dyrektorem korpusu był w tym czasie generał Bibikow<sup>17</sup>, były kolega mojego ojca, dzięki czemu zostaliśmy przyjęci w poczet kadetów, choć zupełnie nie byliśmy przygotowani do egzaminów. Mimo niełatwego życia w domu (pamięć o biednej mamie i rozłąka z nią też miały tu znaczenie), smutno było żegnać się z ojcem. On, oddawszy nas do korpusu i pożegnawszy się z nami, ani razu później podczas swojej bytności w Petersburgu nas nie odwiedził.

Zrobiło się jakoś dziwnie i nieprzyjemnie, gdy zostaliśmy z bratem sami wśród nieznaney nam masy kadetów. Jednak po pewnym czasie, gdy bliżej poznaliśmy kolegów, duszą i ciałem weszliśmy w to życie, nie zważając na zadawane nam przez starszych kadetów udręki i doświadczenia, przez które musiał przejść każdy żółtodziób. Tradycja była przekazywana z roku na rok i mimo uciążliwości stosowanych w korpusie metod wychowania, do tej pory często wspominam ten cudowny czas. Z każdym dniem coraz bardziej byłem wciągany w zamknięty świat kadeckiego życia, gdzie

<sup>17</sup> Apollon Iljicz Bibikow (1795-1866).

zyskałem znakomitych i godnych zaufania przyjaciół. Wszyscy koledzy szybko nas polubili i w niedługim czasie staliśmy się „starymi kadetami”. Ten tytuł otrzymywali tylko ci, których ceniono w kadeckim środowisku i którzy przewodzili w walce z kierownictwem korpusu.

*Kadet Kola z rodzicami*



Wiele stron musiałbym zapisać i atramentu zużyć, by dokładnie scharakteryzować ówczesne kadeckie życie i opisać epizody, które nań się złożyły, dlatego ograniczę się tylko do osobistej oceny.

Można krytykować dawne sposoby wychowywania kadetów w murach korpusu i w oczach współczesnego społeczeństwa barbarzyńcami mogą wydawać się nasi pedagogzy, oficerowie w rodzaju Jelnickiego, Biernatowicza, [K.S.] Gierakowa, Gejnera i wielu innych. Dniem nieudanym, straconym w ich życiu był taki, w którym nie sprali któregoś z kadetów za coś różgami. A jak to pranie wyglądało może osądzić moja skóra i ten ból doświadczony przez sieczonego kadeta. Chyba nie ma takiego, który opuściłby korpus, nie będąc wychłostanym. Ani ci barbarzyńscy wychowawcy, ani nasi nauczyciele, w rodzaju [Julija Francewicza] Malakena<sup>18</sup> i mu podobnych, nie kształtowali charakteru kadetów. Kształtowało go samo życie w korpusie i szkoła koleżeństwa, z którą kadeci się utożsamiali. Różg nigdy i nikt z nas się nie bał, ponieważ każdy uświadamiał sobie, że ta metoda wychowawcza była podstawą ówczesnej pedagogiki. Na kadeta, którego nie wychłostano, patrzono jak na odludka, nieakceptowanego w kadeckiej rodzinie, a i samo dowództwo mówiło: „Co z ciebie za kadet, skoro cię ani razu nie wysieczono?”.

<sup>18</sup> Julij Malaken (1818-1880) – nauczyciel języka francuskiego.



Pamiętam kolegę Trietjakowa, który w przeddzień chłosty położył się na szkolnej ławce i poprosił kadetów, aby stłukli go po wiadomej części ciała linijkami, by mógł przyzwyczaić się znosić ból w milczeniu i nie krzyczeć, gdy będzie bity. I osiągnęliśmy ten cel. Nie śmieliśmy krzyknąć, uważając, że w ten sposób mścimy się na oprawcy. Zdarzało się, że kadeta doprowadzano do utraty świadomości i okrwawionego wynoszono na prześcieradle do lazaretu. Włosy dęba stają, gdy wspomina się te chłosty, choć z drugiej strony, w pamięci każdego z nas pozostało wiele przyjemnych chwil z kadeckiego życia.

Przez sześć lat mego pobytu w korpusie nie wiedziałem, co to takiego przepustka, gdyż w Petersburgu nie miałem żadnego krewnego, który mógłby wziąć mnie do siebie. Dopiero w siódmym roku nauki, zupełnie przypadkowo, podczas obchodu [6] wszedł do stołówki jakiś generał w towarzystwie pułkownika [N.I.] Palnikowa, komendanta batalionu. Cały korpus wstał, generał się przywitał z kadetami, po czym ja i mój brat zostaliśmy do niego wezwani. Okazało się, że to nasz rodzony wujek Achwierdow, gubernator guberni smoleńskiej. Tego samego dnia wziął nas do siebie na daczę na Ochcie<sup>19</sup>, gdzie poznaliśmy jego rodzinę.



*Nikołaj Achwierdow*

Następnego dnia wujek zawiózł nas do generała Czewkina<sup>20</sup>, a potem do naszej babci N. G. Potiomkinej. Jednak dlaczego była ona naszą babcią, wyjaśnić nie potrafię. Prawdopodobnie dlatego, że jeden z Potiomkinów (marynarz) ożenił się z siostrzenicą mojego ojca<sup>21</sup>. Z dzieciństwa pamiętam wielu naszych krewnych mieszkających w Teodozji, Karasubazarze i Symferopolu. Nieco

<sup>19</sup> Rzeka i miejscowość; dzisiaj dzielnica Petersburga.

<sup>20</sup> Konstantin Władimirowicz Czewkin (1802-1875) – w latach 1855-1862 zarządzał drogami i budynkami państwowymi. Od 1872 r. przewodniczył komitetowi do spraw Królestwa Polskiego.

<sup>21</sup> Maria Stiepanowna – córka Eleny Dmitrijewny (de Lazari) Czewati (1786-?; siostry ojca Nikołaja) – była żoną Konstantina Siergiejewicza Potiomkina (1795-?).

później ujawnił się jeszcze jeden krewny, oficer wojsk inżynieryjnych – Stratonowicz – mieszkający w Carskim Siole. Jego rodzona siostra [Maria Grigorjewna] była żoną mojego najstarszego brata Jegora.

W ciągu ostatnich trzech lat jeździliśmy z bratem do wujka na daczę i do Stratonowicza, jednak nie nazbyt często. Tak w domu wujka, jak i u Stratonowicza wszyscy byli przerażeni naszymi manierami, cechującymi ówczesnych starszych kadetów.

Podczas całego naszego pobytu w korpusie otrzymaliśmy z domu tylko dwa lub trzy listy od mamy i pod wpływem nalegań dowództwa napisaliśmy ze dwa listy do domu. Żadnych pieniędzy ani słodyczy od nikogo nie otrzymywaliśmy. Korzystaliśmy tylko z tych pieniędzy, które dawano nam na dorózkę. Oszczędzaliśmy je na łakocie, wracając z przepustek pieszo – z Ochty, albo z dworca Carsko-Sielskiego. [7] Po drodze kupowaliśmy jakieś przysmaki, by zjeść je w korpusie z najbliższymi przyjaciółmi. Miałem kolegów, którzy otrzymywali z domu niewielką gotówkę. Oni również z przyjemnością przyłączali się do naszej uczty. O uczcie mówiliśmy wtedy, gdy w niedzielę pozwalano nam za nasze pieniądze wysłać stróża do sklepu po kilka porcji razowego chleba z masłem, zielony ser, makowce, melasowe cukierki, drożdżówki itp. Zbieraliśmy się wówczas w pomieszczeniu do czyszczenia butów i kurtek, dzieliliśmy jedzenie między siebie i za jednym posiedzeniem zjadaliśmy wszystko – to była uczta.

Pamiętam swój jeden wyglup. W drugiej klasie nauczyciel rozdał nam papier i zadał całej klasie napisanie wypracowania, dając każdemu możliwość wymyślenia własnego tematu, który powinien być znaleźć się na górze kartki. Otrzymaawszy duży arkusz papieru, zacząłem myśleć, o czym by tu napisać. Siedziałem tak dość długo, aż zauważyłem, że niektórzy kadeci zaczęli już oddawać swoje prace nauczycielowi (był to Łoman [Nikołaj Łoginowicz<sup>22</sup>]), który uprzedził, że jeśli ktoś do przerwy nie zdąży oddać wypracowania, dostanie pałę do dziennika. W ciągu ostatnich 10 minut przed przerwą, chcąc oddać [8] swój arkusz, dużymi literami napisałem na górze:

„Wypracowanie kadeta II klasy, 2-go Korpusu Kadetów, 2-giej kompanii, 2-giej z flanki, z 2-giej sypialni, z 2-giego łóżka, N. de Lazari na temat 20 kopiejek srebrem:

Razowiec z masłem 5 kop. Makowce za 4 kop. Cukierki za 3 kop. Stróżowi 3 kop. Razem 20 kop.”.

<sup>22</sup> Nikołaj Łoginowicz Łoman (1830-1890) – poeta-satyryk i nauczyciel; w 1862 r. z okazji stuletniego jubileuszu korpusu wydał „Историческое обозрение 2-го кадетского корпуса”; zob. [http://az.lib.ru/l/loman\\_n\\_l/text\\_0020.shtml](http://az.lib.ru/l/loman_n_l/text_0020.shtml)



Ponieważ oddałem swój arkusz jako jeden z ostatnich, nauczyciel zobaczył, co na nim napisałem i pod akompaniament śmiechu całej klasy odczytał na głos moje wypracowanie, a następnie wlepił mi pałę.

W czasie mojej nauki w korpusie zmieniło się trzech dyrektorów. Po generale Bibikowie nastał gen. Putiata<sup>23</sup>, a po nim gen. Stiepanow<sup>24</sup>. Ostatni był najbardziej lubiany.



*Dmitrij  
Putiata*



*Piotr  
Stiepanow*

Dowódcą batalionu był [Konstantin Christianowicz] Kursel, którego podobno w 1847 r. kadeci stłukli kamieniami. Po Kurselu był pułkownik Palnikow – leniwy z natury i dobroduszny. W tamtych czasach nie wolno było jednak pobłażać nawet najmniejszym psotom i za wszystko chłostano nas różgami, dlatego także i on niejednokrotnie przestrzegał tej zasady. Kierując szkoleniem frontowym w korpusie, zawsze przymilał się kadetom z kompanii grenadierów i bywało, że przed przeglądem lub paradą majową przychodził do naszej kompanii, a my obstępowaliśmy go i prosiliśmy o podwójną porcję bułek z kotletami (otrzymywaliśmy je na Polu Marsowym przed paradą). Uzyskawszy nasze zapewnienie, że postaramy się, by Car był zadowolony, Palnikow szedł do domu ze spokojnym sercem, a my rzeczywiście otrzymywaliśmy na placu podwójne porcje.

[9] Byliśmy z bratem członkami chóru cerkiewnego. Ja miałem dosyć głęboki bas, chociaż początkowo śpiewałem dyszkantem i podczas wielkie-

<sup>23</sup> Dmitrij Wasiljewicz Putiata (1806-1889) – dyrektor korpusu w latach 1849-1855.

<sup>24</sup> Piotr Aleksandrowicz Stiepanow (1805-1891) – dyrektor korpusu w latach 1855-1863.

go postu wykonywałem przed ołtarzem „Niechaj moja modlitwa...”.

Pamiętam, że pewnego razu podczas nabożeństwa wszedł do cerkwi generał Rostowcew<sup>25</sup> (w tamtym czasie naczelnik wszystkich szkół wojskowych) i po nabożeństwie podziękował naszemu trio za śpiew, a później przysłał każdemu z nas po funcie cukierków i po srebrnym rublu.



*Jakow Rostowcew*

Dużo można byłoby opowiadać o wychowywaniu kadetów w czasach mojego pobytu w korpusie, gdzie każdy z nas doświadczył masy radosnych i gorzkich chwil. Tego okresu nie wymaże się z pamięci. Nastały nowe czasy i nowe zasady kadeckiego wychowania, i chcąc wykorzenić stare przyzwyczajenia, kadetów takich jak ja nie tolerowano już w korpusie. Dlatego nie dano mi zakończyć specjalnych klas i wypisano z korpusu 16 czerw-

ca 1856 roku, kierując do Taurydzkiego Garnizonowego Batalionu, o co sam prosiłem – do moich ojczystych stron, do ojca i matki. Mój brat Jegor przysłał na moje umundurowanie 125 rubli, za które Stratonowicz kupił wszystko, co potrzebne jest świeżo upieczonemu oficerowi.

Nie wiedziałem, co mnie czeka w przyszłości, dlatego pożegnanie z niezawodnymi przyjaciółmi bardzo mnie wzruszyło, jak gdybym rozstawał się z bliską rodziną, z drogimi braćmi, którym los wytycza różne drogi i Bóg jedyny wie, gdzie i kiedy uda nam się spotkać. Wraz ze mną i w tę samą stronę opuścił korpus Dmitrij Chartułari, razem więc wyruszyliśmy w daleką podróż. Wówczas [10] linia kolejowa wiodła tylko z Petersburga do Moskwy i od Moskwy musieliśmy do samego Symferopola jechać zmieniając konie pocztowe.

<sup>25</sup> Jakow Iwanowicz Rostowcew (1803-1860) – współtworzył m.in. reformę chłopską.





*Mianowanie Nikolaja na stopień chorążego*



*W podróży (fot. Konstanty de Lazari, koniec XIX w.)*



## [W Symferopolu]

I oto, co by nie mówić, jestem oficerem, człowiekiem rozpoczynającym samodzielne życie. Tu zaczyna się moja opowieść, która być może zainteresuje czytających te słowa. Nie będzie to ani powieść, ani bajka – chcę napisać dla swoich dzieci swoistą spowiedź o wszystkim, co przeżyłem. Gdybym posiadał zdolności powieściopisarza, oczywiście całe moje życie byłoby dość interesującą opowieścią, co zaś wyj-

dzie spod pióra, które przelewa na papier jedynie wspomnienia – nie mnie w przyszłości osądzać.

Podczas całej naszej podróży, chcąc nie chcąc, zastanawiałem się, co zastanę w Symferopolu u ojca i matki, jakie czeka mnie spotkanie z nimi po ośmioletniej rozłące? Jak żyją, gdzie i u kogo znajdę przystań dla siebie, jak potoczy się moja kariera itd. – zbliżałem się do odpowiedzi na te pytania z zamierającym sercem.

Oto i Symferopol, do którego przybyliśmy za dnia, nocując, by tak się stało, na ostatniej stacji pocztowej. Od Jekatierinosławia [dziś Dniepropietrowska] towarzyszyliśmy żonie Stratonowicza, ich trzem córkom i guvernantce. Poznaliśmy całą rodzinę, a Aleksandra (jedna z córek) bardzo mi się spodobała.

Wskazano nam mieszkanie Jegora, gdzie zastałem również mojego ojca. Brat z żoną mieli wówczas jednego syna – pięcioletniego Kolę<sup>26</sup>. Po radosnym spotkaniu z ojcem i bratem śpieszno mi było, rzecz jasna, zobaczyć jak najszybciej moją drogą matkę, zapytałem więc ojca: „A gdzie jest mama?” Na to pytanie ojciec chłodno odpowiedział: „Twoja matka jest w Karasubazarze. Gdy przedstawiś się komendantowi batalionu, weź urlop i pojedź do niej. [11] Ja pojedę razem z tobą”.

Jegor zaproponował mi osobny pokój w swoim mieszkaniu. Był wówczas urzędnikiem intendencji wojskowej. Na drugi dzień przedstawiłem się komendantowi batalionu, pułkownikowi Koreckiemu, który, dzięki znajomości z moim bratem, przyjął mnie bardzo serdecznie.

<sup>26</sup> Nikołaj Grigorjewicz de Lazari (1853-1885), żona – Anna Isajewna Iwanowa (?-1909).



Po kilku dniach przedstawiania się i zawierania nowych znajomości otrzymałem od pułkownika Koreckiego 28 dni urlopu i wyjechałem wraz z ojcem do Karasubazaru. Ojciec już od dawna nie pracował i żył z niewielkiej emerytury (którą wysłużył w randze koleżskiego asesora) oraz z dodatku za przyznane mu ordery. Przyjechaliśmy do Karasubazaru pod wieczór i zatrzymaliśmy się przed niewielkim domkiem. Weszliśmy tam wraz z ojcem, jednak radosne marzenia o mającym nastąpić nieoczekiwanym spotkaniu z mamą obróciły się w niwecz, gdyż mama mieszkała w innej części domu. Serce drgnęło mi z przeczucia czegoś niedobrego, ciężkiego. Przejście od ojca do mamy było zamknięte naглуcho. Dowiedziawszy się o moim przyjeździe, mama wysłała służącą do nas z wiadomością, że „Pani życzy sobie widzieć N.N.”

Nie czekając na reakcję ojca, rzuciłem się w ślad za pokojówką przez podwórko do matczynej części domu. Zastałem biedną mamę siedzącą na łóżku. Rzuciłem się w jej objęcia i długo nie mogłem dojść do siebie z płaczem. Mamie od łez zrobiło się słabo, a gdy wreszcie się uspokoiła, wyznała mi, że już od ponad ośmiu lat nie może chodzić i porusza się za pomocą fotela na kółkach. Rzadko jednak z niego korzysta [12] ze względu na utrud-



niony proces przesiadania się z łóżka na fotel i z powrotem. Co czuło moje serce i jak bardzo cierpiała moja dusza, nie zrozumie się, nie doświadczywszy tego, co przeżyłem w te pierwsze minuty naszego spotkania.

*Jelizawieta Achwierdowa de Lazari*

Przesiedziałem z moją gołąbeczką do samego świtu, rozmawiając o jej nieszczęsnym położeniu. Mimo fizycznego zmęczenia drogą, przez zgryzoty moralne nie mogłem zasnąć ani

na minutę. Drugiego dnia wciąż byłem przy mamie. Wiele bliskich jej osób, dowiedziawszy się o moim przyjeździe, przyszło do niej w odwiedziny, by dzielić z nią radość. Choć mama ukrywała przede mną swoją smutną sytuację życiową i ani słowem, ani aluzją nie chciała nic zarzucić ojcu, to naszakrewna, Jekatierina Michajłowna, siostra Bułatowów<sup>27</sup>, opowiedziała mi o całym

<sup>27</sup> Siostra Michała i Aleksandra Bułatowów. Żoną Aleksandra (1801-1874) była Maria

jej ciężkim życiu. Nie chciałem iść do ojca, ale mama uprosiła mnie, w imię miłości do niej, abym poszedł i starał się być z nim więcej niż z nią. W domu moich rodziców nie gościłem jednak długo. Musiałem wyjechać z Karasubazaru przed upływem urlopu, do czego przyczyniła się dramatyczna scena, która rozegrała się pomiędzy mną i ojcem.

Któregoś wieczoru zebrano się u mamy kilka osób – goście i naszych krewnych – by dzielić z nią radość z okazji mojego przyjazdu. Ponieważ goście zasiedzieli się, mama kazała przygotować coś na kolację. Ojca w domu nie było. Posłałem więc pokojówkę do mieszkania ojca, by przyniosła karafkę z wódką i kieliszki. Następnego dnia [13] (pokojówka zapomniała odnieść wódkę z powrotem), siadając o 12-tej ze mną do stołu, ojciec postanowił napić się wódki, lecz nie znalazł w szafce karafki. Zaczął krzyczeć, gdzie podziła się karafka, kto ośmielił się ją zabrać bez jego wiedzy. Choć wyjaśniłem mu, że wódkę ja wziąłem, by poczęstować wczorajszych gości, rozłoszczony czymś i głodny wrzeszczał, że „nie chce być otruty przez moją matkę, że wiele wycierpiał przez tę podłą kobietę”, i zwymyślał mnie najbardziej nieprzyzwoitymi słowami. Na tak brutalne obrażanie biednej mamy zawrzała we mnie krew i, nie myśląc o następstwach mojego czynu, skoczyłem od stołu, chwyciłem talerz i rzuciłem nim w ojca, by zamilkł. Talerz, trafiając go, rozleciał się na drobne kawałki, a my rzuciliśmy się na siebie. Pokojówka i jakiś Grek ledwo mnie odciągnęli do maminej części domu.

Cały dzień minął mi w kiepskim nastroju, ale wymyśliłem, co dalej robić. Wyprosiłem od tamtejszego policmajstra bryczkę i usadziłem w niej mamę z jej wnuczką (zapomniałem powiedzieć, że z mamą mieszkała córka mojej zmarłej siostry [Jekatieriny, 1834-1854], która wyszła za mąż za majora Wołyńskiego Pułku Piechoty, Mazana; czteroletnią sierotką zajmowała się niańka). Ja i niańka wsiedliśmy do pocztowej bryczki i nad ranem wyjechaliśmy wszyscy razem do Symferopola, nie zdążywszy nawet spakować najbardziej potrzebnych rzeczy dla mamy. W tym czasie, gdy usadzałem mamę w powozie, ojciec podszedł do okna i przyglądał się tej scenie, lecz ja nie miałem ochoty się z nim pożegnać.

W Symferopolu mieszkała przyjaciółka mamy, owdowiała księżna Tumanowa<sup>28</sup>. Mama poprosiła, abym odwiózł ją prosto do niej, dopóki nie zorganizuję sobie samodzielnego mieszkania.

[14] Podczas całej drogi mama płakała, a ponieważ cierpiała dodatkowo

Golicyna, a żoną jej ojca – Nina Achwierdowa (córka Fiodora).

<sup>28</sup> Sofija Nikiticzna, żona księcia Borysa Siergiejewicza Tumanowa (1800-1856), [http://www.nbuv.gov.ua/Articles/KultNar/98t2/pdf/knp98t2\\_44-47.pdf](http://www.nbuv.gov.ua/Articles/KultNar/98t2/pdf/knp98t2_44-47.pdf)



z powodu choroby nóg i każdy niespodziewany ruch powozu albo wstrząs powodował ból, musieliśmy jechać ostrożnie. Dopiero pod wieczór dojechaliśmy do Symferopola do domu Tumanowej. Umieściwszy mamę w jej pokoju, natychmiast wziąłem dorożkę i pojechałem do brata, który wraz z żoną od razu udał się do mamy. Następnego dnia przy tej samej ulicy, przy której znajdował się dom Tumanowej, znalazłem trzypokojowe mieszkanie z kuchnią. Wynajawszy je, z pomocą brata umeblowałem je jako tako i przewiozłem tam mamę, jej wnuczkę Lizę i niańkę. Liza była pięcioletnim dzieckiem bardzo słabego zdrowia. Żyła jedynie dzięki temu, że wciąż karmiła ją mamka.

Urządziwszy się w ten sposób, rozpoczęliśmy samodzielne życie z „ogromnym” majątkiem, ponieważ mama nie miała przy sobie żadnych pieniędzy, a ja otrzymywałem jedynie 37 rubli kwartalnie. Na szczęście okazało się, że w gubernialnym zarządzie opiekuńczym czekają na mnie i na brata Konstantego pieniądze, które wpłacił dla nas kiedyś nasz chrestny ojciec, generał Szatiłow<sup>29</sup> – po 500 rubli dla każdego – i kapitał się podwoił. Te pieniądze pozwoliły nam się urządzić. Rozpoczęliśmy niespieszne, spokojne życie. Brat Jegor często nas odwiedzał i nie pozostawiał bez pomocy. Wszyscy znajomi, znając wyrzeczenia mamy, współczuli jej i często ją odwiedzali. Żona gubernatora [Grigorija Wasiljewicza Żukowskiego<sup>30</sup>] Nadieżda Żukowska przyjechała, by poznać mamę osobiście. Wszystko to pozytywnie działało na nią i jej serce i dusza się uspokoiły. Tak przeżyliśmy koniec roku 1856 i radośnie spotkaliśmy nowy – 1857 rok.

[15] Przez ten czas zdążyłem zapoznać się z moimi obowiązkami. Pułkownik Koriecki mianował mnie zastępcą kwatermistrza. Regularnie byłem zajęty w kancelarii i nie musiałem już pełnić służby wartowniczej w twierdzy więziennej. Polubiwszy tańce, zacząłem uczęszczać na spotkania szlachty i szybko stałem się niezastąpionym tancerzem na wszystkich oficjalnych i prywatnych wieczorkach, na których nieustannie zabiegałem o względy Aleksandry Grigorjewny Stratonowicz, rodzonej siostry żony mojego brata. Zakochałem się w niej, a ona patrzyła na moją miłość jako na sympatyczne młodzieńcze przywiązanie. Jednak, po roku mego miłosnego zadurzenia w tej dziewczynie, los rozdzielił nas, ponieważ Stratonowicz musiał porzucić służbę i po przejściu w stan spoczynku wyjechał wraz z rodziną na stałe do Petersburga.

W końcu 1857 roku, 6-go grudnia, znalazłem się wśród zaproszonych

<sup>29</sup> Iwan Jakowlewicz Szatiłow (1771-1845) - generał, uczestnik wojny z Napoleonem.

<sup>30</sup> Grigorij Wasiljewicz Żukowski (1800-1880) – generał, w 1856 r. był gubernatorem Symferopola.

gości na balu Zgromadzenia Szlacheckiego, wydanym przez N. N. Kulikowskiego<sup>31</sup> z okazji jego imienin. Na balu zostałem przedstawiony rodzinie Jegora Helffreicha<sup>32</sup>, byłego komendanta korpusu, który przybył ze swojego majątku na południowym brzegu Krymu i zatrzymał się w domu gubernatora wraz z żoną, córką Malwiną i młodszym synem Konstantinem. Zaprosiłem Malwinę do kadryla. Podczas rozmowy szczegółowo wypytowała mnie o sytuację mojej mamy i w ogóle o krewnych, przy czym oznajmiła, że ze swoją mamą i bratem chcą odwiedzić mamę, aby ją poznać. Po zakończonym kadrylu podziękowałem jej i odprowadziłem do salonu, a ona spytała, czy nie zechciałbym zatańczyć z nią mazura, jeśli nie mam jeszcze damy. Z przyjemnością zaprosiłem ją do mazura. Ponieważ jednak jej brat mazura nie tańczył, zostaliśmy z nim i prowadziliśmy ogólną rozmowę. Oboje byli bardzo ożywieni, dzięki czemu lepiej ich poznałem. Wieczór ten, tak istotny dla naszej późniejszej znajomości, na zawsze zachował się w mojej pamięci.

[16] Następnego dnia generałowa Helffreich – w towarzystwie córki i syna – przyjechała odwiedzić moją mamę, a po godzinie oznajmiła, że Żukowscy polecieli jej zabrać mnie do nich na obiad, więc razem z Helffreichami udałem się do gubernatora. Po obiedzie Malwina usiadła do fortepianu i zaczęła śpiewać. Jej głos mnie oczarował – straciłem głowę i się w niej zakochałem. Jej brat natomiast tak bardzo mnie polubił, że kiedy wieczorem odjeżdżałem od Żukowskich, postanowił mnie odprowadzić. Gdy dowiedział się mnie do domu żegnał się ze mną, rozplakał się i zaczął mnie całować, jak gdyby rodzzonego brata odprowadzał w daleką drogę, mówiąc, że niedługo będzie musiał wyjechać z rodziną i smutno mu rozstawać się ze mną.

W Symferopolu mieszkał Stiepanow – emerytowany major, który ożenił się z kupiecką wdową. Stiepanowowie mieli sklep i żyli dostatnio. Byli znajomymi Helffreichów, których poznali gdzieś na statku. Przed odjazdem Helffreichów urządzili u siebie wieczorek, na którym nie odstępowałem Malwiny na krok – bez przerwy z nią tańczyłem. Po kolacji, żegnając się ze mną, pani Stiepanowa w sekrecie powiedziała mi: „No, drogi Nikołaju, nasza panienska zadurzyła się w panu, jak kot w słoninie”. Choć odebrałem to jako żart, rozplomieniło się moje serce i zacząłem myśleć o Malwinie poważnie, widząc, że czuje do mnie sympatię. Helffreichowie wyjechali do swego majątku, a ja zacząłem za nimi tęsknić. Po pewnym czasie otrzymałem od brata Malwiny bardzo uprzejmy list, w którym pisał o swoim przywiązaniu i sympatii do

<sup>31</sup> Nikołaj Nikołajewicz Owsianiko-Kulikowski – w latach 1854-1860 i 1864-1875 gubernialny przywódca szlachty.

<sup>32</sup> Jegor Iwanowicz Helffreich (1788-1865) – generał kawalerzysty.



mnie oraz informował, że jego ojciec wysłał do pułkownika Korieckiego list z prośbą, by ten pozwolił mi przyjechać do nich na południe Krymu. Oczywiście z radością pojechałem tam i przez dwa tygodnie byłem gościem w majątku „Nataszyno”.

Był to okres całkowitego zamroczenia miłością do Malwiny. [17] Nasze spacerunki we dwoje po ustronnych miejscach ich posiadłości, spotkania w grocie rozpały naszą wzajemną namiętność – objęciom, pocałunkom i przysięgom o wzajemnej miłości nie było końca. Nasze stosunki stały się na tyle bliskie, że Malwina była gotowa oddać mi się w pełni, jednak dzięki mojej niezeipsutej przez kobiety naturze opamiętałem się i, zacisnąwszy zęby, unikałem tego, co mogłoby mieć ogromne następstwa w naszym życiu. Pewnej letniej nocy, siedząc na balkonie, powiedzieliśmy sobie, że wcześniej czy później los nas połączy i zwiąże ślubem. Malwina poprosiła, abyśmy dla próby rozstali się na pewien czas, tym bardziej, że rodzice jej spostrzegli naszą wzajemną fascynację i zaczęli ją upominać. Natomiast jej brat zaczął być zazdrosny o moje uczucie do jego siostry i dochodziło między nami do sprzeczek.

Mając świadomość niebezpieczeństwa jakie nam groziło, zgodziłem się na rozłąkę w imię naszej przyszłej pomyślności i wyjechałem do domu. Mama zauważyła zmianę w moim zachowaniu, starała się mnie uspokoić, jednak moja miłość rozpalala się coraz mocniej, tym bardziej, że pomiędzy mną a Malwiną nawiązała się częsta korespondencja, która podtrzymywała naszą namiętność. W tym czasie do Helffreicha przyjechali jego starsi synowie, Michaił, Jegor i Lew (dwaj ostatni byli huzarskimi oficerami, a najstarszy kierował izbą skarbu, chyba Guberni Jekatierinosławskiej). Synowie huzarzy przyjechali do Symferopola i znowu zabrali mnie na południowy brzeg do posiadłości „Nataszyno”, gdzie już nie mogłem tak często spotykać się z Malwiną i tylko niekiedy udawało się nam pocałować ukradkiem na balkonie przed udaniem się po kolacji do swoich pokoi.

W tamtym czasie poznałem sąsiadów Helffreicha – rodzinę Frembterów. Ich najstarsza córka Łusza była zakochana w Konstantynie (bracie Malwiny). Miał on wówczas 18 lub 19 lat i był nadzwyczaj ładny, wręcz dziewczęcy. Organizowano częste kawalkady, zabawy i bawiliśmy się wszyscy razem.

Zimą 1858 roku cała [18] rodzina Helffreichów przeprowadziła się do Symferopola i nasza zażyłość znów się odnowiła. Zaczęły się częste spektakle, bale, wieczorki, w czasie których nie odstępowałem od Malwiny ani na krok, uczestnicząc wraz z nią w amatorskich przedstawieniach. Całe symferopolskie towarzystwo wiedziało o naszym miłosnym zauroczeniu. Ojciec

i mama Malwiny traktowali mnie jak rodzzonego syna, w żaden sposób nie odróżniając od swoich, a nawet wspierali mnie i moją mamę finansowo. Malwina zawsze miała swoje pieniądze. Całując mojej matki ręce, prosiła, by ta nie odmawiała przyjęcia pieniężnej pomocy i w sekrecie dawała jej to 25, to 15 lub 10 rubli.

Przez cały 1858 rok symferopolskie towarzystwo oddawało się nie kończącym się rozrywkom. Kompania była liczna i podczas zimowego sezonu wiele panien powychodziło za mąż. Zapraszano mnie w roli drużby na wszystkie wesela. Zaprzątnięty życiem towarzyskim, będąc stałym gościem spotkań, nie musiałem zadrećcać się, że los nie dał mi możliwości ukończenia specjalnych klas w korpusie, umożliwiających uzyskanie wyższego edukacyjnego cenzusu. Z milczącego, ponurego kadeta stałem się wesołym oficerem, cieszącym się powszechną sympatią i zainteresowaniem symferopolskiej społeczności, zaczynając od rodziny ówczesnego gubernatora, generała Żukowskiego, a na mało znaczących urzędnikach kończąc. Gubernator, z powodu braku osobistego adiutanta, wydawał mi polecenia jak adiutantowi.

W 1858 roku przyjechał z Kaukazu na urlop mój rodzony brat **Wasilij**, który służył w Pułku Szyrwańskim i był adiutantem generała Wrangla<sup>33</sup>. Prawie go nie pamiętałem, gdyż od małego chłopca wychowywał się w Moskwie, a potem był w Łazariewskim Instytucie Języków Wschodnich, skąd jako junkier trafił bezpośrednio na Kaukaz. [19] Urlop brata nie trwał długo. Na Kaukazie miał kochankę (żył tam z żoną jakiegoś dowódcy) i chciał jak najszybciej do niej wrócić.



*Wasilij de Lazari*

<sup>33</sup> Baron Aleksandr Jestańjewicz Wrangel (1804-1880) – generał piechoty.



Jednak mimo krótkiego pobytu przywiązał się do mnie i polubił tak bardzo, jak tylko starszy brat może polubić młodszego, i gdy wyjeżdżał z powrotem na Kaukaz, rozplakałem się – tak trudno było mi się z nim rozstać.

Najstarszy brat **Jegor** i jego żona także mnie lubili i rozpieszczali, ciesząc się z mojego powodzenia w towarzystwie. Będąc organizatorem amatorskich



spektakli i z wszystkimi za pan brat, pomagał mi w zakupach niezbędnej galanterii – kupował mi rękawiczki, buty, kamizelki i wszystko, co było potrzebne z ubrania młodemu oficerowi. Prowadziliśmy otwarty dom, często przyjmowaliśmy gości i wyjeżdżaliśmy wieczorami do znajomych oraz do klubu Zgromadzenia Szlacheckiego. Wszędzie mu towarzyszyłem, stając się nierozdzielalną częścią jego najbliższej rodziny.

*Jegor de Lazari*

*Konstantin de Lazari*

Zapomniałem wcześniej powiedzieć, że w końcu 1857 roku przyjechał mój brat Konstantin. Tęskno mu było za mną i za ojczyzną. Z powodu choroby nie mógł pozostać w korpusie, przeszedł więc do cywila, zachowując prawo do pierwszego stopnia oficerskiego. Nie na długo jednak. Po krótkim zatrudnieniu w urzędzie cywilnym zwolnił się i zaciągnął jako junkier do Wołyńskiego Pułku Piechoty. Tam również służył krótko, przeszedł do rezerwy i zamieszkał ze mną oraz z mamą. Z gubernialnego zarządu opiekuńczego otrzymał swoją część kapitału, zdeponowanego przez naszego ojca chrzestnego, generała Szatilowa.

W 1858 roku przybyli na służbę do Taurydzkiego Batalionu absolwenci korpusu Diadin i Kłodnicki, którzy nie mając żadnych krewnych w Symferopolu wprowadzili się do nas. Z tego powodu musiałem zmienić mieszkanie na większe. Od naszych lokatorów otrzymywaliśmy po 5 rubli miesięcznie. [20] Życie w towarzystwie młodych oficerów i mojego brata Kostia stało się jeszcze weselsze. Przy mamie zawsze był ktoś obecny. Nieco później dołączył do nas także Chartułari i żyliśmy jak u Pana Boga za piecem.



Nigdy nie zapomnę dnia, gdy z jakiegoś zajazdu przyjechał do mnie dorożkarz z wiadomością, że chce mnie widzieć mój brat Dmitrij. Podał mi skrawek papieru, na którym było napisane: „Drogi bracie Kola. Przyjedź i uratuj swego biednego brata Dmitrija”. Pojechałem z dorożkarzem do zajazdu. Po wejściu do wskazanego mi pokoju zastałem tam siedzącego na łóżku, na gołych deskach nieszczęsnego brata w zwykłej roboczej kurtce i w brudnej, wyblakłej kretonowej koszulinie z rozpiętym kołnierzem. Pocałowaliśmy się, a on wyjaśnił mi, że przyszedł do Symferopola pieszo, zarabiając po drodze na jedzenie jako tragarz na przystaniach. Szedł z Niżniego Nowgorodu, gdzie po wykluczeniu go z Pułku Sofijskiego występował w wędrowniej trupie aktorów.

Lękając się, by nasza chora mama nie zobaczyła go w tak oplakany stan, najpierw zawiozłem go do Jegora. Tam otrzymał jakieś używane ubranie, bieliznę, umył się i dopiero wtedy mógł pokazać się matce, z którą nie widział się 9 lat. Zamieszkał u nas. Pierwszą naszą troską było znalezienie mu jakiejś pracy, ale po 4-5 dniach zrezygnowaliśmy z tego pomysłu. Dmitrij okazał się skończonym pijakiem. Z jego opowieści wynikało, że po ukończeniu szkolenia w Pułku Szlacheckim rozpoczął służbę jako junkier w Pułku Sofijskim, który kwaterował wówczas w Warszawie. Narozrabiał tam i go wydalonono.

Wśród wielu wybryków (sam mi o nich opowiadał) jeden był szczególny. Gdy od oficerów wygrał w karty [21] jakąś sumę pieniędzy, tak się ucieszył, że wynajął dorożkę i kazał się wieźć co koń wyskoczy. Przegalopował po całym Krakowskim Przedmieściu, aż napotkał komendanta, który rzecz jasna wsadził go do paki.

A oto inny przypadek. Pełniąc służbę w koszarach, dokąd kobietom wstęp był wzbroniony, przez całą noc wyszukiwał prostytutki i do rana zatrzymał ich około szesnastu. Cały ranek musztrował je, ustawił w jednym szeregu i uczył zwrotów, a gdy nauczył je witać się z dowództwem, zaprowadził ten oddział pod kwaterę komendanta pułku. Wszedł z raportem do dowódcy i zameldował, że chcą go widzieć rekruci, ustawieni przed barakiem w szeregu (aby oddział się nie rozbiegł, Dmitrij zostawił go pod nadzorem trzech dyżurnych żołnierzy). Gdy dowódca pułku wyszedł, Dmitrij wydał komendę: „Na prawo patrz!”, a wszystkie prostytutki odpowiedziały: „Czołem, Wasza Wielmożność!”. Komendant pułku głośno się roześmiał i rozkazał bratu odprowadzić je do miejskiego ratusza. Dmitrij wydał kolejną komendę: „Na prawo, krokiem marsz!”, i w pełnym szyku przeprowadził prostytutki przez całą Warszawę do magistratu.



Później, kiedy przyszło mi samemu służyć w Królestwie Polskim i poznałem tamtejszych starych wyjadaczy, często pytano mnie: „Czy nie miał pan brata albo krewnego w 1. Sofijskim Pułku?”. Gdy odpowiadałem, że to mój rodzony brat, opowieściom o wszelkich jego psotach nie było końca.

W tamtym czasie do Symferopola przyjechał z Kaukazu na urlop także podpułkownik Konstantin Zafiropuło<sup>34</sup>. Zamierzał się ożenić. Ponieważ wcześniej stracił matkę i ojca, w dzieciństwie wychowywał się [22] w domu moich rodziców. Moją mamę traktował jak swoją rodzoną i otwarcie zwierzył się jej z celu swego przyjazdu. Przyszłej wybrance postawił tylko jeden warunek – musiała być z posagiem. Znając wszystkie panny w Symferopolu, pomogłem mu poznać rodzinę Kołomiejcewów, którzy mieli dorosłą córkę. Była niezbyt ładna, ale lubiła tańczyć, wyjeżdżała na wszystkie wieczorki, miała 8 tys. rubli posagu i spodobała się Zafiropule. Niewiele kosztowało mnie oświadczenie się w jego imieniu – najpierw pani Kołomiejcewej, a potem jej córce – i wesele się odbyło. Gdy odjeżdżali na Kaukaz, wykorzystałem okazję i namówiłem Dmitrija, by wyjechał wraz z nimi do Wasilija. Napisałem do brata list i poprosiłem Zafiropułę, by pomógł umieścić Dmitrija jako junkra w jakimś pułku.

Tak oto Dmitrij wyjechał wraz z nimi. Po przyjeździe na Kaukaz, na prośbę Wasilija umieszczono go w Pułku Szyrwańskim, w którym długo jednak nie posłużył. Wydalono go za złe sprawowanie, więc znów wyruszył na wędrówkę po świecie. Los tego nieszczęsnego brata zakończył się nader smutno – zmarł w kopalniach Nerczyńska.

Brat Konstantin zaciągnął się jako junkier do Pułku Wołyńskiego, jednak i tam długo nie pozostał. Przeszedł ostatecznie do cywila i wyjechał do Odessy, gdzie wstąpił na scenę, która od tej pory stała się jego drogą do kariery. Trzech moich braci: Jegor, Wasilij i Konstantin – zawsze życzliwie uczestniczyli w moim dalszym losie, pomagając mi materialnie. O każdym z nich opowiem jeszcze w odpowiednim miejscu.

[23] Moja miłość i przywiązanie do Malwiny rosły, namiętność rozpałała, byłem jak w gorączce.

W tamtym czasie mieliśmy jeszcze jednego komendanta batalionu, majora Burmeistera [Fiodora Adolfovicza], który miał przemiłą żonę, Annę Apołonownę. Od pierwszej chwili naszej znajomości oboje poculi do mnie sympatię i zaczęli wyróżniać spośród innych oficerów. Niedługo po przejęciu batalionu Burmeister powierzył mi obowiązki skarbnika, a w tamtym czasie

stanowisko to było bardzo uciążliwe, skomplikowane, szczególnie w kwestii rozliczeń i sprawozdawczości. Przejąłem te obowiązki od porucznika Utułowa, a nie mając doświadczenia, nie potrafiłem dokładnie sprawdzić prawidłowości pozycji przychodów, rozchodów i dałem mu pokwitowanie *in blanco* o przyjęciu rozliczenia.

Tak minął 1859 rok. Mój romans z Malwiną trwał. Dała mi słowo, że wyjdzie za mnie, jeżeli zdobędę solidną pozycję w życiu. Wystąpiłem więc o przeniesienie do Mińskiego Pułku Piechoty, którym dowodził pułkownik Kirjanow. Pułk stacjonował w mieście Kercz.

W tym czasie moja mama coraz bardziej zapadała na zdrowiu. 16 kwietnia 1860 roku zostałem przeniesiony do Mińskiego Pułku, a 22 kwietnia mama zmarła, zachowując do końca świadomość. Trzy dni przed śmiercią poleciła mi sprowadzić z Karasubazaru ojca i brata Konstantina, który był wówczas u niego. 21 kwietnia wieczorem zebrała przy swoim łóżku wszystkich bliskich jej ludzi – ojca, brata Jegora z żoną, mnie i Kostię – i zaczęła mówić o tym, że życie jej było jak powieść, w której ona odegrała najbardziej ponurą rolę. Od dawna modliła się do Boga, by zesłał jej śmierć, i dopiero teraz Bóg wysłuchał jej modlitwy. Zebrała nas wokół siebie, by z każdym się pożegnać, każdego pobłogosławić i żałowała, że nie ma przy niej synów Wasyla, Dymitra i zięcia Mazana. Zwróciła się następnie do ojca, nie czyniąc mu żadnych wyrzutów. Powiedziała, że wybacz mu wszystko, prosi go o wybaczenie i o modlitwę do Boga o spokój jej duszy. Zwracała się do każdego z nas z osobna. Podziękowała mi jako dobremu synowi, który dał jej możliwość szczęśliwie przeżyć ostatnie lata.

[24] Całej tej sceny, rozdzierającej duszę i serce, nie da się opisać i nie da się przypomnieć wszystkich słów, które wypowiedziała umierając i żegnając się z nami. Zrobiłem w miarę możliwości dokładny opis tego pożegnania, jednak wysłałem go do brata Wasyla na Kaukaz i teraz nie mogę wszystkiego sobie przypomnieć. W nocy z 21 na 22 kwietnia biedna męczennica oddała duszę Bogu.

Wiadomość o jej śmierci obleciała cały Krym i ze wszystkich stron zjechali się krewni i znajomi, żeby oddać ostatnią posługę prochom tej, którą tak kochali i szanowali. Ci, którzy znali ją osobiście, wiedzieli, jak dużo cierpiała w swoim życiu. Niech spoczywa w pokoju wiecznym w Królestwie Bożym moja biedna matka! Trzeba było być na pogrzebie i zobaczyć ten tłum, żeby uświadomić sobie, jaką ta kobieta cieszyła się miłością i sympatią, zyskaną podczas jej ponad trzydziestoletniego zamieszkiwania na Krymie.

<sup>34</sup> Zob. *Служба Ширванца 1726-1909 (История 84-го пехотного Ширванского полка)*, Тифлис 1910.



Po śmierci matki chciałem jak najszybciej wyjechać z Symferopola. Przyśtałem do rozliczenia się z obowiązków skarbnika, jednak komisja, wyznaczona do podsumowania wszystkich grzechów poprzedniego skarbnika, obciążyła kosztami mnie, a ponieważ absolutnie nie miałem głowy do tych spraw, brat Jegor pomógł mi, zostawiając jako zabezpieczenie 800 rubli.

Pożegnawszy się ze wszystkimi wyruszyłem na południowy brzeg Krymu do majątku „Nataszyno”. Spędziłem tam dwa tygodnie. Później statkiem z Jałty popłynąłem do Kercza, do stacjonującego tam pułku. Mając na uwadze rychły wymarsz pułku do Odessy, poprosiłem niebawem o urlop. Dowódca rozkazem zezwolił mi po zakończeniu urlopu udać się do Sewastopola i wraz z tamtejszym batalionem przybyć do Odessy. Ponownie udałem się do „Nataszyna”, tym razem na trzy tygodnie. Rozstanie z drogą mi osobą było szczególnie ciężkie. Nie wiedziałem, kiedy znowu uda się nam spotkać. Żegnając się, daliśmy sobie słowo, że nie przerwiemy korespondencji i nie będziemy niczego przed sobą ukrywać. Malwina pobłogosławiła mnie i założyła mi na szyję krzyżyk.

[25] Pożegnawszy się z ukochaną, wyruszyłem do Symferopola razem z moim ordynansem Arkadijem, który przez cały czas odbywał służbę przy mnie i był bardzo przywiązany do mojej zmarłej mamy. Zapomniałem wspomnieć o nim wcześniej, mimo że człowiek ten zasługuje na uwagę jako oddany i uczciwy, gotowy na każde poświęcenie dla swego pana. Podobny typ ordynansa mógł istnieć jedynie w dawno minionych czasach. Wyjechawszy wraz z nim i z całym swoim dobytkiem pocztowymi końmi z majątku „Nataszyno”, zauważyłem, że mój Arkadij jest trochę pijany, chociaż rzadko mu się to przytrafiało. Najprawdopodobniej poczęstowała go wódką na pożegnanie służąca generała Helffreicha. Wyjechaliśmy trojką z dyszlem, z przyprzężnym koniem z prawej strony. Gdy przejechaliśmy dwie stacje od Jałty, siedzący obok mnie Arkadij zaczął wdychać, żalując moją mamę, i zupełnie nieoczekiwanie powiedział: „Wie pan, pańską mamę bardzo lubiłem, ale pana tata (niech go diabli!) doprowadził do śmierci biednej pani”. Rozkazałem mu milczeć, uprzedzając, by nie śmiał tak mówić o moim ojcu, na co on: „Przepraszam Nikołaju Nikołajewiczu!”. Widocznie wódka zaczęła go rozbierać, bo zapomniał się i znowu zaczął przyganiać ojcu. Widząc, że do stacji zostały trzy wiorsty, kazałem woźnicy się zatrzymać, a Arkadijowi wysiąść z bryczki i iść do stacji pieszo. Sam pojechałem dalej.

Na stacji czekałem na Arkadija jakieś pół godziny. Przyszedł, gdy zmienił już konie, i jak gdyby nigdy nic zameldował: „Nikołaju Nikołajewiczu, konie gotowe!”. Nie powiedział więcej ani słowa. Wsiadliśmy do bryczki

i ruszyliśmy. Na jednej ze stacji, chyba „Ajdanil”, trafił mi się woźnica gaduła, a przed nami był stromy kręty zjazd i na dole, w odległości 17. wiorst, widać było następną stację. [26] Z lewej strony były skały, a z prawej urwisko. Woźnica, rozmawiając i co chwila odwracając się do mnie, nie zauważył, jak prawe przednie koło najechało na olbrzymi głaz kamiennego ogrodzenia. Wstrząs był tak silny, że moja waliza, stojąca przede mną, wypadła z lewej strony na ziemię, a od przyprzężnego konia odskoczył orczyk z postronkami i walił go po nogach. Koń zaczął wierzgać, zrzucił woźnicę z kozła i gdy Arkadij wyskoczył, by podnieść walizę, trojkę poniosło. Woźnica znalazł się pod bryczką, ciągnięty na lejcach, które miał zarzucone na plecy. Lejce się zerwały i bryczka z całym rozpędem toczyła się za końmi, rzucając mnie z jednej strony na drugą. Instynktownie położyłem się głową w stronę koni, trzymając się kozła, by nie wypaść. Zauważywszy jedną dyndającą wolno lejcę, schwyciłem ją i zacząłem ciągnąć. Na szczęście lejca ta skierowała konie na skałę, gdyż okazała się lewą lejcą od prawego prowadzącego. Dyszel uderzywszy w skałę złamał się, bryczka najechała na skałę i konie zatrzymały się.

Z pomocą dwóch Tatarów, wiozących siano pod górę z naprzeciwka, podniosłem silnie poturbowanego i klnącego z bólu woźnicę, walizę i mojego Arkadija, który wyskakując z bryczki uderzył ręką w skałę i paskudnie zranił się w nadgarstek. Do stacji pozostało 5 wiorst. Wziąwszy z wozu siana do bryczki, umieściłem w niej woźnicę. Zawiązałem chustką rękę Arkadija i posadziwszy go na swoje miejsce, wyprzągłem przyprzężnego. Puściłem go przodem, zahamowałem lejcami wszystkie koła, zająłem miejsce woźnicy i w ten sposób dojechaliśmy do stacji. Woźnica dojechał martwy. Pod wieczór dotarłem do Symferopola, dostałem gorączki i dwa miesiące mojego urlopu przeleżałem w łóżku. Rozchorowałem się, mając przez cały czas przed oczami ten wypadek i niebezpieczeństwo, na które byłem narażony.

## **[Odessa, Popowa Grobla, Berdyczów, powstanie styczniowe Polaków]**

[27] We wrześniu, pożegnawszy się ze wszystkimi, wyjechałem do Sewastopola. Zacząłem bać się każdego zjazdu i to uczucie do takiego stopnia zakorzeniło się we mnie, że nie tylko wysokie góry, ale nawet strome schody powodowały, że oblewał mnie zimny pot i zamierało serce.

Zameldowałem się w Sewastopolu u komendanta batalionu Mińskiego Pułku, jednak nie na długo, gdyż wkrótce po moim przybyciu batalion z całym ekwipunkiem zaokrętowano na korwetę „Tygrys” i odpłynęliśmy do Odessy. Po raz pierwszy w życiu doświadczyłem takiej morskiej huśtawki, która mało komu się przytrafia. Przez dwie doby przerzucało nas od burty do burty i cały batalion cierpiał strasznie. Szóstego dnia dotarliśmy do Odessy i przybiliśmy do jakiejś przystani zbożowej. Batalion zakwaterowano w spichlerzu. Wziąłem dorożkę i ruszyłem na poszukiwanie kwatery oficerów 14. batalionu strzeleckiego braci Kolbe, gdzie mieszkał mój brat Konstantin. Tam się też zakwaterowałem. Okazało się, że mój brat występuje na scenie. W tamtym czasie ukształtowała się kariera Komissarzewskiego<sup>35</sup> i Abarinowej<sup>36</sup>, i w podczas mojego dwutygodniowego pobytu w Odessie miałem okazję wielokrotnie słuchać tych śpiewaków na przedstawieniach operowych.

Często spędzałem też czas z rodziną Siewastjanowów. Bardzo spodobała mi się ich córka Aniuta. W pułku zastałem porucznika Anastasjewa<sup>37</sup>, syna generała, z którego żoną moja mama przyjaźniła się od dzieciństwa, więc i ja z Aleksandrem Konstatinowiczem zaprzyjaźniliśmy się. W przyszłości został on czernigowskim gubernatorem, a później senatorem. Swoją karierę zawdzięczał generałowi Triepowowi<sup>38</sup>.

W Odessie otrzymałem list od Malwiny. Odpowiadając, poinformowałem ją o naszym wymarszu do miejscowości Czeczelnik<sup>39</sup> w guberni kamieniecko-podolskiej. Do nowego miejsca zakwaterowania w Czeczelniku przybyliśmy późną jesienią. Zostałem przydzielony do 3. strzeleckiej rotty porucznika Brzeskiego i wyruszyliśmy do zimowej kwatery we wsi Popowa Grobla, znajdującej się 16 wiorst od dowództwa w Czeczelniku. 5 czerwca 1861 roku podczas ćwiczeń otrzymałem mianowanie na stopień podporucznika.

[28] Nudno i monotennie żyło się we wsi Popowa Grobla podczas zimy. Za całe towarzystwo służyła nam rodzina tamtejszego duchownego Birta, u którego często spędzaliśmy czas. Rodzina Birta, prócz niego samego, nie mówiła po rosyjsku, choć wszyscy w niej byli prawosławni. Mnie, Rosjanina, bardzo to dziwiło. Później przestałem się już dziwić, ponieważ żona

<sup>35</sup> Fiodor Pietrowicz Komissarzewski (1838-1905) – śpiewak operowy; ojciec aktorki W.F. Komissarzewskiej i reżysera F.F. Komisarzewskiego.

<sup>36</sup> Antonina Iwanowna Abarinowa (1842-1901) – śpiewaczka operowa i aktorka.

<sup>37</sup> Aleksandr Konstantinowicz Anastasjew (1837-1900) – syn generała Konstantina Nikołajewicza Anastasjewa (1792-1879).

<sup>38</sup> Fiodor Fiodorowicz Triepow (1812-1889) – generał kawalerzysta.

<sup>39</sup> Czeczelnik (dziś na Ukrainie), zob. [http://dir.icm.edu.pl/pl/Słownik\\_geograficzny/Tom\\_I/781](http://dir.icm.edu.pl/pl/Słownik_geograficzny/Tom_I/781)

i dzieci duchownego urodziły się w Popowej Grobli, gdzie wśród chłopów nikt nie mówił po rosyjsku. Mój dowódca Brzeski też był Polakiem, żołnierze w rocie byli Polakami i chcąc nie chcąc sam musiałem zacząć mówić po polsku.

Miejski klub w Olhopolu<sup>40</sup> wraz z naszą orkiestrą pułkową były wynajęte na cały sezon zimowy. Zimą dosyć często chodziliśmy tam na wieczorki. Całe towarzystwo było polskie i bardzo szybko zaprzyjaźniliśmy się z nim. W moim pułku był młody, 24-letni major **Pilar von Pilchau**<sup>41</sup>. Przeszedł do nas ze sztabu batalionów gwardii. Z tym Pilarem bardzo się zbliżyliśmy, a ponieważ był wspaniałym kompanem, a do tego dość bogatym, stale zbierała się u niego ferajna oficerów, których karmił i poił. Pilar łatwo się upijał i w tym stanie wyczytniał masę psot z Żydami. Te wybryki słono go kosztowały, gdyż płacił Żydom, by się na niego nie skarżyli, i Żydzi zaczęli go wykorzystywać. Ze wszystkich oficerów tylko ja miałem na niego wpływ. Korzystając z tego, niejednokrotnie wyciągałem go z opresji. Wyglupom, które często stawiały mnie w niezręcznej sytuacji, nie było końca.



rała się u niego ferajna oficerów, których karmił i poił. Pilar łatwo się upijał i w tym stanie wyczytniał masę psot z Żydami. Te wybryki słono go kosztowały, gdyż płacił Żydom, by się na niego nie skarżyli, i Żydzi zaczęli go wykorzystywać. Ze wszystkich oficerów tylko ja miałem na niego wpływ. Korzystając z tego, niejednokrotnie wyciągałem go z opresji. Wyglupom, które często stawiały mnie w niezręcznej sytuacji, nie było końca.

Nie zapomnę jednego nader oryginalnego epizodu. Pilar zawsze trzymał czwórkę bardzo dobrych koni i powóz. Pewnego razu, gdy w mieście Bałta<sup>42</sup> odbywał się duży jarmark, Pilar poprosił dowódcę pułku, by ten zezwolił jemu i mnie pojechać tam. Pułkownik Kozlianinow zgodził się. [29] Gdy usiedliśmy w powozie, Pilar rozkazał ordynansowi odziać się w liberię i siąść na koźle, po czym wyjechaliśmy z Czeczelnika. Przez całą drogę ani słowem nie wspomniał o tym, że chce wywinąć jakiś numer. Choć mieliśmy ze sobą sporo wódki, wina i zakąsek, gdy zatrzymaliśmy się na jednej ze stacji, by konie odpoczęły, prawie niczego nie wypili i był trzeźwy. Gdy podjeżdżaliśmy do Bałty, Pilar rozkazał woźnicy zatrzymać się, poprosił, abym podniósł się z siedzenia, wyjął ze skrzynki biskupi kłobuk i mantiję. Przyoblekłszy się w ten strój, kazał woźnicy wjechać do miasta. Nie mając pojęcia, skąd wytrzasnął taki ubiór, błagałem, by go zdjął i nie robił skandalu, ale wszystkie moje prośby były daremne.

<sup>40</sup> Olhopol (dziś na Ukrainie) – w 1923 utracił prawa miejskie.

<sup>41</sup> Fiodor Pilar von Pilchau (1835-?).

<sup>42</sup> Bałta (Józefgród) – miasteczko nad rzeką Kodymą założone przez J. Lubomirskiego.



W takim stanie wjechaliśmy w tłum na placu jarmarcznym. Ludzie, widząc dostojnych podróżnych, zdejmowali czapki z głów, a Pilar błogosławił ich na prawo i na lewo. Przejechawszy się po mieście, zatrzymaliśmy się przed zajazdem, w którym zajęliśmy najlepszy pokój. Nie mogąc już powstrzymać histerycznego śmiechu, padłem na łóżko. Po mniej więcej 10 minutach do naszego pokoju wszedł bałcki policmajster z zapytaniem, „czy zatrzymał się tu przewielebny?”. Oczywiście wyjaśniliśmy, że żadnego biskupa nie widzieliśmy i policmajster na próżno szukał go po całym zajeździe.

W tym samym 1861 roku, latem, nasz pułk wyznaczono do poskromienia chłopów, którzy zbuntowali się przeciwko ziemianom. Podolski gubernator Braunschweig<sup>43</sup> przyjeżdżał do wsi i chłostał podżegaczy dopóty, dopóki chłopci nie przysięgli, że będą pracować. Żołnierzy rozmieszczono w chłopskich izbach na pełnym utrzymaniu gospodarzy i chłopci poddali się.

8 dywizja piechoty kwaterowała w Berdyczowie. Na jej komendanta wyznaczono generała Maniukina<sup>44</sup>, który przeniósł do tej dywizji mojego brata Wasilija na stanowisko starszego adiutanta. Zupełnie nieoczekiwanie otrzymałem od niego list, [30] w którym proponował, abym wziął urlop i przyjechał do niego. Do pułku już bym nie wrócił, gdyż generał Maniukin miał przenieść mnie do swojej dywizji. Oczywiście wziąłem urlop, szybko się spakowałem, zabrałem ordynansa Arkadija i pojechałem do Berdyczowa. Tam, chcąc nie chcąc, dobrze poznałem żonę generała Maniukina, która przez długi czas miała olbrzymi wpływ na mojego brata i jego życie.

Dość szybko, bo już 5 października wcielono mnie do Połtawskiego Pułku Piechoty, a 2 listopada dostałem przeniesienie na stanowisko dywizyjnego oficera liniowego. Naczelnikiem sztabu dywizji był pułkownik Różycki<sup>45</sup>, który odnosił się do adiutantów i do mnie po przyjacielsku. Wszyscy się u niego stołowaliśmy. Różycki często odwiedzał rodzinę kupca Szafnagela<sup>46</sup> i zalecał się do jego córki, bardzo ładnej dziewczyny, i nie ukrywał przed nami swego zamiaru poślubienia jej.

<sup>43</sup> Rudolf Iwanowicz Braunschweig (1822-1880).

<sup>44</sup> Zachar Stepanowicz Maniukin-Nieustrujew (1799-1882).

<sup>45</sup> Edmund Różycki (1827-1893) – pułkownik armii rosyjskiej, polski generał w powstaniu styczniowym, kierował powstaniem na Wołyniu i Podolu.

<sup>46</sup> J. Stempowski, *Esej Berdyczowski*: „Przy ulicy Machnowieckiej, głównej arterii Berdyczowa, znajdował się sklep Szafnagla, do którego panowie szlachta z bliższych i dalszych okolic, zwłaszcza przed świętami i uroczystościami rodzinnymi, przyjeżdżali po pieprz, imbir, wanilię i inne towary kolonialne. Był to centralny punkt polskiego Berdyczowa”; zob. [http://www.magyarulbabelben.net/works/pl/Stempowski,\\_Jerzy\\_/Esej\\_Berdyczowski](http://www.magyarulbabelben.net/works/pl/Stempowski,_Jerzy_/Esej_Berdyczowski)



*Edmund Różycki*

Żyło się nam w Berdyczowie bardzo wesoło. Często organizowaliśmy pikniki i wieczorki, na których Różycki zawsze bywał z panną Szafnagel. Czas toczył się beztrudnie. Nikt z nas nie interesował się wówczas polityką i nie wiedział, co dzieje się nieopodal. Siedząc pewnego razu po obiedzie u Różyckiego w wesołym i przyjacielskim towarzystwie, nie zwróciliśmy uwagi na jednego ze sztabowych kancelistów, który wszedł do pokoju i podał Różyckiemu zapieczętowany pakiet.

Różycki zaczął czytać list, a my zauważyliśmy, że w trakcie czytania pobałdł i zadrżały mu ręce. Przeczytawszy list, wstał, wyszedł do swojego pokoju i długo stamtąd nie wracał. Na próżno czekaliśmy dłuższy czas w nadziei, że dołączy do naszej kompanii. Wreszcie rozeszliśmy się do domów. Od tego czasu Różycki był nie do poznania: zawsze poważny, zamyślony i skupiony na sobie samym. Na nic zdały się nasze próby uzyskania informacji o przyczynie tej zmiany. Przestał nawet odwiedzać Szafnagelów. Całymi dniami pisał do kogoś listy i sam odnosił je na pocztę. Tak mijały dni, tygodnie, a my niczego nie mogliśmy się od niego dowiedzieć. Widocznie jednak i on poczuł się niezręcznie wobec nas, widząc naszą troskę o niego, gdyż pewnego razu podczas obiadu powiedział nam, że chce prosić o urlop, aby się ożenić, a potem [31] przenieść się gdzieś do Rosji do innej dywizji.

To nas uspokoiło. Niedługo po tym Różycki wyjechał, żegnając się z nami jak z krewnymi i ludźmi bliskimi jego sercu. Później dowiedziałem się, że podczas całego polskiego buntu był generałem, organizatorem polskich wojsk, działał w Rządzie Narodowym w Paryżu, gdzie zorganizowano centralne kierownictwo emigracyjne kierujące buntem. Wielu twierdziło, że przywódca bandy, znany jako generał Kruk, to nie kto inny jak Różycki<sup>47</sup>.

Po wyjeździe Różyckiego szefem sztabu został podpułkownik Kwiatkowski, który był bardzo niesympatyczny. Ów Kwiatkowski zakochał się w żonie generała Karmalina<sup>48</sup> i zwariował.

<sup>47</sup> „Krukiem” był generał Michał Heidenreich (1831-1886), a nie Różycki.

<sup>48</sup> Nikołaj Nikołajewicz Karmalin (1824-1900). Jego żona, Lubow’ Iwanowna Karmalina

Zupełnie dla mnie nieoczekiwanie generała Maniukina powołano na dowódcę 2-giej dywizji kwaterującej w Połocku. Pod koniec 1861 roku generał pojechał tam i zabrał ze sobą mojego brata Wasilija, a 10 stycznia 1862 roku ja także zostałem wcielony do Libawskiego Pułku Piechoty jako dywizyjny oficer liniowy. Dowódcą Libawskiego Pułku był pułkownik Surkow<sup>49</sup>. Po przybyciu do Połocka generał Maniukin, jako naczelnik wojskowej administracji, 2 lutego wyznaczył mnie rozkazem hrabiego Lüdersa, ówczesnego namiestnika i dowódcy I Armii, na stanowisko urzędnicze u siebie<sup>50</sup>.



*Aleksander Lüders*

22 marca uzyskałem przeniesienie do Libawskiego Pułku. W tamtym czasie na punktach granicznych między naszymi i pruskimi oficerami zawiązała się przyjaźń. Wielu oficerów Rewelskiego Pułku jeździło z Mławy do pobliskiego Neidenburga [Nidzicy], gdzie byli gościnnie przyjmowani przez miejscowy garnizon. Później Rewelski Pułk zorganizował u siebie w klubie Zgromadzenia Szlacheckiego wieczór dla pruskich oficerów i ich rodzin.

O tym wieczorze pisano w berlińskich gazetach, chwaląc gościnność Rosjan. Wówczas pruski król za pośrednictwem ministra wojny wyraził życzenie, aby pruscy oficerowie odwzajemnili się tym samym Rosjanom. Nasza dywizja otrzymała od neidenburgskiego garnizonu i społeczności miasta zaproszenie na bal w Neidenburgu. Pojechałem tam z bratem i z wieloma innymi oficerami. 25 marca wyjechaliśmy do Mławy, gdzie spotkała nas delegacja garnizonu, miasta oraz okolicznych neidenburgskich ziemian. Następnego dnia całe towarzystwo rosyjskich oficerów we wspaniałym orszaku, składającym się z dwunastu powozów i sań, z przystrojoną uprzężą, z jeźdźcami wierzchem na przedzie wyruszyło w drogę i pod wieczór przybyło do Neidenburga.

(z domu Belennicyna), była znaną wówczas śpiewaczką-amatorką.

<sup>49</sup> Iwan Aleksandrowicz Surkow (1809-1872) – tłumił powstanie styczniowe, później jako generał-major był gubernatorem lubelskim. Pochowany w Lublinie, gdzie zachował się jego nagrobek na cmentarzu prawosławnym.

<sup>50</sup> Aleksander Nikołajewicz Lüders (1790-1874) – od 1861 namiestnik w Królestwie Polskim.

W mieście tym [32] zawczasu przygotowano wielki dom z wystrojonymi pokojami, z bardzo wygodnymi łózkami i łazienkami dla nas wszystkich. W olbrzymiej sali nakryto stół, abyśmy mogli najpierw pokrzepić się herbatą, kawą i różnymi zakąskami, a następnie dano nam czas na przebranie się przed zapowiadającym balem.

O 10 wieczorem podjechały powozy z delegacją, by przewieźć nas do miejskiego ratusza, gdzie miał odbyć się bal. Cały budynek był udekorywany z zewnątrz i wewnątrz rosyjskimi flagami, wszystkie damy w białych sukniach, a gdy pojawiliśmy się, orkiestra odegrała rosyjski hymn narodowy. Następnie przedstawiono nas obecnym damom i otwarto bal polonezem.

Po zakończeniu tańców podano wyśmienitą kolację, podczas której obok każdego oficera siedziała dama. Wygłoszono wiele toastów za przyjacielskie stosunki pomiędzy Prusami a Rosją, i o 7 rano wszystkich odwieziono do przygotowanych pomieszczeń. O pierwszej po południu w tym samym ratuszu podano śniadanie, a następnie ziemianie rozdzielili nas między siebie i zabrali do swoich majątków. Przez 7 kolejnych dni wożono nas od dworu do dworu każdego z tych ziemian na organizowane dla nas wieczorki. Gdy wróciliśmy do Połocka, napisano o tej imprezie w stołecznych rosyjskich gazetach.

Wśród polskiego społeczeństwa w całym Królestwie Polskim nastał czas fermentu i Polacy zaczęli nieprzyjaźnie odnosić się do rosyjskich oficerów i żołnierzy. Nasze stosunki zaostrzyły się. Polacy, zwłaszcza Polki, na każdym kroku znieważali oficerów, wylewali im z okien na głowy nocniki, gdy przechodzili ulicą. W tym czasie naczelnikiem był książę Gorczakow<sup>51</sup>.



*Aleksander Gorczakow*

Naród polski pod przywództwem agitatorów zaczął zbierać się w kościołach przeciwko rosyjskiemu rządowi i śpiewać zakazane pieśni: „Boże coś Polskę”, „Z dymem pożarów”.

Wszystkie te demonstracje były już niejednokrotnie opisane w prasie, dlatego nie będę powtarzał tego, co jest wiadome. Powiem jedynie, że jako wojskowy urzędnik, którego obowiązkiem było sprawdzanie i badanie wszystkich antyrządowych wystąpień Polaków, z bó-

<sup>51</sup> Aleksander Michajłowicz Gorczakow (1798-1883) – dyplomata i działacz państwowy.



lem śledziłem wypadki i nie zawsze nadążałem za wszystkim, co się działo.

Żadnych radykalnych [33] rozporządzeń ze strony naszej administracji nie było i wojska rosyjskie bezkarnie obrażano na każdym kroku. Byliśmy tym bardzo zaskoczeni i potulnie znosiliśmy wszystkie zniewagi. Szefem sztabu 2. dywizji był w tym czasie pułkownik Heinz. Razem prowadziliśmy dziennik o wszystkim, co przynosiło nam hańbę, opisując bieżącą sytuację i nie wdając się w krytykę tej czy innej strony. Na podstawie tego dziennika można było ustalić błędy i wskazać te niewytrzymujące krytyki działania przedstawicieli administracji w Kraju, które w przyszłości miały ogromne znaczenie i umożliwiły Polakom powstanie przeciwko rządowi z bronią w rękę, przynosząc taką masę ofiar wśród ludności.

W sierpniu przyszedł rozkaz o przeniesieniu naszej dywizji na północny-zachód Kraju do dyspozycji generał-gubernatora Nazimowa<sup>52</sup>.

*Władimir Nazimow*

23 sierpnia zostałem odkomenderowany do wileńskiej i grodzieńskiej guberni do sporządzenia dokładnego raportu o rozlokowaniu dywizji. W listopadzie, ukończywszy raport, przybyłem do Wilna. Sztab dywizji mieścił się w Grodnie. Gdy zjawił się tam mój brat, poznał rodzinę emerytowanego pułkownika Bielajewa i zakochał się w jego piętnastoletniej córce Aniucie. Zazdrosna pani Maniukina urządziła mu kilka gwałtownych scen, po których Wasilij oświadczył się i zaręczył z Anną Michajłowną. Postawiono mu warunek – ze ślubem miał poczekać przynajmniej rok.

W Grodnie poznałem rodzinę policmajstra, pułkownika Zmijewa. Mieszkali u niego rodzice jego żony, staruszkowie Chimotczenko. Przyjechał do nich syn, dopiero co awansowany na stopień oficerski w batalionie saperów, podporucznik Władimir Chimotczenko<sup>53</sup>. Choć ze względu na rozpoczęte działania wojenne urlopu mu nie przedłużono, zdążył mnie polubić



<sup>52</sup> Władimir Iwanowicz Nazimow (1802-1874) – działacz państwowy, gubernator Wileńszczyzny.

<sup>53</sup> Władimir Chimotczenko (1842 – 25.08.1863), Zob. [http://viupetra2.3dn.ru/publ/khimotchenko\\_v/13-1-0-1999](http://viupetra2.3dn.ru/publ/khimotchenko_v/13-1-0-1999)

i codziennie zabierał do domu swoich rodziców na obiad. Nastął czas jego wyjazdu. Ojciec z matką strasznie rozpaczali, martwili się z powodu rozłąki i ze łzami żegnali syna. Chimotczenko żegnając się ze mną obiecał pisać do mnie listy.

[34] Po jego wyjeździe z Grodna przez długi czas ani ja, ani rodzice Władimira nie otrzymywaliśmy od niego żadnych wiadomości. Staruszkowie bardzo się niepokoiли, codziennieypytywali, czy nie otrzymałem listu od Wołodi. Obawiali się, że jest chory, ranny lub wręcz nie żyje. Obawy te się sprawdziły. Po miesiącu otrzymałem list z Iwangorodu od lekarza tamtejszego szpitala wojskowego z wiadomością, że Chimotczenko trafił do oddziału saperów przewożącego pieniądze z Iwangorodu do Warszawy i podczas napadu bandy buntowników w zerzeńskim lesie<sup>54</sup> został dziewięciokrotnie ranny i jest umierający. Wraz z tą wiadomością był list napisany słabą, drżącą ręką Chimotczenki, w którym, żegnając się ze mną, prosił, abym przygotował staruszków-rodziców na sądzoną mu śmierć i błagał, abym ich nie zostawił i pocieszył.

Wzruszony do łez tymi słowami (list wciąż posiadam), nie mogłem pojawić się w domu Zmijewa, aby się nie zdradzić. Nie poszedłem do nich na obiad, mówiąc, że jestem chory. Następnego dnia otrzymałem od doktora telegram z wiadomością, że podporucznik Chimotczenko zmarł, i że pozostałe po nim rzeczy wysyła pocztą. Trzeba było być na moim miejscu, żeby zrozumieć tę wewnętrzną mękę, która mnie opanowała. Wiedziałem, że rodzice Chimotczenki nie zniosą nieoczekiwanej utraty jedyne go syna. Nie wiedząc, jak mam ich przygotować na tę fatalną wieść, snułem się z kąta w kąt. Byłem w sytuacji bez wyjścia. Gdy przyszedł do mnie posłaniec od Zmijewa z zaproszeniem na obiad, zleciłem mu, by przekazał, że nie mogą przyjść, bo jestem chory. Po pewnym czasie Zmijew przyjechał do mnie w odwiedziny, więc powiedziałem mu, w czym rzecz. Ze łzami w oczach zaczął mnie prosić, abym pojechał z nim, gdyż sam nie będzie w stanie [35] pokazać się na oczy staruszkom. Z ciężkim sercem udałem się do nich i choć starałem się trzymać, widząc biednych rodziców zmarłego, wbrew woli rozplakałem się, powiadamiając ich o tym, co zaszło. Staruszek ojciec histerycznie zaszlochał, matka zaś zemdlala i przez dłuższy czas nie mogliśmy jej docucić. Zmijew posłał po doktora, który w żaden sposób nie mógł pani Chimotczenko uspokoić. Po tygodniu przyszła paczka z przestrzelonym w kilku miejscach płaszczem, czapką i kieszonkowym zegarkiem zmarłego. Wszystkie te rzeczy przekazałem staruszkom.

<sup>54</sup> Zerzeń – miejscowość pod Warszawą.

24 lutego odkomenderowano mnie na stanowisko adiutanta w Bielskim i Wysokim-Litewskim oddziale, którego dowódcą był pułkownik Molner. Sztab mieścił się w należącym do księcia Sapiehy miasteczku Wysokie Litewskie. W skład oddziału wchodził Sofijski Pułk Piechoty, dwa szwadrony Sankt-Petersburskiego Pułku Ułanów, dwie setki Kozaków (Dońskich) i dwa działa. W ciągu reszty dni lutego i przez cały marzec oddział nasz dzielono na pododdziały i w różnych kierunkach szukaliśmy band buntowników.

W kwietniu odłączono Pułk Sofijski od naszej jednostki, tworząc odrębny Oddział Bielski pod dowództwem komendanta pułku. Na jego miejsce przybył Pułk Rewelski. Pułkownika Molnera zastąpił generał Beklemiszew<sup>55</sup>, a na naczelnika sztabu wyznaczono rotmistrza Lejb-Huzarskiego Pułku N. N. Mosołowa.

11 kwietnia w składzie pierwszego batalionu Pułku Rewelskiego, dwóch rot drugiego Batalionu Strzelców, dwóch szwadronów husarii i dwóch setek Kozaków z dwoma działami wyruszyliśmy na poszukiwanie i dopiero 22 kwietnia dopadliśmy szajkę w okolicach wsi Hornowo<sup>56</sup>. W lesie wywiązała się strzelanina z buntownikami. Liczebności bandy nie znaleźliśmy. Zsiadłem z konia, oddałem go ordynansowi, a sam z tyralierą wszedłem w gąszcz lasu, gdzie za każdym drzewem stali [36] buntownicy, celując w nas z karabinów. Zobaczywszy masę powstańców, nasi żołnierze na rozkaz dowództwa rzucili się na hura w bój na bagnety i buntownicy zaczęli uciekać, zostawiając na miejscu 60 zabitych i 16 rannych wraz z całym taborem różnych rzeczy. Tego dnia była rocznica śmierci mojej mamy i przypomniałem sobie o niej wraz z pierwszym wystrzałem w lesie. Pojawiło się we mnie przecucie, że i ja zostanę zabity, jednak Bóg uratował mnie, choć moje życie wisiało na włosku. Gdy weszliśmy tyralierą w gąszcz lasu, jeden z żołnierzy krzyknął do mnie „Wasza Wielmożność, uwaga!” i odepchnął mnie. Zza drzewa, jakieś 6 metrów ode mnie, rozległ się wystrzał, kula ze świstem walnęła w pień sąsiedniego drzewa. Żołnierz podbiegł do strzelającego i bagnetem przeszył mu pierś. Żołnierz nazywał się Gordienko. Po zakończeniu starcia naszych wojsk z buntownikami przedstawiłem go generałowi Beklemiszewowi i podarowałem mu wszystkie posiadane wówczas pieniądze – 28 rubli. Za zasługi tamtego dnia Gordienko otrzymał Gieorgijewski Krzyż, a ja Stanisława 3. stopnia z mieczami i kokardą (22 czerwca).

W ciągu całego lata aż do sierpnia bez przerwy znajdowaliśmy się w marszu, poszukując po wsiach i w lasach buntowników. Dopiero w sierpniu, po

<sup>55</sup> Nikołaj Pietrowicz Beklemiszew (1811-1893).

<sup>56</sup> Wieś w obecnym województwie podlaskim.

moim powrocie do sztabu w Wysokim Litewskim, wszystko się uspokoiło, ponieważ bandy buntowników zostały rozproszone i więcej nas nie nękały.

Przez cały czas rozłąki z moją Malwiną pisałem do niej w każdej wolnej chwili. Od niej także otrzymywałem listy, w których mówiła o bólu związanym z naszą rozłąką i o pragnieniu jak najszybszego spotkania się ze mną.

Korzystając z pobytu w Wilnie Lejb-Gwardyjskiego Fińskiego Pułku, wyruszyłem tam, przedstawiłem się dowódcy – generałowi Ganieckiemu<sup>57</sup> – i poprosiłem o wstawiennictwo w sprawie przeniesienia mnie do tego pułku. Zdecydowałem się prosić o to, gdyż pragnieniem Malwiny było, abym wstąpił na służbę do gwardii, gdyż wtedy jej rodzice bez zastanowienia zgodziliby się na nasz ślub.



*Iwan Ganiecki*

Generał Ganiecki rozkazał, by przedstawiono mu notatkę służbową i 4 września zostałem wcielony do pułku, a 6 października przybyłem do Petersburga. Pułkiem dowodził wówczas generał Szebaszew<sup>58</sup>.



*Nikołaj Szebaszew*

<sup>57</sup> Iwan Stiepanowicz Ganiecki (1810-1887).

<sup>58</sup> Nikołaj Michajłowicz Szebaszew (? - 1882).



### [37] [Pożegnanie z Malwiną]

W Fińskim Pułku w owym czasie służyła wspaniała grupa oficerów. Od razu zostałem dobrze przyjęty przez kolegów i zamieszkałem w jednym mieszkaniu z trzema braćmi Procopé<sup>59</sup> na Wyspie Wasiljewskiej<sup>60</sup> w domu Bucha № 13. 5 maja 1864 roku odbyło się moje oficjalne przeniesienie do tego pułku. Osiągnąwszy zamierzony cel i zaliczywszy ćwiczenia w terenie, napisałem do Malwiny list, na który otrzymałem odpowiedź, że wciąż niecierpliwie czeka na mnie. We wrześniu, wzięwszy dwumiesięczny urlop i uzyskawszy zgodę dowódcy pułku na zawarcie małżeństwa, ruszyłem na Krym z radosną myślą, że po tak długotrwałej rozłące spotkam się z Malwiną. Nigdzie się nie zatrzymując, śpieszyłem pełen nadziei, że wracać będę już z żoną i przez całą drogę snułem marzenia o czekającym mnie szczęściu, wiążącym mój los z tą, którą kochałem tyle lat. Jednak, „człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi”.

Przybyłem do Nataszyna pod wieczór. W domu zastałem staruszków, którzy ucałowali mnie, ciesząc się z mojego przyjazdu. Malwina z Kostią byli w tym czasie w sąsiedztwie u Freinbergów, więc od razu po nich posłano. Po chwili do pokoju wbiegł Kostia i rzucił mi się na szyję, a w ślad za nim weszła Malwina z jakimś oficerem marynarki. Malwina bardzo chłodno się przywitała i zaraz potem przedstawiła mi miczmaną Sawicza. Nie wiem dlaczego, ale zrobiło mi się ciężko na sercu. Malwina była nie tą co dawniej, czerwieniła się i unikała mojego wzroku. Ogólne rozmowy o tym, co działo się ze mną przez ten cały czas, były jakieś sztuczne, naciągane i czekałem tylko na chwilę, gdy będę mógł być z Malwiną sam na sam, lecz widocznie ona tego nie chciała. Gdy wieczór dobiegł końca, po kolacji, rozeszliśmy się do swoich pokoi. Poszedłem [38] do pokoju Kostia, gdzie przygotowano dla mnie spanie. Od razu poprosiłem Kostię, by poszedł do Malwiny i poprosił ją, by wstała rano wcześniej i wyszła do sadu, gdzie będę na nią czekał. Kostia poszedł, a po powrocie powiedział, że Malwina obiecała spełnić moją prośbę. Mimo dużego zmęczenia, byłem tak przejęty i zdenerwowany, że przez całą noc nie mogłem zasnąć i o szóstej rano wyszedłem do groty w sadzie. Chwilę potem przyszła Malwina. Rzuciłem się do niej, by ją pocałować, lecz ona zimno odpowiedziała, że podczas tak długiej rozłąki nie była w sta-

<sup>59</sup> Wiktor (1839-1906) i Herman (1841-1905) Procopé – w przyszłości generałowie (z pochodzenia Finowie).

<sup>60</sup> Dzielnica Petersburga.

nie zachować dawnych uczuć i teraz musi sprawdzić, jak dużo przetrwało w niej sympatii do mnie. Gdy wspomniałem o jej listach, odpowiedziała, że nie zawsze można listom ufać. Tego w pełni wystarczyło, bym zrozumiał, o co chodzi. Na moje pytanie: „Czy nie lepiej będzie, abym nie krępował jej swoją obecnością i dał jej możliwość swobodnego wycofania się z danego mi słowa” – otrzymałem odpowiedź: „Jak Pan sobie życzy”. Nasze spotkanie na tym się zakończyło, gdyż oświadczywszy, że się boi, aby ktoś nas nie zobaczył, obróciła się i wyszła z groty. Zostałem sam. Uroniwszy łzę i chwilę pomyślawszy, co mam robić, postanowiłem wyjechać.

Przez cały dzień nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Zorganizowano kawkadę, jednak ja odmówiłem uczestnictwa w niej i spędziłem cały dzień ze staruszkami. Przekonałem ich, że koniecznie muszę wyjechać do Odessy do brata i obiecałem, że niedługo znowu przyjadę. Pod wieczór wrócono z kawkady, jednak Malwina nie zamieniła ze mną ani słowa.

Po kolacji pożegnałem się z nią i z resztą rodziny, i więcej jej już nie widziałem. Następnego dnia rano, napisawszy notatkę do staruszków i zostawiwszy ją na stole w pokoju Kostia, bez herbaty wyjechałem do Jałty, gdzie wynająłem w hotelu pokój i czekałem na statek do Odessy. Zebrałem wszystkie listy Malwiny, spakowałem w specjalną paczkę i dołączyłem notatkę z prośbą, by zwróciła mi moje, jeśli [39] je zachowała. Pożyczyłem jej dużo szczęścia w życiu i poprosiłem, by nie wspominała mnie źle. Paczkę wręczyłem umyślnemu Tatarowi i poleciłem, by przywiózł mi odpowiedź. Goniec wrócił z wiadomością, że bym oczekiwał wizyty Kostia.

Po pewnym czasie przyjechali do mnie Malwina z Kostią. Malwina powiedziała mi: „Nikołaju Nikołajewiczu, wypełniłam Pana prośbę i dziękuję, że tak szlachetnie postąpił Pan z moimi listami, a oto listy Pana”. (Podała mi ogromną paczkę moich listów). Kostia zaszlochał jak dziecko i pożegnaliśmy się.

### [Dwa miesiące w Odessie]

Nie rozpacziałem długo. Wychodząc z założenia, że „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”, uspokoiłem się, wsiałem na statek i odpłynąłem do Odessy. Do brata Jegora przybyłem zupełnie nieoczekiwanie. Wszyscy ucieszyli się, gdy zobaczyli mnie w gwardyjskim mundurze. Okazało się, że i mój ojciec mieszkał w tym czasie u brata. Przywitał mnie radośnie i z dumą pochwalił się, że rozpoczynał służbę w tym samym pułku.

O Malwinie bardzo szybko zapomniałem, hulając na całego. Z radością goszczono mnie jako gwardyjskiego oficera, a ja, będąc człowiekiem wolnym, panien nie unikałem. Przypomniawszy sobie symferopolską przyjaźń z Siewastjanowymi, zacząłem odwiedzać Anię i wkrótce zakochaliśmy się w sobie bez pamięci. Na krok mnie nie odstępowała i nasze oczarowanie przerodziło się w wielką namiętność.

Nie mniejsze powodzenie miałem u panny Bałabuchy, która pisała do mnie liściki i często wyznaczała spotkania na bulwarze, u Aleksiejewa<sup>61</sup> i na nabrzeżu. Nie przepuściłem ani jednego wieczoru w klubie Zgromadzenia Szlacheckiego. Tańczyłem do upadłego. W ten sposób spędziłem w Odessie całe dwa miesiące i czas ten przeleciał jak piękny sen. Szczerze żałując, że kończy się mój urlop, wyjechałem z Odessy z powrotem do jednostki w Petersburgu.

Zapomniałem wspomnieć, że mój brat Wasilij, ożeniwszy się z Anną Michajłowną Bielajewą, przeszedł do korpusu żandarmów i został mianowany na stanowisko powiatowego naczelnika wojskowego w Lidzie w guberni wileńskiej. Bielajew natomiast został zdymisjonowany i miał sprawę w sądzie, więc z całą rodziną – żoną i trzema synami – z braku środków do życia mieszkał u Wasilija na jego pełnym utrzymaniu.

## [W Petersburgu i w Wilnie]

Cały 1865 rok spędziłem w Petersburgu. Dzięki koligacjom i wspianiałym stosunkom [40] z rodziną Nikołaja Grigorjewicza Stratonowicza (inżyniera) oraz jego brata Grigorija Grigorjewicza<sup>62</sup> (pułkownika kawalerzysty), zamieszkałem u nich przy Izmajłowskim moście w domu Garnowskiego.

Rok ten był dla mnie bardzo ciężki pod względem materialnym. Ponieważ oprócz pensji żadnych środków do życia nie miałem, sporo doświadczyłem z powodu biedy. Młodość jednak wszystko ścierpi, żyło mi się wesoło. Powróciła namiętność do Anny Grigorjewny Stratonowicz, która okazywała mi sympatię i z którą z racji koligacji rodzinnych na wiele sobie pozwalaliśmy. Nie byłem obojętny również Lidii – jej siostrze z innej matki – i żyłem

<sup>61</sup> Znany w owym czasie zajazd-restauracja Aleksiejewa – słynął z blinów, kulebiaków i był miejscem spotkań złotej odesskiej młodzieży.

<sup>62</sup> Nikołaj i Grigorij (? – 1888) Stratonowiczowie – bracia Marii Grigorjewny, żony Jegora Nikołajewicza de Lazari.

jak pączek w maśle. Nie będę zagłębiał się w szczegóły mojego ówczesnego życia i wszystkich miłości. Był to czas młodości i opisywanie epizodów zauroczeń źle świadczyłoby o mnie jako mężczyźnie i o moim stosunku do kobiet. Wiodło mi się aż nazbyt słodko i na tym lepiej postawić kropkę. Nadzedł czas usatkwowania się, gdyż wszystko ma swoje granice.

Z wszystkich oficerów naszego Fińskiego Pułku byłem jednym z najbiedniejszych, z samej pensji zdecydowanie nie mogłem się utrzymać. Pożyczając to od jednego, to od drugiego kolegi po 15, 10 lub 5 rubli zadłużyłem się na około 200 rubli. Za radą jednego z kolegów, podpułkownika barona Sztakelberga, wziąłem od lichwiarza, emerytowanego pułkownika gwardyjskiego Kriwoszeina, 400 rubli na 10% miesięcznie. Otrzymaawszy te pieniądze, oddałem kolegom długi, sprawiłem sobie mundurowy surdut i kupiłem niektóre niezbędne rzeczy. Co miesiąc potrącano mi 40 rubli na spłatę samych procentów i z pensji prawie nic nie pozostawało. Sytuacja ta trwała przez 6 albo 7 miesięcy. Wreszcie znalazłem się w tak opłakanej sytuacji, że nie tylko kapitału (400 rubli), ale nawet procentów nie miałem z czego spłacać. Nie było wyjścia – złożyłem raport, że jestem chory i siedziałem w domu nigdzie nie wychodząc. Po miesiącu mojej niewypłacalności Kriwoszein wystąpił o egzekucję z weksla. Koledzy, wiedząc o moim żalosnym położeniu, przedstawili sprawę dowódcy pułku, prosząc go o wstawiennictwo. Przyjechał do mnie [41] pułkowy adiutant Bułdakow i oznajmił, że dowódca pułku chce mnie widzieć.

Gdy stawiałem się u generała Szebaszewa, ten zapytał, na jakich warunkach pożyczyłem pieniądze od Kriwoszeina. Po moim wyjaśnieniu oznajmił, że daje mi z oficerskiego kapitału 400 rubli z rozłożeniem spłaty na cztery lata. Pozostało mi tylko podziękować mu za wsparcie i wypłacić pieniądze Kriwoszeinowi.

Przy tak trudnym położeniu materialnym nie byłem w stanie kontynuować służby w Gwardii. Po długich rozmyślaniach doszedłem do wniosku, że muszę pojechać do brata do Lidy, by tam znaleźć jakiś inny rodzaj zajęcia. Uchwyciwszy się tej myśli, poszedłem do dowódcy pułku i poprosiłem o 28 dni urlopu.

Zebrawszy wszystkie swoje liche manatki, wyjechałem w marcu 1866 roku z Petersburga do Lidy. Po przybyciu do brata Wasilija opowiedziałem mu w czym rzecz. 27 marca awansowano mnie na porucznika. Pomieszkałem u brata około 20 dni, po czym wyruszyłem do Wilna, do tamtejszego gubernatora Stiepana Paniutina<sup>63</sup> z prośbą o przydzielenie mi jakiejś pracy. Paniutin zaproponował mi stanowisko kandydata na rozjemcę w Lidzie, na

<sup>63</sup> Stiepan Fiodorowicz Paniutin (1822-1885) – wileński gubernator (?-1868).



miejsce Jakowlewa, zwolnionego z tego stanowiska. Złożyłem podanie. Naczelnik Kraju był w tym czasie w Petersburgu, a ja musiałem być w Wilnie osobiście i czekać na mianowanie. Ponieważ kończył się mój urlop, przez powiatowego naczelnika wojskowego w Wilnie złożyłem raport o przedłużeniu go z powodu choroby i po uzyskaniu świadectwa lekarskiego otrzymałem zgodę.



*Konstantin Kaufman*

Zacząłem codziennie chodzić do kancelarii gubernatora, oczekując na akceptację mojej prośby przez generała gubernatora Kaufmana<sup>64</sup>. Podanie przesłano do Petersburga pocztą kurierską.

Mimo pośpiechu w załatwianiu mi tego stanowiska, musiałem przemieszkać w Wilnie oraz u brata w Lidzie całe cztery miesiące. Dopiero 4 czerwca zostałem odkomenderowany do 7-go rejonu, do rozjemcy – porucznika Uszakowa. Przewodniczył tam O.O. Ostrowidow, który poradził mi, abym pojechał do Wilna i przedstawił się Paniutinowi. Ten z kolei zasugerował, abym udał się do Petersburga i przedstawił generałowi Kaufmanowi, co oczywiście również zrobiłem. Wiedząc, że cała rodzina Stratonowiczów jest na swojej daczce w Carskim Siole, wyruszyłem do nich z wiadomościami o zmianach w mojej służbie. Stratonowiczowie przyjęli mnie jak zwykle serdecznie, ucieszyli się z moich sukcesów i pogratulowali zaradności w sprawach kariery.

[42] Stratonowiczowie mieli w Carskim Siole trzy domy, każdy z braci (Nikołaj, Grigorij i Paweł) swój, a przy jednym z nich była oficyna. Drugiego dnia po przyjeździe, wszedłszy do pokoju, którego okno wychodziło do sadu, zauważyłem, że w sadzie spacerują damy. Spytałem Nikołaja, kto mieszka w oficynie, a on mi na to: „Twoi dawni znajomi, rodzina Engelgardtów”.

<sup>64</sup> Konstantin Pietrowicz von Kaufman (1818-1882) – w 1865 r. został mianowany gubernatorem Północno-Zachodniego Kraju i naczelnikiem wileńskiego okręgu wojskowego.

## [Aleksandra Engelgardt]



Wcześniej zapomniałem wspomnieć, że służąc w Petersburgu, poznałem Engelgardtów i ich córki – Sofię i Marię. Rodzina ta przyjmowała w czwartki i niejednokrotnie odwiedzałem ich wieczorami. Oprócz tych dwóch córek była jeszcze trzecia – Aleksandra, która uczęszczała do Instytutu św. Katarzyny. Jej jednak wówczas nie poznałem. Po śmierci ich ojca, Aleksandra Iwanowicza, przestałem u nich bywać. Tylko raz kiedyś zobaczyłem Aleksandrę i jej matkę koło ich domu. Teraz, chcąc wznowić znajomość, wyszedłem do sadu i zbliżyłem się do siedzącej w fotelu z książką w ręce Marii Aleksandrowny, która najwyraźniej ucieszyła się

z mojego przyścia. (Maria Aleksandrowna miała wówczas chore nogi i nie mogła chodzić). Po pewnym czasie z oficyny wyszedł najstarszy syn Aleksander z matką, a w ślad za nimi pojawiły się Sofia i Aleksandra. Przywitawszy się ze wszystkimi, zacząłem rozmawiać z Aleksandrą, która od razu bardzo mi się spodobała, jednak ona najwidoczniej się spieszyła, gdyż uciekła do domu. Przysiadłem się do jej siostry Marii i powiedziałem, że Sasza bardzo mi się spodobała. Masza zaczęła opisywać mi jej zalety i wyznała, że bardzo się lubią i przyjaźnią. Tego dnia zostałem u nich na obiedzie i przez cały czas starałem się rozmową przyciągnąć uwagę Saszy. Z naszej konwersacji wywnioskowałem, że również ja wywarłem na niej dobre wrażenie. Tego wystarczyło, by zrodziła się we mnie myśl o kontynuowaniu tej znajomości i szukaniu towarzystwa Saszy. Stałem się więc codziennym gościem Engelgardtów. Wyruszając na spacer do Pawłowska, na koncert, towarzysząc im tam i z powrotem, zawsze byłem obok Saszy. Nasze stosunki z dnia na dzień stawały się coraz bliższe, coraz cieplej ściskaliśmy sobie dłonie na pożegnaniu i przy powitaniach.

W tym samym czasie [43] zalecał się do Aleksandry porucznik batalionu strzelców – Martynow, o którego stałem się zazdrosny i nie odstępowałem Saszy na krok. Zauważywszy, że podobam się jej bardziej niż Martynow, zacząłem zwierzać się ze swoich uczuć jej siostrze Marii, która chętnie zgodziła się być powiernicą i najwyraźniej starała się podtrzymać naszą wzajemną sympatię. Mówiła mi, że naruszyłem spokój Saszy i że boi się, abym na próżno nie niepokoił jej siostry. Jednak moja ciągła obecność przy Saszy sprawiła, że na dobre się w niej zakochałem. Ja także się jej spodobałem. Zaczęliśmy się wkrótce całować i przyrzekliśmy sobie, że na pewno się pobierzemy. Zaczęły się liściki i wyznaczanie spotkań poprzez jej starą nianię Annę, będącą naszym listonoszem, sownie przeze mnie wynagradzanym.

Czas mojego urlopu zbliżał się ku końcowi, postanowiłem więc poprosić matkę Saszy o jej rękę. Moja prośba była dla Marii Zacharowny (dzisiaj już świętej pamięci) nieoczekiwana – „jak grom z jasnego nieba” – a oświadczenia nader oryginalne. Wszedłszy wraz z nią do mieszkania, poprosiłem w przedpokoju, aby usiadła obok mnie na ławce. Między nami usiadł żółty piesek – jedyny świadek naszej rozmowy. Wspomniawszy o czekającym mnie wyjeździe do Lidy (na miejsce mojej służby), oznajmiłem, że zgodę Saszy już otrzymałem i teraz ją proszę o przyzwolenie na nasz ślub. Moja prośba była dla niej tak nieoczekiwana, że powiedziała tylko, iż porozmawia o tym z najstarszym synem Aleksandrem.

Wiedząc, że wszyscy bracia, oprócz Kosti i Koli, będą przeciwni temu małżeństwu, uznałem, że trzeba ją uprzedzić, iż córka zgodziła się zostać moją żoną nawet, gdyby rodzina była temu przeciwna. Tym śmiałym i zdecydowanym oświadczeniem udało mi się wyrwać z rodziny Engelgardtów tę, dzięki której byłem szczęśliwy przez resztę mego życia.

Takim sposobem zapewniłem sobie pozwolenie na ślub z jej córką. Maria Zacharowna poprosiła, [44] abym nie spieszył się z weselem i poczekał przynajmniej pół roku. Zgodziłem się na wszystko, byleby tylko osiągnąć cel i posiadać swój skarb. Z takimi myślami pożegnałem się z moją ukochaną narzeczoną i otrzymawszy przyzwolenie na korespondowanie z nią, pojechałem przygotowywać nasze gniazdko. Nie było dnia, abym nie podzielił się z nią w listach swoimi myślami, a moja niecierpliwość rozpałała się do tego stopnia, że nie byłem w stanie wytrzymać nawet połowy wyznaczonego terminu i w październiku, uzyskawszy 14 dni urlopu oraz zgodę na ślub, przyjechałem zabrać moją kochaną żonkę.

Rodzina Engelgardtów mieszkała wówczas na Fursztatskiej nr 47, w domu Lipsa, obok Parku Taurydzkiego. Z pomocą Konstantina znalazłem

umeblowany pokój na Litiejnej, gdzie ulokowałem się na same noclegi, ponieważ całe dnie spędzałem z moją narzeczoną u jej krewnych.



W związku ze zbliżającym się weselem wszyscy bracia często odwiedzali rodzinę i coraz bardziej się zaprzyjaźnialiśmy. Przed ślubem wożono mnie do różnych krewnych, abym mógł ich poznać i matka mojej przyszłej żony starała się tak przedstawić moją sytuację zawodową, by rodzina była przekonana, że jestem dobrą partią dla jej córki.

[45] W tamtym czasie najstarsza z sióstr – Sofia – podkochiwała się to w Kartaszowie, to w Arłowskim i najwyraźniej chciała wyjść za mąż. Druga córka, Maria, była zajęta losem swojej ukochanej siostry, mojej przyszłej żony i większą część dnia spędzaliśmy razem z nią. Nastął najbardziej gorący okres przygotowania posagu – przedmioty i pieniędzy – i w domu zaczęło się zamieszanie, jazda do pasażu handlowego, do krawcowych, do sklepów, i pewnie sama Sasza chciała już jak najszybciej wszystko zakończyć, byleby przyspieszyć wesele. Koniec końców ślub wyznaczono na 30 października rano w saperskiej cer-



<sup>65</sup> Twierdzę Dyneburg Rosjanie zbudowali w XIX wieku nad Dźwiną na miejscu polskich fortyfikacji z XVII wieku. Obecnie na terytorium Łotwy.



kwi Kosmy i Damiana<sup>66</sup>. W tym czasie przebywał w Petersburgu mój brat Wasilij z żoną. Zaproszenia na ślub przygotowywała rodzina Engelgardtów. Z mojej strony otrzymali je Achwierdowowie, Stratonowiczowie oraz porucznicy Gołubiew i Sztakelberg w charakterze друзów. Osobą zastępującą mi ojca był wujek Nikołaj Aleksandrowicz Achwierdow, matkę zaś – S. P. Stratonowicz [matka Marii – żony Jegora de Lazari]. Saszę reprezentowała jej matka oraz wujek Aleksander Zacharowicz Tielakowski, a друзami byli bracia Kostia i Kola. Na ślubie był też Wasilij z żoną.

Po uroczystości wszyscy udali się na śniadanie do mieszkania Engelgardtów, gdzie zawczasu wszystkie rzeczy były spakowane w kufry oraz kosze i przygotowane do odjazdu. Po śniadaniu, pożegnawszy się, wyruszyliśmy na dworzec Warszawski. Tam, kupiwszy bilety w przedziale pierwszej klasy i oddawszy rzeczy na bagaż, spędziliśmy jakiś czas z tymi, którzy przyszl nas odprowadzić. O szóstej wieczorem wyruszyliśmy w drogę.

## [Nowa era w moim życiu]

[46] Tak oto nastąpiła nowa era w moim życiu. Ożeniłem się i jadę ze swoją kochaną żoną do nieznanego i obcego jej kraju, gdzie nie ma nikogo z rodziny i bliskich jej ludzi. Otwiera się przed nią nieznaną świat. W pełni zdawałem sobie sprawę z sytuacji, w jakiej znalazła się moja biedna Sasza, ze wszystkich jej niepokojów, myśli i odczuć, spowodowanych całkowitym brakiem krewnych i przebywaniem sam na sam z człowiekiem, którego nie zdążyła jeszcze poznać, a któremu tak ufnie powierzyła swój los.

W rzeczy samej, młodej, niedoświadczonej i całkowicie niewinnej dziewczynie zawsze wydaje się bardzo ryzykowne poświęcenie się jedynie w imię miłości do człowieka, którego nie zna, a któremu postanowiła całkowicie się oddać. Podły jest ten mężczyzna, który nie spełni wszystkiego, co obiecał przed ślubem takiemu niewinnemu, bezgrzesznemu stworzeniu.

Z drugiej strony, duży błąd popełniają ci mężczyźni, którzy wyłącznie z sympatii do kobiety wiążą się z nią, zakładając, że da im ona szczęście w życiu. Dlatego w obu przypadkach – zamążpójście w pierwszym i ożenek w drugim – nie jest loterią, gdzie losowanie pokaże, kto wygrał, a kto przegrał. Niechaj ta moja spowiedź, po 29-letnim wspólnym życiu, posłuży za receptę. Kontynuuję więc.

<sup>66</sup> Wówczas drewniana cerkiew batalionu saperów. Na jej miejscu w latach 1877-1879 zbudowano cerkiew murowaną. Obecnie znajduje się tam stacja metra Czernyszewska.



*Nikołaj*

Nie chcąc od razu zachmurzyć myśli mojej żony w przejściowym dla niej okresie pomiędzy domem rodzinnym a nieznanym jej życiem, postanowiłem po drodze do Wilna zjechać na kilka dni do Dyneburga do jej brata Michaiła i wysłałem telegram o naszym przyjeździe. Nie zauważyłem, jak zleciał nam czas do Dyneburga, [47] ponieważ spędziliśmy go w namiętnych pieśczętach, nie zaprzatając swoich myśli niczym innym, jak tylko sobą.

Snuliśmy projekty naszego przyszłego życia. Przygotowywałem ją do tego, co czeka nas w Lidzie, starając się przewidzieć, co jest nam potrzebne do przytulnego i wygodnego wspólnego zamieszkania. Nastrój Saszy świadczył o tym, że mi ufa i jest szczęśliwa, ja zaś byłem pijany ze szczęścia i rozkoszy.

Po przybyciu do Dyneburga na stacji czekał na nas powóz brata Saszy, mogliśmy więc od razu wyruszyć do niego do twierdzy. W tamtym czasie Michaił miał dwójkę małych dzieci – Manię i Wołodię. Rodzina przyjęła nas bardzo gościnnie i serdecznie, przygotowała oddzielny pokój, ale choć byliśmy trochę zmęczeni podróżą, odpocząć nie mogliśmy, gdyż przez całą noc walczyliśmy z pluskwami, których było tak dużo, że zasnąć udało się nam dopiero nad ranem.

*Aleksandra*



Spędziliśmy u nich jeden dzień, po czym wyruszyliśmy dalej do Wilna. Tam wynajmłem pokój w Hotelu Europejskim, w którym zatrzymaliśmy się na kilka dni, robiąc różne niezbędne dla domu sprawunki. 2 listopada wyjechaliśmy pocztową kareta do Lidy, dokąd przybyliśmy wieczorem. Przed wyjaz-

dem z Wilna wysłałem telegram do rozjemcy Uszakowa, który spotkał nas przed naszym mieszkaniem, zapaliwszy światła we wszystkich pokojach. Wychodząc z powozu Sasza zgubiła guzik od palta i zamiast tego, by jak najszybciej wejść do mieszkania i dać mi możliwość zaobserwowania jej pierwszego wrażenia o nim, [48] tak bardzo zajęła się poszukiwaniem durnego guzika, że opamiętała się dopiero wówczas, gdy zwróciłem jej uwagę, że czas o tym zapomnieć, dać szansę służącej i pójść na pokoje. Ta okoliczność przywoływana była później niejednokrotnie w docinkach, jako dowód jej roztargnienia.

## [W Lidzie]

Nasze mieszkanie w Lidzie było ośmiopokojowym domkiem ze służbą: kucharką, jej córką Anetą w roli pokojówki i lokajem. Umeblowanie kupiłem od mojego brata Wasilija, który był wojskowym naczelnikiem lidzkiego powiatu. Gdy odjeżdżał, odsprzedał mi swoje meble. Urządziwszy wszystko czysto i schludnie (rzeczy były nowe), zamieszkaliśmy spokojnie, cicho i przytulnie. Zaprzyjaźniliśmy się z kilkoma osobami, z których najbliższymi stali się Uszakowowie – mąż z żoną – oraz przesympatyczna dla nas Jekatierina Iwanowna Mawros, która traktowała nas jak rodzinę, dzięki czemu jej towarzystwo było dla nas najmielsze. Niedaleko Lidy znajdowała się posiadłość Mawrosów „Tarnowszczyzna”<sup>67</sup>, dokąd często jeździliśmy i spędzaliśmy po kilka dni z ich rodziną. Dziwne było tylko to, że prawie wszystkie dzieci Jekatieriny Iwanownej były nieładne, mimo urody i powabu jej samej.

Oprócz wymienionych osób często bywali u nas Bielőżewscy, mąż z żoną, którzy później zaprzyjaźnili się z nami (po naszym wyjeździe z Lidy, po pewnym czasie, otrzymaliśmy wiadomość, że pani Bielőżewska oszalała i była na leczeniu w petersburskim szpitalu psychiatrycznym), a także księżę Trubieckoj, Gross, Prizorowskij i Winogradow, który później był zastępcą Putilina<sup>68</sup>, naczelnika policji śledczej.

[49] Wszystko, co może być najcenniejsze i najprzyjemniejsze w życiu człowieka, przypadło mi w udziale. Posiadanie takiej dobrej, uczciwej i łagodnej żony w osobie mojej kochanej Saszy, którą nagroził mnie Bóg, jest szczęściem i ja jestem szczęśliwym człowiekiem. Jeżeli teraz, pod koniec

<sup>67</sup> Dziś – Tarnowo (Białoruś). W 1865 r. dobra przeszły w ręce rosyjskiego generała greckiego pochodzenia Demetriusza Mawrosa; <http://lidanews.by/news/view/8535>.

<sup>68</sup> Iwan Dmitrijewicz Putilin (1830-1893) – pierwszy szef petersburskiej policji śledczej.

mojego życia, wyznaję to przed moimi dziećmi, to niechaj każde z nich wie i pamięta, że jedynym moim pragnieniem po grób jest to, aby wszystkie moje córki stały się podobne pod każdym względem do ich dobrej i uczciwej matki. Niechaj i moim synom Bóg pozwoli zdobyć podobny klejnot w postaci ich żon. Tak postrzegam moją żonę, a ich matkę.

Jeżeli początkowy okres życia młodego małżeństwa nazywa się miesiącem miodowym, to przypadło mi w udziale doświadczyć miodowych lat, które nie miały końca. Połączywszy swój los z moim skarbem, zdecydowanie przekonałem się, że jeżeli dzieci widzą we mnie człowieka moralnego i uczciwego, to zawdzięczam to wyłącznie ich matce, która od pierwszych dni naszych małżeńskich stosunków miała wpływ na moją postawę moralną. Wszystko, co dobre we mnie, ma w niej swój początek. Rozpocząłem swoje małżeńskie życie w maleńkim miasteczku Lida i mogę nazwać ten okres fundamentem mojego rodzinnego życia. Często wracam wspomnieniami do tamtych czasów. Jak dobrze, przytulnie i przyjemnie tam się żyło. Upijając się tym szczęściem, ani na minutę nie zostawiałem swojej kochanej żonki, wspierając ją w najdrobniejszych kobiecych zajęciach, uważając, że najszczęśliwsze momenty to te, gdy jesteśmy tylko we dwoje. Nie szukając innego towarzystwa, oprócz towarzystwa mojej żony, radośnie spędzałem dni za dniami. Wszyscy, którzy nas otaczali, [50] z sympatią odnosili się do nas i wszyscy znajomi szukali z nami kontaktu.

Ponieważ Bielőżewski był zagorzałym miłośnikiem teatru, to z jego inicjatywy i przy udziale księcia Trubieckiego, organizowano spektakle, w których Sasza nie odmawiała uczestnictwa – występowała wspaniale i miała wielu wielbicieli.

Latem udało się nam wynająć niewielką daczę pod miastem, na której zamieszkaliśmy od początku maja. Wkrótce okazało się, że Sasza jest w ciąży. Z radością obserwowałem jej zainteresowanie swoim stanem. Często brała moją rękę, przykładając ją do brzucha, a ja wyczuwałem oznaki żywej istoty. Nastął czas ostrożnego postępowania i długich spacerów. Saszę często mdliło, co wywoływało mój niepokój, gdyż nie miałem jeszcze wówczas świadomości, że taki stan jest czymś charakterystycznym dla kobiet w ciąży.





Aleksandra

## [Znowu w Petersburgu]

Nie wiedząc, na ile pewna była moja sytuacja służbowa na stanowisku kandydata na rozjemcę i obserwując jednocześnie udaną i intratną służbę brata Wasilija w korpusie żandarmów, za pośrednictwem Dmitrija Mawrosa, służącego wówczas w szefostwie żandarmerii, zacząłem starać się o przyjęcie mnie do korpusu. Starania te szybko zostały uwieńczone sukcesem i w sierpniu 1867 r., sprzedawszy cały swój dobytek, przeprowadziłem się z żoną do Petersburga, gdzie przydzielono mnie do sztabu. Znowu wróciliśmy do tego samego mieszkania, w którym zapoczątkowana była pomyślność mojego małżeńskiego życia. Po niedługim czasie pani Mawros z dziećmi również przeprowadziła się do Petersburga. Na prośbę Mawrosa znalazłem im mieszkanie w tym samym domu [51] Lipsa, na tym samym piętrze co my – drzwi w drzwi.

Będąc przydzielonym do sztabu, chodziłem codziennie na 10-tą do pracy, niekiedy pełniłem dyżur przy naczelniku sztabu i wypełniałem polecenia III Oddziału<sup>69</sup> w sprawach informacji o życiu osób, zwracających się z prośbami do szefa. Polecenia te były bardzo opłacalne, ponieważ dawano mi pieniądze na pokrycie kosztów podróży do miasta. Szefem był wówczas hrabia Piotr Andriejewicz Szuwałow<sup>70</sup>.

<sup>69</sup> III Oddział Kancelarii Osobistej Jego Cesarskiej Mości – utworzony w 1826 r., w 1881 przemianowany w Ochranę (Отделение по охранению порядка и общественной безопасности).

<sup>70</sup> Piotr Andriejewicz Szuwałow (1827-1889).



Gen. Piotr Szuwałow

III Oddziałem kierował Szulc<sup>71</sup>, naczelnikiem sztabu był Mieziencow<sup>72</sup>, zastępcą – Rodzianko<sup>73</sup>, a później Batałow. W tamtym czasie, tak w sztabie, jak i w III Oddziale, prowadzono prace nad reorganizacją korpusu żandarmów i tworzonego nowego regulaminu.

Gen. Nikołaj Mieziencow



Dzięki wstawiennictwu Jekatieriny Mawros u generała Mieziencowa przyznano mi pieniężny zasiłek w kwocie 250 rubli, co bardzo poprawiło naszą sytuację materialną, tym bardziej, że żona oczekiwała rozwiązania i przed nami były nowe wydatki. W wolnych chwilach chodziliśmy na spacer – to ulicami, to do Parku Taurydzkiego, żeby Sasza miała więcej ruchu. 19 września Sasza poczuła zbliżający się poród, więc zawczasu wezwaliśmy akuszerkę. Bóle zaczęły się nasilać i ja nie mogłem znaleźć sobie miejsca ze współczucia i bezsilności, która mną owładnęła, gdy Sasza cierpiała. Trzeba byłoby znaleźć się na moim miejscu, żeby zrozumieć te uczucia moralnej odpowiedzialności, jakiej doznaje mąż podczas ciężkiego porodu swojej żony. Z całych sił duszy i serca chcesz złagodzić jej cierpienia, czujesz [52] się winny, że to ty jesteś przyczyną tych cierpień, że dokonałeś jakiegoś przestępstwa, za które powinienś ponieść odpowiedzialność, a zamiast tego poddajesz karze kochaną przez siebie istotę. Nie mając sił, by powstrzymać szloch, dodać otuchy,

<sup>71</sup> A. F. Szulc – kierował III Oddziałem w latach 1871-1878.

<sup>72</sup> Nikołaj Władimirowicz Mieziencow (1827-1878).

<sup>73</sup> Władimir Michajłowicz Rodzianko – zastępca naczelnika sztabu korpusu żandarmerii w latach 1868-1871.

pocieszyć cierpiącą i jednocześnie ukryć przed nią swój stan wewnętrzny, z otępiałą głową rzucasz się z pokoju do pokoju, ulegasz rozpacz. Biłem się tak z tymi uczuciami przez 14 godzin, podczas których moja żona znajdowała się na granicy życia i śmierci.

Następuje ostatni rozpaczliwy krzyk, potem wszystko cichnie, po czym Bóg daje oczekiwaną ulgę, gdy doświadczasz tego radosnego uczucia, którego człowiek nie jest w stanie opisać, przy pojawieniu się na świat Boży dziecka. Trzeba zobaczyć wyraz twarzy cierpiętnicy po wszystkich przebytych mękach, trzeba uchwycić tę niepojętą radość, która rozlewa się po całym organizmie człowieka, żeby zrozumieć ten stan. Po wszystkim, czego doświadczyleś podczas cierpień żony, znowu wpadasz w skrajność i nie wiesz, jak wyrazić to uczucie radości.

Powiem tylko, że rzuciłem się całować każdego z osobna, kto trafił mi się na drodze. Żona urodziła córkę o siódmej wieczorem. Dokonało się wydalenie, wiążące dwa kochające serca w jedną całość. Ponieważ moje rodzinne

szczęście rozpoczęło się w mieście Lida, postanowiliśmy z żoną dać na imię naszej córce Lidia.

*Arkadij Tieliakowski*



Sasza zaczęła wracać do zdrowia, nabierać sił [53] i 1-go października ochrzciliśmy naszą prześliczną córeczkę. Chrzestnymi byli matka i wujek żony – Arkadij Zacharowicz Tieliakowski<sup>74</sup>. Maria Zacharowna, zachwycając się naszą córką oznajmiła, że będzie ona przepiękną kobietą, i w rzeczy samej dziecko było niezwyklej urody, jej oczy wyrażały coś niezmiernego.

8 grudnia nadszedł rozkaz o przeniesieniu mnie do korpusu żandarmerii z mianowaniem na zastępcę naczelnika Połtawskiego Gubernialnego Zarządu Żandarmerii. Przed przeniesieniem zorganizowano wszystkim mianowanym egzamin, który polegał na tym, że Batałow polecił każdemu napisanie raportu. Mnie, jako pracownikowi urzędów rozjemczych, dał temat „Nad-

<sup>74</sup> Arkadij Zacharowicz Tieliakowski (1806-1891) – inżynier wojskowy, generał-lejtnant, fortyfikator.

użycia rozjemców”. Charakteryzując osobowość jednego ze znanych mi rozjemców, zreferowałem wszystkie jego działania, które brał pod uwagę, by zabezpieczyć siebie materialnie w sprawach rozstrzygających nieporozumienia pomiędzy właścicielami ziemskimi i chłopami odnośnie użytków rolnych. Moje wypracowanie, a ściślej raport, z powodu tego, że nie było w nim nic wymyślonego, tak spodobał się hrabiemu Szuwałowowi, że dano mi możliwość wybrania guberni, w której chciałbym służyć. Naradziwszy się z Saszą, wybraliśmy Gubernię Połtawską ze względu na warunki klimatyczne.

22 grudnia, pożegnawszy się ze wszystkimi krewnymi, wyjechaliśmy do Włodzimierza do brata Wasilija, który był tam wówczas naczelnikiem zarządu żandarmerii. Gdy w związku z odkomenderowaniem meldowałem się u szefa, generał Mieziencow niepostrzeżenie włożył mi do tylnej [54] kieszeni munduru 300 rubli w zwykłej kopercie. Później okazało się, że tej pomocy udzielił mi dzięki wstawiennictwu Jekatieriny Mawros.

Mieziencow był jednym z najbardziej pocziwych i życzliwych naczelników w tamtych błogosławionych czasach, gdy przechodziłem do reorganizującego się korpusu. By dać przykład dobrego serca naczelnika, opowiem o epizodzie, który miał miejsce w jego mieszkaniu w budynku sztabu.

U Mieziencowa w charakterze stróża mieszkał stary emerytowany podoficer żandarmerii Kostin. Pewnego razu dyżurowałem u Mieziencowa, gdy przyjmował on interesantów. Po zakończeniu przyjęć, gdy nikogo w pokoju już nie było, Mieziencow powiedział, że mogę iść do domu, a sam udał się do swojego gabinetu. Pożegnawszy się z nim, poszedłem do westybulu, by włożyć palto, a tu Kostin, wskazując na stojącą kobietę z trójką dzieci, mówi: „Wasza Wielmożność, proszę zameldować generałowi, że jest jeszcze jedna interesantka. Niech on ją przyjmie i wysłucha”. Na moje pytanie, kim jest ta kobieta i z jaką prośbą przyszła, Kostin odpowiedział: „To jest żona jednego dywizyjnego podoficera, którego anatema Bogdanowa<sup>75</sup> pozbawi kawałka chleba za to, że trzymał na giełdzie dorożkarza”. Po moim upomnieniu, że nie ma prawa tak arogancko wypowiadać się o przełożonych, i że może być za to ukarany, Kostin przeprosił i zaczął błagać, abym o niej zameldował. Wtedy zauważyłem, że Kostin był trochę pijany.

Po wejściu do gabinetu Mieziencowa zameldowałem: „Wasza Wielmożność, w przedpokoju została jeszcze jedna interesantka, żona zwolnionego przez pułkownika Bogdanowa podoficera, która przyszła z podaniem”. „Proszę wpuścić ją do poczekalni, [55] zaraz do niej wyjdę” – powiedział Mie-

<sup>75</sup> Iwan Minycz Bogdanow (1802-1867) – w sztabie korpusu żandarmerii od 1837 r.



ziencow. Udawszy się do przedpokoju, kazałem kobiecie wejść do poczekalni. Weszła z dzieckiem na rękach, podaniem i z dwójką pozostałych dzieci, uczepionych jej sukni i stanęła pośrodku pokoju. Gdy Mieziencow pojawił się w poczekalni, kobieta uklękła i rozplakała się. Dzieci, widząc łzy matki, zaczęły się drzeć i powstał straszny rwetes. Rozgniewany Mieziencow krzyknął: „Kostin, zabierz stąd tę babę!”. Na to Kostin zupełnie nieoczekiwanie zaprotestował: „Wasza Wielmożność, przecież ona jest człowiekiem, a nie psem, i prosi pana o pomoc!”. Rozgniewany Mieziencow zwrócił się do mnie: „De Lazari! Niech pan karze jej wyjść, weźmie od niej podanie, a Kostina aresztuje!”.

Podniósł się jeszcze większy lament i sporo trudu kosztowało mnie wyprowadzenie tej kobiety z dziećmi do przedpokoju, a potem na ulicę. Kostin przygadywał: „Idź mateńko, widać nie ma cię kto obronić!”. Potem, zwróciwszy się do mnie, zaczął prosić, żebym zameldował generałowi, że błaga o wybaczenie i żeby nie wsadzać go do aresztu. Wszedłem do gabinetu i zameldowałem: „Wasza Wielmożność, Kostin prosi o wybaczenie”. „Niech go pan tu zawoła” – powiedział Mieziencow. Przyprowadziłem więc Kostina. „Ty co, bydlaku, pozwalasz sobie mi się sprzeciwiać?” – zapytał Mieziencow, na co Kostin w te słowa: „Kostin bydlak, Kostin dureń, a jak Kostin leży jak pies na progu przed drzwiami i czeka na Waszą Wielmożność o 4 czy 5 nad ranem, gdy wraca pan od pani Blanche<sup>76</sup> i ledwo dotknie klamki, a już Kostin jest na nogach jak wierny sługa, to wtedy on chwat!”. „Wynoś się, bałwanie, pijaku!” – krzyknął Mieziencow i Kostin zniknął za drzwiami. Na moje pytanie: [56] „Czy Wasza Wielmożność rozkaże aresztować Kostina?”, Mieziencow odpowiedział: „Nie trzeba, do diabła z nim. Niech go pan porządnie obsztorcuje”. Ukłoniłem się i wyszedłem. Kiedy przekazałem Kostinowi, że generał rozkazał go zostawić i zacząłem robić mu wymówki za impertynencję, ten na to: „Wasza Wielmożność, ja wiedziałem, że on mi wybaczy, bo to bardzo dobry człowiek”.

Sam doświadczyłem jego dobroci i dlatego z całego serca i z całej duszy żał mi go było, gdy zginął tragicznie. Został zabity na ulicy przez jednego z rewolucjonistów. Świeć Panie nad jego duszą!

Przeżywszy tyle lat, i będąc na służbie w korpusie do tej pory, mile wspominam ten błogosławiony czas, gdy na czele naszej formacji stały takie osobowości jak: uwielbiany przez nas wszystkich hrabia Piotr Szuwałow,

<sup>76</sup> Blanche d'Antigny (1840-1874) – słynna aktorka i kurtyzana, kochanka Mieziencowa, prototyp Nany E. Zoli.



Mieziencow, Czerewin<sup>77</sup>, Nikiforaki<sup>78</sup>, Bogdanow. Mile wspominam nawet czas, gdy szefem był taki sobiepanek, jak hrabia Lewaszow<sup>79</sup>. Nie da się tego porównać z obecną sytuacją, gdyż korpus kompletnie podupadł.

*Piotr Czerewin*



*Nikołaj Lewaszow*

Na czele stoją jakieś pompadoury, bez jakiegokolwiek prestiżu, ludzie bez duszy i serca, egoiści, którzy dla własnej kariery nie liczą się ani ze stanowiskami innych, ani z nienaganną służbą ludzi doświadczonych i kierują korpusem bez jakichkolwiek zasad i jakiegokolwiek sensu. Przerzucanie ludzi mających rodziny z jednego krańca Imperium na drugi wedle własnej fantazji i widzimy się jest ich wewnętrzną potrzebą, byleby pokazać swoją władzę nad podwładnymi. Wystarczy uświadomić sobie, że tacy ludzie jak M.A. i S.N.<sup>80</sup> reprezentują dzisiaj nasz korpus i kierują mózgami naszych pryncypałów bez pryncypiów. Przykro na starość żyć w takich czasach. Cóż jednak można zrobić w moim położeniu i dokąd uciec?

<sup>77</sup> Piotr Aleksandrowicz Czerewin (1837-1896) – generał-lejtnant, zastępca ministra spraw wewnętrznych i szefa żandarmerii, zaufany imperatora Aleksandra III.

<sup>78</sup> Jegor Nikołajewicz Nikiforaki – zruszczony Grek, dosłużył się stopnia generała-majora i zarządzał sztabem petersburskiej żandarmerii, pełniąc funkcję naczelnika III Oddziału.

<sup>79</sup> Nikołaj Wasiljewicz Lewaszow (1828-1888) – generał, zarządzał sztabem petersburskiej żandarmerii, pełniąc funkcję naczelnika III Oddziału.

<sup>80</sup> Naczelnicy sztabu korpusu żandarmerii: Michaił Aleksiejewicz Kantakuzin (1840-1896; od lipca 1882 do grudnia 1883) i Siergiej Nikołajewicz Mieziencow (1848-1911; od marca 1893 do października 1896).

## [W Połtawie]



[57] We Włodzimierzu brat i jego żona Aniuta spotkali nas radośnie i przygotowali oddzielny pokój dla nas i Lideczki, którą się zachwycali i zrobili jej zdjęcie razem z niańką. Fotografia była wykonana w studio. We Włodzimierzu poznaliśmy N. E. Trochimowskiego, który jako kawaler i człowiek samotny często stołował się u Wasilija i Aniuty. Był ich stałym gościem. Wesoło wówczas żyło się we Włodzimierzu. Mimo że Sasza sama karmiła Lideczkę, często jeździliśmy w gości, a i u Wasilija nieraz zbierali się znajomi. Tak spędziliśmy święta Bożego Narodzenia. W styczniu 1868 roku wyjechaliśmy z Włodzimierza i pomyślnie dojechaliśmy do Tuły. W Tule wynająłem powóz, poje-

chaliśmy w kierunku Charkowa, jednak po 10 wiorstach musieliśmy zawrócić, gdyż Sasza dostała choroby lokomocyjnej. Ponieważ karmiła, mogło to mieć zły wpływ na zdrowie Lideczki, dlatego wysłałem je z powrotem do Włodzimierza.

Zostawiwszy żonę u brata, pojechałem sam do Połtawy, dokąd przybyłem 19. stycznia i zatrzymałem się w hotelu. 21. stycznia, przywdziawszy galowy mundur, poszedłem zameldować się naczelnikowi zarządu, wówczas staremu pułkownikowi W. M. Bielówowi. Po przedstawieniu mnie jego żonie i synowi zostałem zaproszony do nich na obiad. Tam poznałem adiutanta z zarządu, porucznika M. I. Gawriłowa, który proponował mi, abym do czasu znalezienia samodzielnego mieszkania zamieszkał u niego. Był kawalerem. Wieczorem tego samego dnia przenieśliśmy się do niego.

22-go złożyłem kurtuazyjną wizytę gubernatorowi Martynowowi<sup>81</sup>, wicegubernatorowi Bogdanowiczowi<sup>82</sup>, przedstawicielom szlachty: gubernial-

<sup>81</sup> Michaił Aleksiejewicz Martynow – poławskim gubernatorem został 1 stycznia 1866, pełnił tę funkcję do 9 sierpnia 1878.

<sup>82</sup> Aleksander Wasiljewicz Bogdanowicz (1820-1898).



nemu – księciu Dołgorukowowi<sup>83</sup>, powiatowemu – Abazie<sup>84</sup> i innym przedstawicielom gubernialnej administracji. Nie zauważyłem, kiedy i gdzie zgubiłem swój portfel, w którym miałem 400 rubli, pokwitowania za nadany bagaż i inne ważne dokumenty.

*Michaił Martynow*

*Nikołaj Dołgorukow*



[58] Smutno i ciężko zrobiło mi się na duszy z powodu utraty pieniędzy, za które miałem zamiar sprawić sobie wszystko, co potrzebne do urządzenia mieszkania. Ta okoliczność postawiła mnie w bardzo kłopotliwej sytuacji, tym bardziej, że przełożeni mogli mi nie uwierzyć, iż utraciłem pieniądze, więc, mając świadomość, że nic się nie znajdzie, nie nalegałem, by zgubę poszukiwano. Dzięki współczuciu Bielowa i temu, że należała mi się pensja, jakoś sobie poradziłem i mieszkania nie szukałem.

W Połtawie była wówczas pełnia zimowego sezonu. W klubie Zgromadzenia Szlacheckiego i w prywatnych domach organizowano wiele balów, wieczorków, amatorskich spektakli. Wiele zawarto w owym czasie związków małżeńskich. Bardzo szybko poznałem całe towarzystwo, uczestniczyłem we wszystkich jego rozrywkach, stałem się niezawodnym uczestnikiem imprez. Zapoznałem się ze wszystkimi intrygami i „partiami”, bez których nie może obejść się prowincjonalne życie.

Warto przypomnieć niektóre epizody, które na zawsze zachowały się w mojej pamięci, a które charakteryzują ówczesne stosunki międzyludzkie i towarzyskie w Połtawie.

Do gubernatora Martynowa co tydzień, określonego dnia, byli zapraszani wszyscy, którzy mogli pochwalić się jakimkolwiek talentem i zdolnościami dostarczania rozrywki i zadowalania słuchaczy. Byli wśród nich muzycanci, śpiewacy, gawędziarze, kuglarze, poeci, literaci i inni artyści wszelkiej ma-

<sup>83</sup> Książę Nikołaj Aleksandrowicz Dołgorukow (?-1873) – poławski przywódca szlachty w latach 1865-1873.

<sup>84</sup> Aleksander Michajłowicz Abaza (?-1889) – przewodził szlachcie w powiecie poławskim w latach 1865-1868; pełnił też przez wiele lat funkcję burmistrza Połtawy.



ści, i mnie, jako śpiewaka i po części gawędziarza, zapraszano na te wieczory. Zaproszenia formułowano na kartce w trzeciej osobie. [59] Zredagowane były mniej więcej tak: „M. A. Martynow z małżonką uniżenie zapraszają Pana/Panią (takich to a takich, dnia...) o 7-ej wieczorem na filiżankę herbaty”. Kartkę taką wysyłało zapraszanemu. Byłem u nich ze 2-3 razy i zawsze spotykałem się z życzliwym przyjęciem gospodarzy. Po kolacji, po spędzeniu u nich wesoło czasu do pierwszej lub drugiej w nocy, wszyscy zaproszeni rozchodzili się w dobrych nastrojach. W szczególności gospodyni zawsze była dla wszystkich uprzejma i przyjazna.

Otrzymawszy pewnego razu takie zaproszenie, poszedłem wieczorem do Martynowów. Przywitała mnie pani Martynowa i zamieniwszy ze mną parę słów powiedziała, że wszyscy są w gabinecie męża. Tam się więc skierowałem. W gabinecie było wielu gości. Podeszedłem do biurka, przy którym siedział Martynow, by przywitać się z nim i bardzo byłem zaskoczony, gdy ten, zobaczywszy mnie, wstał, zaczął zapinać guziki swego służbowego surdutu i, nie podając mi ręki, zapytał: „Czym zasłużyłem sobie na pana obecność o tej porze, kapitanie?”. Nie spodziewając się niczego takiego, byłem do tego stopnia skonsternowany, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Uwaga wszystkich, zdziwionych takim przyjęciem, skupiła się na mnie. Ochłonawszy nieco powiedziałem: „Wasza Wielmożność raczył zaszczycić mnie zaproszeniem na filiżankę herbaty”. Wtedy Martynow opamiętał się i, łapiąc się za głowę, [60] zawołał: „Boże! Co ja narobiłem! Drogi N. N., przepraszam, proszę mi wybaczyć ten straszny błąd. Zwróciłem uwagę tylko na pana mundur, przeoczywszy, że w tym mundurze w pana osobie występuje ucziwy i szlachetny człowiek”. Następnie otwarcie zaczął krytykować hrabiego Szwałowa za reorganizację korpusu żandarmerii i przekonywać, że ten manewr żadnego pożytku państwu nie przyniesie. Mnie zaczął uspokajać i jeszcze raz przeproszać za niewybaczalny błąd. Natomiast wszyscy obecni, chcąc zatrzeć niemile wrażenie, na wyścigi zaczęli się o mnie troszczyć. Wieczór ten był już jednak popsuty, mimo że później Martynow starał się być wobec mnie nader życzliwy.

W tamtym czasie w Połtawie zaczęto wprowadzać nowe prawodawstwo, a prokuratorem sądu okręgowego był N.<sup>85</sup>, człowiek jeszcze młody, który trafił do sądownictwa chyba jako oficer kawalerzysta i miał o sobie bardzo wysokie mniemanie. Dlatego od razu poważnił się z gubernatorem (zdaje się wskutek tego, że N. nieopacznie orzekł, iż jako prokurator zobowiązany jest również do obserwowania zachowania gubernatora). Te ich zaostrome sto-

<sup>85</sup> Nikołaj Iwanowicz Nieporozij.

sunki stały się wszystkim wiadome i były często komentowane. Później opiszę niekorzystną sytuację, w jakiej znalazł się N. przez swój trudny charakter i nietaktowne postępowanie, teraz zaś opowiem o zdarzeniu, gdy N., odgrywając rolę prokuratora podczas wieczoru w klubie, ukarany został przez swą żonę, z którą dopiero co wziął ślub.

[61] Abaza miał trzy córki, bardzo interesujące i ładne panny: Katię, Lizę i Saszę. Połtawska młodzież zalecała się do wszystkich trzech, a wśród pretendentów do ich rąk i serc byli: prokurator N., który zalecał się do Kati, Bazilewski<sup>86</sup>, ubiegający się o rękę Lizy<sup>87</sup> i starający się o względy Saszy<sup>88</sup> książę Demidow<sup>89</sup>. Cała trójka ożeniła się później ze swoimi wybrankami, chociaż pary te zeszły się nie z zauroczenia panien, a jedynie z wyrachowania, wynikającego z postępowania ich matki<sup>90</sup>, z którą Abaza rozwiódł się i ożenił z D.<sup>91</sup> – młodą dziewczyną, rówieśnicą ich córek.

N. nie podobał się Kati i ta starała się unikać jego towarzystwa. Podczas wieczorków tanecznych zawsze tańczyłem z nią mazura i byłem wodzirejem – tak było podczas jej panieństwa i tak samo po zamążpójściu. Ostatniego wieczoru przed Wielkim Postem jak zwykle zaprosiłem Jekatierinę Aleksandrownę do mazura. Wcześniej, aby przedłużyć ten wieczór, cofnąłem wskazówki zegara o 2 czy 3 godziny ze względu na połtawskiego biskupa, by ten nie czepiał się, że tańczymy po 12-tej w nocy. Zwykle, zgodnie z obyczajem, gubernator i pułkownik żandarmerii Biełow, gdy tylko wybiła 12-ta, opuszczali imprezę, aby nie stanowić przeszkody w kontynuowaniu zabawy. Tak postąpili i tego fatalnego wieczoru. Towarzystwo zdążyło odtańczyć tylko dwa kadryle, przed nami był jeszcze kotylion i mazur. Po drugim kadrylu N. podeszedł do żony i zasugerował udanie się do domu, tłumacząc to tym, że nie wypada mu, jako prokuratorowi, dłużej pozostawać w klubie, tym bardziej, że gubernator i pułkownik Biełow także już odjechali.

[62] Jekatierina Aleksandrowna, jako wielka miłośniczka tańców, nie mogła pogodzić się z myślą opuszczenia klubu tak rychło i zaczęła prosić męża, by zgodził się jeszcze pozostać, jednak mimo prośb żony, jej sióstr i wielu innych znajomych N. usilnie domagał się opuszczenia klubu. Wówczas Jekatierina oznajmiła, że nie pojedzie, gdyż obiecała zatańczyć ze mną mazura.

<sup>86</sup> Grigorij Iwanowicz Bazilewski (1842-1892).

<sup>87</sup> Jelizawieta Aleksandrowna Abaza (Bazilewska, 1846-1929).

<sup>88</sup> Aleksandra Aleksandrowna Abaza (Demidowa, Sumarokowa-Elson, 1853-1894).

<sup>89</sup> Aleksander Pawłowicz Demidow (1845-1893).

<sup>90</sup> Jelena Aleksiejewna Zołotariowa (Abaza, później Uexküll-Gyllenband).

<sup>91</sup> Jelena Fiodorowna Deitrich (Abaza, zmarła w 1909).

Podczas tych małżeńskich rozmów byłem w bufecie i paliłem, nie zdając sobie sprawy z tego, co dzieje się w sali tanecznej. Do bufetu wszedł N. i, podszedłszy do mnie, zapytał: „N. N., czy pan tańczy mazura z moją żoną?”. Na moją twierdzącą odpowiedź zadał kolejne pytanie: „Nie będzie pan zapewne miał do niej żalu, jeżeli z powodu późnej pory odjedzie do domu?”. Na to ja, że nie będę. Wtedy podał mi rękę i poszliśmy do sali. Gdy podszedłem do grupy pań zauważyłem, że Jekatierina Aleksandrowna zasłoniła się wachlarzem od strony męża i zaczęła dawać mi znaki oczami, żebym się nie zgadzał. N. oznajmił żonie: „Katiu, N. N. mówi, że nie będzie miał pretensji, jeżeli wyjedziesz do domu przed mazurem”. Na to Je. A., opuściła wachlarz i patrząc mi w oczy, pyta: „Jak to, N. N., pan nie będzie miał pretensji, jeśli nie zatańczę z panem?”. Odpowiedziałem: „Pretensji mieć nie mam prawa, ale żałować będę, a może nawet się rozplaczę”. Otrzymawszy taką odpowiedź, Je. A. kategorycznie oświadczyła mężowi, że zostaje w klubie. N. na to: „Jako mąż żądam, aby pojechała pani ze mną do domu, w przeciwnym wypadku pojedę sam”. Żona orzekła, że nie będzie mu przeszkadzać. Po całej tej rozmowie, [63] Je. A. wpadła w histerię. Zaczęto ją pocieszać, zaprowadzono do toalety i o zajściu powiadomiono jej ojca, który w tym czasie grał w karty w innym pokoju. Abaza wszedł do sali, zbliżył się do N. i zaczął go strofować za zachowanie wobec żony. „Czy pan myśli – powiedział – że nie znajdę w domu łóżka, by przenocować swoją córkę? Może pan jechać, a Katia zostanie tu ze mną”. N. uklonił się i odjechał.

Oczywiście po tym wszystkim atmosfera była już nie ta. Jakoś docięgnęliśmy do końca wieczoru, skróciwszy go na ile się dało. W ciągu całego tygodnia Je. A. mieszkała u ojca i dopiero dzięki Dołgorukowowi, Kowańce, Wołkowom i Butowskiemu N. pojechał do Abazy, przeprosił żonę i, pogodziwszy się z nią, zabrał ją do domu.

Przez swój krnąbrny charakter i nieprzemyślane działania N. niedługo pracował w Połtawie. Przeniesiono go do innego miasta, a powodem tego stała się najprawdopodobniej następująca okoliczność. 19 lutego świętowano rocznicę wyzwolenia chłopów z poddaństwa. Najpierw wystawiono amatorski spektakl, a potem wystąpił olbrzymi chór w strojach rosyjskich, składający się z amatorów, kadetów i śpiewaków cerkiewnych, który wykonał Narodowy Hymn „Sław się, sław” z „Życia za cara”. Jednym z uczestników spektaklu był ogromnego wzrostu młody ziemianin D., który zagrał rolę lokaja. Mając silny bas, przyłączył się także do chóru. W czasie spektaklu, podczas każdej przerwy pił wódkę i pod koniec przedstawienia był już nieźle wstawiony. [64] Stałem na scenie z tyłu chóru, z którego wyrastała

jego głowa. Po podniesieniu kurtyny, gdy zaczęliśmy śpiewać Hymn, zauważyłem, że prawie cała publiczność z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Gdy odśpiewaliśmy Hymn i kurtyna opadła, na scenę wszedł wicegubernator Bogdanowicz i oznajmił, że D. robił takie miny, że trudno było się nie śmiać. Gdy B. mówił, widzowie na cały głos krzyczeli „Bis!”. Podszedłem więc do D. i poprosiłem, by nie wychodził na scenę. Schowawszy go za kulisami, ustawiłem ponownie chór. Dałem znak, by podniesiono kurtynę, jednak D. nie wytrzymał, znowu zajął miejsce w chórze, zaczął śpiewać i wszystko się powtórzyło. Potem zamknęliśmy go w ubikacji i na „Sław się” już nie wyszedł.

Tak zakończył się spektakl, po którym wszyscy wykonawcy zjedli kolację na scenie i nad ranem rozeszli się do domów. Następnego dnia, gdy jeszcze leżałem w łóżku, do pokoju wszedł służący z wiadomością, że pułkownik wzywa do siebie. Ubrawszy się, wyszedłem do posłańca, który zameldował, że pułkownik przysłał po mnie dorożkę.

Gdy wszedłem do gabinetu Bielowa, ten kazał mi usiąść i dał do przeczytania dokument, który tylko co otrzymał. Był to wniosek prokuratora N., w którym opisywał zachowanie D. podczas wykonywania Hymnu Narodowego. Oskarżał go o profanację tej uroczystej pieśni i prosił pułkownika Bielowa o przeprowadzenie dochodzenia. Omówiliśmy problem i potępiliśmy N. za takie działania. Poprosiłem Bielowa, by dał mi polecenie na piśmie. [65] Przygotował je od ręki. Ponieważ do roli świadków N. wskazał gubernatora, wicegubernatora, reprezentanta szlachty i kilka innych osób, postanowiłem najpierw przeprowadzić z nimi poufne rozmowy. Przywdziałem mundur i poszedłem do gubernatora w celu uzyskania od niego komentarza w tej sprawie.

Gdy zameldowałem mu o przyczynie mojego przyjścia, roześmiał się i poprosił o pismo prokuratora. Przeczytał je i rzekł: „No, teraz jestem ostatecznie przekonany o jego wariactwie i jeszcze dzisiaj napiszę do ministra, a panu dam odrębne informacje dotyczące sformułowanych przez pana pytań”.

Wszyscy wskazani świadkowie wyjaśnili, że nikt z nich niczego karygodnego nie zauważył. Te wyniki dochodzenia przesłałem do prokuratora sądu w Charkowie za pośrednictwem pułkownika Bielowa wraz z jego wnioskami. Po niedługim czasie N. został wezwany telegraficznie do Charkowa i wrócił stamtąd już z przeniesieniem do innego miasta. Dokąd – nie pamiętam. Później, po kilku latach, doszły mnie wieści, że żona się z nim rozwiodła.



W tamtym czasie w Połtawie był biskup, chyba Ioann, który nader ostro traktował wszelkie przejawy naruszenia postu lub dobrych manier i przy lada okazji wyrażał z tego powodu swoje niezadowolenie. 4 kwietnia odbywało się w soborze katedralnym uroczyste nabożeństwo z okazji ocalenia monarchy Aleksandra II od zbrodniczego zamachu Karakozowa. W soborze zebrał się wszyscy przedstawiciele władz i dowódcy wojskowi.

Podczas nabożeństwa obok pułkownika Bielowa [66] z jednej strony stał Kowańko, przedstawiciel gubernialnego kierownictwa, a z drugiej ja. Kowańko bez przerwy opowiadał o czymś Bielowowi i śmiał się.

Widząc, że biskup patrzy spod ołtarza w naszą stronę i kiwa głową, mówiłem do Bielowa: „W.M., biskup wciąż spogląda w naszą stronę, niech pan będzie ostrożny”. Usłyszawszy to Kowańko zaoponował: „Nie będziemy sobie kożłem głowy zawracać”. I dalej rozmawiał.

Po pewnym czasie, biskup odszedł od ołtarza i złożony ręce zwrócił się na cały głos do Bielowa: „Pułkowniku Bielow, ani pana stanowisko służbowe, ani czas i miejsce modlitwy w tak uroczystym dniu nie upoważniają pana do takiego zachowania!”, i znów skierował się do ołtarza. Bielow, będąc już w podeszłym wieku, wysłuchawszy tej reprimendy bardzo pobladł i oparł się o kolumnę, dzięki czemu nie upadł. Widząc, co się dzieje, zaproponowałem mu opuszczenie cerkwi. Wziąwszy go pod rękę, wyprowadziłem do kruchty, z pomocą adiutanta posadziłem na krześle i przyniosłem szklankę wody. Przełknąwszy kilka haustów, Bielow zapytał: „Co mam teraz robić?”.

Poradziłem mu, by nie zwlekając zameldował o wszystkim szefowi i odwoził go do domu. W ślad za nami przyjechali Kowańko, Dołgorukow, Abaza i inni z wyrazami współczucia, jednak radzili, by nigdzie o sprawie nie donosić. Tylko Kowańko orzekł, że sprawy tej nie zostawi i złoży skargę na biskupa w Petersburgu.

Gdy odjechali, ja uparcie obstawałem przy tym, by Bielow szczegółowo przedstawił szefowi sprawę w raporcie, uprzedzając, że biskup sprawy nie zostawi i będzie się skarżył. Jednak mimo moich zapewnień, że należy samemu opisać ten godny pożałowania incydent, Bielow pozostał przy swoim i raportu nie napisał. Po pewnym czasie Bielow został telegraficznie wezwany do Petersburga [67] w sprawach służbowych. Telegram ten zaniepokoił nie tylko żonę pułkownika, ale również wszystkich ludzi mu bliskich i znajomych.

Pułkownik Bielow był stary i słabego zdrowia, dlatego jego żona bardzo obawiała się tej podróży i ze strachem odprawiała go w drogę. Po trzech tygodniach Bielow wrócił z Petersburga i oznajmił, że szef zasugerował mu

przeniesienie w stan spoczynku, tłumacząc, że biskup złożył doniesienie do Synodu i postawił go w bardzo niezręcznej sytuacji przed monarchą. Hrabia Szuwałow, nie wiedząc nic o zaistniałej sytuacji, udał się z raportem do imperatora i monarcha ponoć go zapytał: „Czy wie pan, co przydarzyło się w Połtawie pana oficerowi sztabowemu i czy ten złożył jakieś doniesienie w związku ze skargą miejscowego biskupa?”.

Hrabia po zapoznaniu się z istotą skargi udał się do domu, tam dowiedział się, że do III Oddziału żaden raport w tej sprawie od Bielowa nie wpłynął. Wezwał więc go do Petersburga i zasugerował przejście w stan spoczynku. Gdyby Bielow nie był taki stary, pewnie hrabia zlitowałby się i zostawił go jeszcze na służbie.

Kowańko, gdy tylko się dowiedział o tak smutnym dla Bielowa wyniku sprawy, w której cała wina spoczywała na nim, na Kowańce, pojechał do Petersburga. W wyniku tej podróży biskupa przeniesiono do innej eparchii. Na miejsce Bielowa przybył do Połtawy pułkownik Andriej Andriejewicz Weller, z którym serdecznie się zaprzyjaźniłem.

### [68] [**Krzemieńczuk**<sup>92</sup>]

20 kwietnia przyjechała żona z Lidczką i niańką, a ja w czasie, gdy ich nie było, przygotowałem dla Saszy niespodziankę. Ze zdjęcia zrobionego we Włodzimierzu zamówiłem u malarza Wołkova<sup>93</sup> jej portret – ołówkiem, naturalnej wielkości. Zapłaciłem za niego 15 rubli i za dębową ramę 12 rubli. Sasza bardzo się z tego portretu ucieszyła.

*Portret Aleksandry*



<sup>92</sup> Krzemieńczuk – miasto w środkowej części Ukrainy, w obwodzie połtawskim nad Dnieprem.

<sup>93</sup> Wasilij Aleksiejewicz Wołkow (1840-1907) – artysta-pieriedwiżnik. Portret Aleksandry znajduje się w Centralnym Moskiewskim Archiwum-Muzeum Zbiorów Osobowych. Przekazała go tam wraz z innymi archiwaliami Aleksandra de Lazari (córka gen. Aleksandra de Lazari, młodszego syna Nikołaja Nikołajewicza).

Spędziliśmy kilka dni w Połtawie, poznałem żonę z rodziną Wellera i Abazy i 24 kwietnia wyjechaliśmy do Krzemieńczuka, dokąd zostałem oddelegowany. Po drodze, w powiecie kowieńskim, zajechaliśmy do ziemianina Suchotina, którego żona była przyjaciółką Saszy z instytutu – piękna Jewgienija Podiarni.

Suchotin miał brata, Jakowa Jakowlewicza, emerytowanego huzara, kawalera, właściciela stacji pocztowej. Bardzo spodobała mu się Sasza i zaczął się do niej zalecać. Wciąż całował ją po rękach. Te zaloty trwały przez cały czas naszego pobytu w Krzemieńczuku – przez trzy lata z kawałkiem – i Jakow najwidoczniej spodobał się też Saszy.

Po pobycie u Suchotinów Jakow Jakowlewicz odwiózł nas swoją dormezą do Krzemieńczuka. Przybyliśmy tam 26 kwietnia i zatrzymaliśmy się w hotelu „Jug”. 5 maja przeprowadziliśmy się do mieszkania wynajętego w domu baronowej Mengden, w którym żyło się nam bardzo miło i spokojnie. Nasza córka rosła, z każdym dniem stawała się coraz ładniejsza i wszyscy, którzy ją widzieli, nie mogli się na nią napatrzeć, taka była niezwykła.

W Krzemieńczuku było ogromne towarzystwo i musiałem ze wszystkimi się zapoznać, by w przyszłości odgrywać tam ważną rolę społeczną. [69] W owym czasie w Krzemieńczuku mieścił się sztab 2. Dywizji Kawaleryjskiej. Dowodził nią hrabia Nirod<sup>94</sup>. Hrabia był żonaty i miał dwie dorosłe córki.

*Aleksander Nirod*



Brygadami dowodzili generałowie Drizen<sup>95</sup> i Papa-Afanasopulo<sup>96</sup>. Sztabem dowodził pułkownik Nowicki<sup>97</sup>, którego żona, z domu Bucka<sup>98</sup>, była wychowanką Instytutu św. Katarzyny. Sasza ją pamiętała i teraz stały się przyjaciółkami. W mieście kwaterował Charkowski Pułk Ułanów, którym najpierw dowodził Czernow<sup>99</sup>, a później hrabia Nirod, połtawski dowódca dywizji.

Wszyscy interesowali się naszą córką, a szczególnie zachwycił się nią

<sup>94</sup> Aleksander Jestańfjewicz Nirod (1805-1881).

<sup>95</sup> Aleksander Fiodorowicz Drizen (1824-1893).

<sup>96</sup> Nikołaj Gieorgijewicz Papa-Afanasopulo.

<sup>97</sup> Mikołaj Nowicki (1832-1906).

<sup>98</sup> Anna Jegorowna Bucka (1844-1909).

<sup>99</sup> Nikołaj Pachomowicz Czernow (1817-1870).

baron Drizen, gdy bawiła się w wannie podczas kąpieli. Często przychodził do nas, by nacieszyć się tym obrazkiem i pobawić się z nią.

Tamtego roku zaczęto wprowadzać reformę sądownictwa i na rejonowego zastępcę prokuratora wyznaczono Chrulewa<sup>100</sup>.

Po przeprowadzce do Krzemieńczuka najbardziej zaprzyjaźniliśmy się z rodziną Borisa Mengdena<sup>101</sup> (z nim – byłem grodzieńskim huzarem, jego żoną Olgą Nikołajewną, z domu Andruską, córką Manią, synem Kostią i Jelizawietą Nikołajewną Andruską, starą panną – siostrą pani domu). Później tak się z nimi zbliżyliśmy, że traktowaliśmy ich jak krewnych. Szczególnie nas polubiła i zaprzyjaźniła się z nami Olga Nikołajewna. Rodzina Mengdenów latem mieszkała w swoim majątku Omielnik, 20 wiorst od miasta, zimą zaś przeprowadzała się do miasta i mieszkała w tym samym domu co my, na parterze. Dlatego byliśmy nierozłączni i wręcz bezceremonialni.

Wiedząc, że mój ojciec mieszka w Odessie sam, a nie z moim bratem Jegorem, i że jego stan zdrowia wymaga opieki, [70] zaprosiłem go do siebie. Przyjechał, zamieszkał w przygotowanym dla niego pokoju. Bardzo polubił Saszę i swoją wnuczkę. Ponieważ Sasza zaszła w ciążę, doktor Kumme doradził jej zaprzestanie karmienia córki piersią i Lideczka przeszła na ogólne jedzenie. Zmiana ta nie podziałała na jej organizm jakoś źle. Lideczka rozwijała się i rosła ku radości wszystkich wokół, ale podczas silnych upałów zachorowała na rozstrój żołądka. Dzięki troskliwej opiece mojego dobrego doktora Kumme zaczęła wracać do zdrowia, co nas uradowało, jednak nianka, gdy nikt z nas tego nie widział, dała jej kawałek gruszki. Stan Lideczki się pogorszył. Mimo wszelkich starań naszych i lekarzy uratować tego aniołka nie udało się. Z dnia na dzień gasła. Doktor Kumme stosował wszelkie możliwe środki, by ją uratować i podczas badania jej miał łzy w oczach.

Po jednej z wizyt, która okazała się ostatnią, widząc, że nic nie da się już zrobić, napisał do mnie list, w którym uprzedzał mnie, że Lideczka umrze. Rzeczywiście, w ostatnich dniach swojego życia dziecko było żywym nieboszczykiem. Niczego nie jadła, nie wydawała żadnego dźwięku i tylko swoim łagodnym niebiańskim spojrzeniem uśmiechała się do nas. Wyraz jej anielskiej buzi wskazywał, że ulatuje ona do lepszego świata, ku niebiańskim łąkom. Patrząc na jej buzię, chciało się paść na kolana, modlić do niej i prosić ją o modlitwę za nas przed Tronem Najwyższego, dokąd Pan ją wzywał. 30 sierpnia o 1.30 po południu, [71] leżąc w naszym łóżku, przy mnie i przy Saszy, nie zamykając swoich cudownych ocząt, cicho odeszła.

<sup>100</sup> Siergiej Stiepanowicz Chrulew – prawnik, syn generała.

<sup>101</sup> Boris Jewstafjewicz von Mengden (1804-1871).



Nasza rozpacz nie miała granic. Po pogrzebie nie byliśmy w stanie zapłnować nad sobą i dojść do siebie. Wszyscy nasi znajomi łączyli się z nami w bólu i starali się nas pocieszyć, co w rzeczy samej przynosiło nam ulgę w cierpieniu. Ja ze swej strony z ciężkim sercem pocieszałem moją biedną Saszę, starałem się być jej podporą, by nie upadała na duchu i tym nie zaszkodziła naszemu oczekiwaniu dziecku. Nie zostawiałem jej i zabawiałem, na ile to było możliwe.

Tak oto całą jesień, a następnie zimę spędziliśmy niewesoło i tylko dzięki dobroci znajomych, którzy starali się zająć nam czas, powoli zaczęliśmy oswajać się z myślą, że nie odzyskamy naszej utraconej córki. Stopniowo zaczęliśmy więcej uwagi poświęcać aktualnej sytuacji – zbliżającym się rodzinom dziecka. Stary ojciec także wspierał Saszę i nie pozwalał jej tracić ducha. Nastąpił czas porodu. Żona gorzej się poczuła i po niedługich cierpieniach 5 marca 1869 roku, o czwartej nad ranem, urodził się syn, któremu zgodnie z kalendarzem daliśmy na imię **Konstantin**<sup>102</sup>.



Ojca bardzo uradowało pojawienie się na świecie wnuka. 1 kwietnia o szóstej wieczorem odbyły się chrzciny. Ojcem chrzestnym był mój ojciec, a matką – Olga Nikołajewna Mengden. Narodziny Kosty dodały sił mojej żonie, która postanowiła sama go karmić. Znowu nastąpiły radosne dla nas dni i życie wróciło do normy.

[72] Nadeszło lato. Na zaproszenie O. N. przeprowadziliśmy się na wieś do Omielnika, gdzie spędzaliśmy wesoło czas wśród tej dobrej, przyjaznej nam rodziny i znajomych, którzy często tam przyjeżdżali. Stałymi gośćmi odwiedzającymi Mengdenów byli: Chrulew, Riazancew, Wieranowski (ułan), Kodoniec, Majorscy (matka z córką) i wielu innych. Często wpadał też zalecający się do mojej żony Jakow Suchotin. Dom Mengdenów zawsze był otwarty i ilu gości by się nie zjechało, zawsze serdeczni gospodarze zatrzymywali ich na cały dzień. Często urządzano kawalkady, ponieważ Olga Nikołajewna była zapaloną amazonką i nie potrafiła żyć bez towarzystwa. Ogólnie mówiąc, prowadzono życie w najwyższym stopniu hulaszczce. Społeczność Krzemieńczuka doskonaliła się w wymyślaniu najrozmaitszych rozrywek, którym nie było końca. Olga Nikołajewna, nie zważając na słabe zdrowie, żyła wesoło

<sup>102</sup> Konstantin Nikołajewicz de Lazari (1869-1930) – dziad Andrzeja de Lazari.

i aktywnie. Gotowa była całą noc spędzić przy kartach lub odbywać fantastyczne podróże, a dzień swój rozpoczynała nie wcześniej niż o pierwszej po południu. Nasze wzajemne stosunki były na tyle bliskie i przyjacielskie, że niekiedy, nie krępując się, wchodziłem do jej sypialni i budziłem ją, grożąc, że ściągnę z niej kołdrę. W taki sposób zmuszałem ją do wstania i wyjścia do jadalni na kawę, którą wyjątkowo lubiła. Specjalnie dla niej przygotowywano bardzo gęstą śmietankę. Nigdy nie pisała listów, a jeśli trzeba było coś napisać, wołała mnie, usadzała przy stole i prosiła, abym ułożył dla niej list, zawierając mi wszystkie szczegóły swojego życia.

[74] Mając niezwykle dobre serce, kobieta ta gotowa była oddać ostatnią koszulę, byleby pomóc bliźniemu, a jej lewica nigdy nie wiedziała, co czyni prawica. Ileż razy ta gołąbeczka wybawiała nas z opresji! Mąż traktował ją jak rozpieszczane dziecko i pozwalał na wszystkie zachcianki, a sam zadowalał się kieliszkiem lub dwoma sherry w dobrym towarzystwie lub czytał gazety. W pomysły żony się nie wtrącał nawet wtedy, gdy ni z tego, ni z owego improwizowała.

Nie zapomnę tych sytuacji, gdy nie mogąc zasnąć, wyskakiwała z łóżka, ubierała się, rozkazywała stangretowi zaprzęgać czwórkę do powozu i o trzeciej w nocy podjeżdżała pod nasz dom, budziła i żądała, abyśmy niezwłocznie udali się z nią na przejażdżkę. By zaspokoić te jej zachcianki, musiałem się ubrać, wyjść i jak wariaci gnaliśmy po mieście. Uwielbiała szybką jazdę. O ile Olga była miła i życzliwa dla każdego ze znajomych, o tyle o jej rodzonej siostrze, Jelizawiecie Nikołajewnej, powiedzieć tego się nie da. Była starą panną i to na tyle starą, że zastępowała Oldze matkę.

Jelizawieta Nikołajewna, obszarniczka czasów poddaństwa, traktowała domową służbę jak zwierzęta – z odrazą i pogardą. Jeżeli chciała wezwać lokaja lub pokojówkę, nigdy nie używała ich imion, lecz głośno krzyczała: „Hej! Ludzie! Jest tam kto?”. Jeżeli nikt się nie pojawiał, bo akurat nikogo nie było w pobliżu, powtarzała to wołanie kilkakrotnie, za każdym razem coraz głośniej. Wszystkim obecnym nie było wtedy miło, [74] ponieważ wrzeszczała piskliwym głosem, wykrzywiając przy tym twarz.

Chcąc oduczyć ją od tego głupiego przyzwyczajenia, pewnego razu skorzystałem z chwili, gdy z powodu bałaganu w pokoju mogłaby zawołać pokojówkę. Wcześniej ściągnąłem do przedpokoju: lokaja, dwóch stangretów, dwie pokojówki, staruszkę nianię, kucharza i jeszcze kilka osób ze służby. Nakazałem im, by – gdy Jelizawieta Nikołajewna krzyknie: „Hej, ludzie!” – wszyscy razem weszli do salonu. Zwykle przesiadywała tam, a jedynym jej zajęciem było skręcanie sobie papierosów. Sam, jak gdyby nigdy nic,

usiadłem obok niej i zacząłem przygadywać: „Jaki tu bałagan i nie ma komu sprzątnąć”.

Spojrzała i wrzasnęła: „Hej! Ludzie! Jest tam kto?”. W jednej chwili wszyscy, którzy byli za drzwiami wbiegli do salonu. Przestraszyła się tego rwetesu. „Co się stało?” – pyta. Ja na to: „Zawołała pani ludzi, więc przyszli”.

Zdarzyło się to w obecności wielu gości i wzbudziło powszechny śmiech. Je. N. pogniewała się na mnie, ale od tej pory nie wołała już tak służby.

Wyżej wspomniałem, że, gdy byłem w Krzemieńczuku, zaczęła się reforma sądownictwa. Mimo to miejscowe obyczaje pozostawały nienaruszone. Wielkopaństwo, sobiepaństwo i bałagan panowały jak dawniej. Następujące fakty w sposób dostateczny charakteryzują typy ludzi tamtych czasów.

Ziemiańin i mieszkaniec Krzemieńczuka, huzar w stanie spoczynku – Andriej Ostrogradzki – cały swój majątek przehułał z cygańskimi chórami, dając się wzbogacić różnym Katiom i Lubaszom. Znany był z tego, że lepiej z nim nie zadzierać. 20 wiorst od miasta miał stację koni pocztowych, [75] które cenione były w całej guberni. Lubił się nimi popisywać. Pewnego razu po wykonaniu obowiązków służbowych wracałem z miejscowości Hrałyżk do Krzemieńczuka. Jechałem sam i miałem ze sobą jedynie torbę podróżną. Dojechawszy do stacji Ostrogradzkiego, poprosiłem poczmistrza, aby dał mi parę koni, a sam poszedłem do poczekalni. Jakoś dziwnie szybko poczmistrz przyszedł do mnie i mówi: „Konie gotowe”. Wyszedłem na ganek i widzę, że stoi duży powóz, zaprzęgnięty w szóstkę karych koni. Pytam poczmistrza, co to znaczy, a ten mi odpowiada, że pan Ostrogradzki rozkazał, aby kiedy będę przejeżdżał, zaprząć szóstkę i żeby woźnica był w galowych mundurze. Zażądałem, by konie przeprzęgnięto i dano mi tylko parę, jednak poczmistrz zaczął mnie błagać, abym się zgodził jechać szóstką, gdyż jeśli Ostrogradzki się dowie, że wypuszczono mnie z parą, na pewno go ukarze. Po usilnych prośbach poczmistrza ustąpiłem. Pamiętam, że woźnica nazywał się Gorielow.

Gdy tylko wsiadłem do powozu, poczmistrz wyjął zegarek i mówi: „Gorielow, jest siódma”. Konie ruszyły i pognaliśmy. Nie zważając na moje polecenia i szturchańce w plecy, by jechał wolniej, woźnica nie wstrzymywał koni i w ciągu trzech kwadransów dojechałem do domu. Długo nie mogłem się uspokoić po tej trzęsawce.

[76] Jeśli ktoś podobał się Ostrogradzkiemu, przechodził z nim na „ty” i przy każdej okazji okazywał mu swoje względy. Jego libacje nie miały końca. Wypijano masę wina i to obowiązkowo na jego rachunek – nikomu nie pozwalał płacić tam, gdzie sam był obecny. Gdy pewnego razu byłem w domu i pracowałem w gabinecie, przyszedł do mnie żandarm i zameldował,

że kupiec Andriejewski (sklep kolonialny) przysłał dorożkę z subiektem i z jakiegoś ważnego powodu zaprasza mnie do sklepu. Wyszedłem do przedpokoju i rzeczywiście zastałem tam subiekta, który zwrócił się do mnie: „Pan Andrijewski prosi, by zechciał pan przyjść do sklepu w ważnej sprawie”. Nie wiedząc, o co chodzi, szybko się tam udałem. Gdy wszedłem do sklepu, Andriejewski przywitał się ze mną i poprosił, abym przeszedł z nim na zaplecze, gdzie zastałem ze dwunastu oficerów-ułanów z Ostrogradzkim na czele. Ten, zwróciwszy się do mnie, mówi: „Kochany Kola! Zebraliśmy się tu po to, aby okazać ci naszą sympatię i przywiązanie, i wypić z tobą szampana za twoje zdrowie. Ponieważ nie ma innego naczynia, wzięliśmy ten puchar, żeby z niego wypić, podając go sobie z rąk do rąk”. I tu Ostrogradzki wręczył mi ogromny szklany nocnik, napelniony szampanem. Wypisane na nim były nazwiska wszystkich obecnych, w tym moje. Sporo czasu spędziliśmy w tym pokoiku, a następnie udaliśmy się do Ostrogradzkiego. Rozstaliśmy się dopiero o trzeciej nad ranem, gdy gospodarz nie był już w stanie ucztować. Później nocnik ten zawsze stał na jego biurku.

[77] Żoną Ostrogradzkiego była córka właściciela sąsiedniego majątku. Teść był oburzony zachowaniem zięcia. Nie pomagały żadne prośby, by zmienił styl życia i przestał pić. Ostrogradzki kontynuował swoje. Teść, wyprowadzony z równowagi, powiedział mu: „Daję ci słowo honoru, że moja noga więcej u ciebie nie postanie, dopóki nie przestaniesz pić, chyba że moja córka umrze i będzie leżała na marach”. W ciągu kilku miesięcy ojciec w rzeczy samej córki nie odwiedzał i ta bardzo za nim tęskniła. Ostrogradzki zamyślił więc przedstawienie: ułożył żonę na marach i kazał jej udawać umarłą. Zaprosił masę znajomych na pogrzeb i wysłał wiadomość do teścia. Nie spodziewając się żartu, wszyscy zjechali do jego majątku. Ojciec zalewał się łzami. Kiedy rozpoczęła się msza żałobna, gdy należało odmawiać „za spój jej duszy”, Ostrogradzki kazał żonie wstać i z okazji jej zmartwychwstania przynieść wina. Zamknął mieszkanie, by nikt nie mógł wyjść i przehułał dwa dni w towarzystwie teścia.

W czerwcu, podczas krzemieńczuckiego jarmarku, jakoś o dziewiątej wieczorem, siedząc w domu, usłyszałem na ulicy marsz pogrzebowy. Muzykę słyszeć było coraz bliżej, aż wreszcie zabrzmiała pod moim oknem.

Dziwiąc się, że pogrzeb odbywa się o tak niestosownej porze, wyszedłem na balkon zobaczyć, kogo chowają. Pośrodku ulicy zobaczyłem pojazd, zaprzężony w czwórkę koni. Stangreci stali przy koniach, na wehikule Ostrogradzki, zaś po obu stronach czterej oficerowie, [78] trzymający go za ramiona i nogi. Wyszedłem na ulicę i zacząłem robić im wymówki za zakłócanie



spokoju. Wtedy Ostrogradzki zerwał się, wciągnął mnie przy pomocy oficerów do pojazdu, stangretom kazał dosiąść koni i jechać do domu. Muzykanci pojechali w ślad za nami. Gdy dotarliśmy na miejsce, kazał podać kolację i do czwartej rano świętowaliśmy zmartwychwstanie Ostrogradzkiego.

Wszystko to działo się na moich oczach i dziwiłem się, że te wygłupy uchodziły mu bezkarnie. Świadkowie czasów minionych opowiadali mi, że za rządów hrabiego Nikitina<sup>103</sup>, który ostro traktował oficerów i srogo postępował z nimi za każdy najmniejszy występki, Ostrogradzki założył się o dużą sumę, że na gołasa przejedzie wierzchem przed domem hrabiego. Hrabia zawsze śledził z okien, co dzieje się na ulicy. O tym zakładzie wiedzieli adiutanci Nikitina. Jakież było ich zdziwienie, gdy rzeczywiście Ostrogradzki, namalowawszy na gołym ciele huzarski mundur, z guzikami i sznurami, wierzchem przejechał przed domem Nikitina, gdy ten wraz z adiutantem wyglądał przez okno. Z powodu krótkowzroczności hrabia nie mógł się połapać, kto jedzie, więc w odpowiedzi na jego pytanie adiutant zameldował, że to Ostrogradzki w nowym mundurze. Hrabia uspokoił się, a Ostrogradzki wygrał zakład.

Do Krzemieńczuka często zajeżdżał Nikołaj Iwanowicz Kapnist, ziemianin, rodzony brat Władimira<sup>104</sup>, przewodzącego miejscowej szlachcie (później rodzinie Kapnistów nadano hrabiowski tytuł). Nikołaj także uwielbiał hulanki, z czego często wynikały skandale. [79] Kiedyś przyjechał z jakimś duchownym i zatrzymał się w hotelu „Jug”. Wynajął pokój, kazał przynieść wódkę, zakąskę i razem się nażłopali. Rano zamknął popa w pokoju i kazał recepcjoniście go stamtąd nie wypuszczać. Sam poszedł do miasta. Pojawił się dopiero następnego dnia. Pop się zbiesił, więc Kapnist, by go udobruchać, zaproponował przejażdżkę łódką po Dnieprze. Kupił wódkę, zakąskę, ze trzy butelki szampana. Posadził duchownego do łódki, sam chwycił za wiosła, wypłynął na środek rzeki i dał łódce płynąć z prądem. Gdy dostatecznie już się nachlali, Nikołaj znowu zaczął wiosłować, kierując łódź do brzegu. Im bliżej podpływali, tym silniej bujał łódką. Skończyło się na tym, że pop wleciał do wody i zanurzył się z głową. Wtedy Kapnist wyskoczył na brzeg, podniósł ręce do nieba i siarczyście klnąc zaczął krzyczeć: „Pomocy! Pop tonie!”. Zbiegł się tłum i pijanego popa, jak mokrą kurę, wyciągnięto na brzeg. Kapnist, nie dając mu się wysuszyć i przebrać, kazał zaprząć konie i odwiózł go do wsi, do popadii.

<sup>103</sup> Aleksiej Pietrowicz Nikitin (1777-1858) – generał kawalerzysta.

<sup>104</sup> Władimir Iwanowicz Kapnist (1839 -?) – przewodniczył szlachcie w Krzemieńczuku w latach 1868 -1871.

Tego samego popa Kapnist zmusił, by na klęczkach, z rękami założonymi do tyłu, podnosił ustami z podłogi rublowe banknoty. Te, które podniósł, były jego. Oj, wiele się działo w tamtym czasie. W niejedno wydarzenie sam bym pewnie nie uwierzył, gdybym nie był ich naocznym świadkiem. Gdybym miał je wszystkie opisać, zabrakłoby papieru.

Nasz synek Kostia rozwijał się i krzepł na wsi, jednak w sierpniu wróciliśmy znowu do miasta. [80] Niedługo po naszym powrocie przyjechali do nas moi bracia (Jegor, Wasilij i Kostia) z żonami i córka Jegora – Sasza. Pogościwszy u nas jakiś czas, rozjechali się, ale podczas ich pobytu dla upamiętnienia spotkania zrobiliśmy wspólne zdjęcie z naszym ojcem. Zdjęcie to zachowało się do dziś.



*Jegor, Maria Stratonowicz,  
Nikołaj;  
Konstantin, Nikołaj-ojciec,  
Wasilij, Anna Bielajewa;  
Praskowja Pawłowa,  
Aleksandra Engeldardt*

Ojciec na stare lata był wiecznie rozdrażniony. Stał się tak nieznośny, że trudno było z nim wytrzymać. Czepiał się Saszy i urządzał wszystkim sceny. W końcu wyjechał z powrotem do Odessy.

We wrześniu odwiedziła nas rodzina żony: matka i brat Kostia. Pomieszkawszy u nas dwa tygodnie, 14 września wyjechali do Petersburga i zabrali ze sobą Saszę i naszego Kostię. Popłynąłem z nimi statkiem aż do Kijowa. Sasza zatrzymała się w Petersburgu do grudnia. Ustaliliśmy, że 20 grudnia wyjadę po nią nowo zbudowaną koleją do Kijowa. Wziąłem 28-dniowy urlop, abyśmy z Kijowa mogli pojechać, także koleją, do Odessy, do mojego brata Jegora.

Na święta 24 grudnia przybyłem do Kijowa. Saszę z Kostią i niańką za-

stałem w hotelu „Europejskim”. Przewidując, że z powrotem pojedziemy również koleją, poszedłem kupić bilety na przejazd z Kijowa do stacji Bierzowka<sup>105</sup>. Jakież było moje zdziwienie, gdy dowiedziałem się, że najbliższy pociąg ruszy dopiero po wszystkich dniach świątecznych Bożego Narodzenia. Miałem więc w perspektywie stratę masy czasu i bezproduktywne spędzanie świąt z całą moją niewielką rodziną w hotelu w Kijowie. W tej sytuacji postanowiłem jechać pocztowymi końmi. Udałem się więc na stację w poszukiwaniu ekwipażu i towarzyszy podróży. Poczmistrz powiadomił mnie, że do Żmerynki<sup>106</sup> chce jechać także pewna dama [81] z dzieckiem i wskazał mi jedyny pojazd, który można było wynająć – ogromny omnibus, do którego zmieściłoby się z osiem osób. Nie było rady, porozumiałem się z damą, która okazała się być żoną doktora z Odessy, wzięliśmy woźnicę i ruszyliśmy w drogę. Z każdym kilometrem podróż stawała się coraz trudniejsza, ponieważ nie było szosy, lecz tylko czarnoziem. Przed Białą Cerkwią<sup>107</sup> pękł tylny resor i musieliśmy spędzić na stacji dodatkowy dzień, dopóki go nie naprawili. Wlekliśmy się krok za krokiem. Niekiedy trzeba było zaprzęgać po osiem koni. Jakoś wreszcie dotarliśmy do stacji Szamrajewki<sup>108</sup>, gdzie zakończyły się nasze męczarnie.

Do Odessy, do Jegora dotarliśmy dopiero drugiego stycznia 1870 roku i wreszcie mogliśmy odpocząć. Brat z rodziną bardzo troszczyli się o nas i starali się na wszelkie sposoby uprzyjemnić nam czas. Podczas miesięcznego pobytu zdążyłem przyjrzeć się życiu jego rodziny. Jegor był stale zajęty grą w karty w klubach. Mało interesował się tym, co dzieje się w domu. Nie zwracał sobie głowy wychowaniem dzieci. Również ich matka, Maria Grigorjewna, nie mniejsza miłośniczka kart i towarzystwa, nie miała dla nich czasu.

Nikołaj, ich najstarszy 16-letni syn, chłopiec dobrze rozwinięty fizycznie, uczęszczał do trzeciej klasy gimnazjum i uczył się słabo. Jego młodsi bracia – 11-letni Siergiej i 10-letni Michaił – uczyli się byle jak w domu z guwernerem. [82] Nikołaj codziennie wychodził z książkami do gimnazjum, jednak nie widać było, by odrabiał w domu jakieś lekcje. Postanowiłem więc sprawdzić, czy rzeczywiście chodzi do szkoły. Pewnego razu po jego wyjściu, odczekawszy jakiś czas, poszedłem do gimnazjum. Dyrektorowi powiedziałem, że jestem wujkiem Koli i zapytałem, jak on się uczy i sprawuje.

<sup>105</sup> Stacja kolejowa w pobliżu Odessy.

<sup>106</sup> Miasto na Ukrainie, obecnie w obwodzie winnickim.

<sup>107</sup> Miasto w odległości 80 km na południe od Kijowa.

<sup>108</sup> Wieś – 22 km za Białą Cerkwią.



*Kola Jegorowicz de Lazari (1853-1885), Kostia Nikołajewicz de Lazari, i Sierioża Jegorowicz de Lazari (1858-?)*

Dyrektor zaprowadził mnie do pokoju nauczycielskiego i pokazał dziennik, w którym przez ostatnie 4 miesiące były przy nazwisku Koli same „nb.”, czyli „nieobecny”. Dalsza moja obserwacja wykazała, że zamiast na lekcje, Kola chodził do restauracji, aby grać tam w bilard. Porozmawiałem z nim i zapytałem, czy nie zechciałby wstąpić do wojska jako junier. Pomysł bardzo mu się spodobał.

Gdy nadarzyła się okazja, zwróciłem uwagę Jegora na sytuację jego dzieci – że nikt się nimi nie opiekuje i że źle się to skończy. Poprosiłem go, aby całą trójkę oddał pod moją opiekę – z Nikołaja zrobię junkra w Pułku Ułańskim, a dwójkę młodszych umieszczę w Połtawskim Korpusie Kadetów. Jegor podziękował mi za troskę i powiedział, że najpierw przywiezie mi Kolę, a później Sieriożę i Miszę. Zanim wyjechaliśmy z Odessy uporządkowałem wszystkie niezbędne dokumenty dzieci i zabrałem je ze sobą. Pożegnawszy się z rodziną Jegora, wyjechaliśmy z do Krzemieńczuka. Dotarliśmy tam 8 lutego o szóstej wieczorem.

Po przyjeździe do domu rozpocząłem starania o przyjęcie Koli do pułku. [83] Dzięki dobrym stosunkom z Nowickim, naczelnikiem sztabu 2. Dywizji Kawaleryjskiej i hrabią Nirodem, dowódcą Charkowskiego Pułku Ułańskiego, udało mi się sprawę załatwić. Napisałem więc do Jegora, by przysłał Kolę. Na egzaminie potraktowano go pobłaźliwie, dano mu zaświadczenie i po pewnym czasie, po umundurowaniu, Kola stał się dzielny ułanem. Następnie skierowano go do Szkoły Junkrów Kawalerii, której nie ukończył i przeszedł w stan spoczynku. Później pracował w petersburskiej intendencji, ożenił się i miał syna. Sam niestety wkrótce zmarł. Żona, wdowa, przeprowadziła się z synem do Odessy. Pracowała tam u Ozmidowa<sup>109</sup> w redakcji „Noworosyjskiego Telegrafu”.

<sup>109</sup> Michaił Pawłowicz Ozmidow (1836-1897) – w latach 1874-1897 wydawca i redaktor „Noworosyjskiego Telegrafu”.



Latem przywieziono do nas Sieriożę i Miszę. Umieściłem ich w Połtawskim Korpusie Kadetów. Początkowo mieszkali u adiutanta Gawriłowa, potem byli już na wikcie państwowym. Obaj z powodzeniem ukończyli naukę – Sierioża został artylerzystą, natomiast Misza nie nadawał się do wojska i pracował w cywilu. Pięknie rysował. Gdy Siergiej się ożenił, przenieśliśmy go do 7-ej brygady, do Postowskiego<sup>110</sup>. Później przeszedł w stan spoczynku. Co teraz dzieje się z nim i jego rodziną – nie wiem<sup>111</sup>.

Żona Siergieja miała dwie siostry – Sofię i Marię. Sofia wyszła za mąż za pułkownika Piespiera, później owdowiała, a Marię, pannę nieco starszą od Saszy, sprowadziliśmy ze wsi Fłusowo<sup>112</sup>, by zamieszkała z nami. Miała chore nogi. Od nas pojechała leczyć się borowiną do kurortu Saki na Krymie. Była tam cały turnus i dolegliwości ustąpiły.

[84] Sasza była w tym czasie w ciąży, ale czuła się dobrze. Kostię odsta-  
wiła od piersi. Niańka karmiła go potrawami mącznymi i jego nogi z dnia na dzień robiły się coraz bardziej krzywe, zaokrąglone i poruszał się jak kaczka. Bardzo nas to niepokoiło.

2-go października urodziła nam się córka – śniada, ładniutka cyganeczka. Zgodnie z kalendarzem daliśmy jej na imię Żenia. Rodzicami chrzestnymi byli Suchotin i Maria Grigorjewna (żona Jegora). Sasza karmiła sama. Zachwyciłem się, jak nasza czarnulka lgnie do piersi matki. Żona i córeczka były zdrowe.



*Aleksandra z córką*

Nic mi wówczas nie przeszkadzało w oddawaniu się w Krzemieńczuku hulaszczemu życiu. Wybrano mnie na gospodarza klubu, zabrałem się więc za organizowanie wieczor-  
ków i spektakli. Zdobyłem sobie taką sympatię i pozycję towarzyską, że gdy pułki kawale-  
ryjskie całej dywizji zorganizowały wspólny

<sup>110</sup> Iwan Konstantinowicz Postowski dowodził 7. Brygadą Artyleryjską w latach 1872-1888.

<sup>111</sup> Siergiej de Lazari w latach 1890-1891 był urzędnikiem w Irkucku. Tam wslawił się jako artysta malarz. Zob. [http://irkipedia.ru/content/de\\_lazari\\_mihail\\_egorovich](http://irkipedia.ru/content/de_lazari_mihail_egorovich)

<sup>112</sup> Nieistniejąca już wieś Fłusowo wspomniana jest w książce *Списки населенных мест Смоленской губернии в 1868 г.*

piknik w budynku sztabu, mnie wybrano na gospodarza imprezy. Pamiętam z niej pewne zdarzenie. Gdy wszyscy usiedli do kolacji, do sali wszedł lokaj z ogromną tacą, na której stały filiżanki z bulionem, i gdy chciał podać jedną z nich dowódcy dywizji, hrabiemu Nirodowi, taca się załamała i ponad 70 filiżanek z bulionem i łyżeczkami poleciało na podłogę, rozbijając się w drobny mak. Okazało się, że taca była zrobiona z grubej tektury i nikt tego nie zauważył. Chociaż następni lokaje byli ostrożniejsi, bulionu dla wszystkich nie wystarczyło.

[85] W Krzemieńczuku policmajstrem był wtedy Sidorienko – wielki miłośnik spektakli. Doceniono działalność nas obu. Towarzystwo podzieliło się na dwie partie: jedną nazwali sidoristami, drugą – delazaristami. Tak bardzo zafascynowałem się teatrem, że z pomocą samych amateerek – młodych dam i panien – udało mi się wystawić sztukę „Dziesięć cór na wydaniu”<sup>113</sup>. Kosztowało nas to trzy miesiące ciężkiej pracy. Wszystkie „córy” wystąpiły w strojach na wzór mundurów Charkowskiego Pułku Ułanów, zaś korpus połtawski wziął kadeckie karabiny i z Odessy sprowadził 10 dziecięcych werbli. Spektakl wypadł wspaniale i publiczność zmusiła nas do jego powtórzenia. Ja wystąpiłem w roli ojca Schönhahna, a Sidorienko w roli Parysa.

W jednym ze spektakli, w wodewilu, główną rolę miała zagrać Ksienia [Michajłowna] Butowska, bardzo utalentowana panna. Przed premierą rozchorowała się jednak i nie mogła wystąpić. Ponieważ dublerki żadnej nie było, poproszono mnie i Sidorienkę, abyśmy zagrali zamiast tego wodewilu „Dwa zające jednym tropem”. Nie znaliśmy ról, widzieliśmy jedynie tę sztukę na innych scenach. Na usilną prośbę publiczności, postanowiliśmy wyjść na scenę. Suflera za nic nie mogliśmy zrozumieć, każdy z nas plótł więc co popadło. Widzowie śmiali się do rozpuku. Tę szopkę musieliśmy zakończyć bez żadnej puenty. Po spektaklu brat Butowskiej, Piotr Michajłowicz<sup>114</sup>, [86] (obecnie wiceminister sprawiedliwości), przyszedł do nas za kulisy i powiedział: „No, panowie, zagraliście wodewil, który można by zatytułować „Dwa zające jednym tropem” czyli „Pogrzebacz w śmietanie”. Sidorienko był po uszy zakochany w Butowskiej, ja zaś przypadłem do gustu jej zameżnej siostrze<sup>115</sup>. Na wszelkie sposoby starała się zainteresować mnie swoją osobą i wielokrotnie pisała do mnie listy.

<sup>113</sup> Operetka Franza Suppe *Dziesięć cór na wydaniu* (*Zehn Mädchen und kein Mann*, 1862).

<sup>114</sup> Piotr Michajłowicz Butowski (1842-1912) – prawnik. Był m.in. sędzią pokoju w Krzemieńczuku, przewodniczącym sądu w Lublinie, potem w Warszawie; od 1894 wiceminister spraw wewnętrznych.

<sup>115</sup> Ksienia Butowska miała dwie siostry – Sofię i Marię.

Lato tamtego roku znowu spędziliśmy w Omielnikach na wynajętej daczynie niedaleko majątku Mengdenów. Niemal codziennie spotykaliśmy się z nimi, a po powrocie do miasta wynajęliśmy poprzednie mieszkanie w ich domu.

W dniu urodzin Kosti, 5 marca, prawie wszyscy znajomi przyjechali złożyć mu życzenia. Każdy czuł się w obowiązku przynieść mu w prezencie jakąś zabawkę. Ten nadzwyczajny dzień pozostaje w mojej pamięci dlatego, że Kostia wszystkich unikał i żeby nikt go nie zobaczył, wlaźł w salonie pod stół nakryty obrusem. Każdy pytał: „A gdzie jest Kostia?”, a dowiedziawszy



się, że siedzi pod stołem, wsuwał tam zabawkę. Zebrało się ich tyle, że gdy potem policzyłem, ile kosztowały, okazało się, że 55 rubli z kopejkami. Jednak przez jego ówczesną chorobę i rozdrażnienie zabawki te długo nie przetrwały. Angielska choroba [krzywica] Kosti postępowała, głowa i brzuch powiększały się, nogi wykrzywiały, a ręce chudły.

W Krzemieńczuku prowadziliśmy dom otwarty, kontakty towarzyskie rosły, a wraz z nimi wydatki. [87] Materialnie byliśmy na skraju przepaści, tym bardziej, że wraz z pojawieniem się kolei wszystko zdrożało po trzykroć. Stała przed nami konieczność przeprowadzki do innej miejscowości.

Ponieważ opowiadano nam o tanim życiu w Królestwie Polskim, postanowiłem podjąć starania o przeniesienie mnie tam. Wziąwszy dwumiesięczny urlop, pożegnaawszy się z kolegami i przyjaciółmi, 21 marca 1872 r. wyjechaliśmy do Petersburga. Żegnano nas w Krzemieńczuku tak ciepło i serdecznie, że popłakałem się jak dziecko. Wypiliśmy masę butelek szampana. Suchotin odprowadził nas do Połtawy. (1 kwietnia 1872 zostałem mianowany na kapitana).

Po przybyciu do Petersburga stan Kosti bardzo się pogorszył. Za radą krewnych zwróciliśmy się do doktora Zieleńskiego<sup>116</sup> z prywatnej kliniki dziecięcej. Zapraszaliśmy go, wysyłając po niego karetkę i 5 rubli za wizytę. Gdy zbadał Kostię, kategorycznie orzekł, że jeżeli chcemy uratować syna, musimy na pewien czas zaprzestać bycia dla niego ojcem i matką. Nie wolno nam zwracać uwagi na jego cierpienia podczas kuracji i mamy ściśle przestrzegać rad lekarskich. Nakazał nam, abyśmy nie dawali Kosti pod żadną

<sup>116</sup> Michaił Samojłowicz Zieleński (1829-1890) – lekarz-pediatra.

postacią ani okruszynki chleba. Z owsianej mąki mieliśmy przygotowywać zacierkę i przed podaniem dodawać do niej po łyżce wody wapiennej. Oprócz tej owsianki niczego Kosti nie wolno było dawać, mimo jego rozpaczliwych krzyków. Mieliśmy też zabronić niańce przytulania i pocieszania go. Zdecydowaliśmy się na taki sposób leczenia. Trzeba było być [88] na naszym miejscu (ojca i matki), żeby mieć pojęcie, jak cierpieliśmy, widząc męki naszego rozpieszczonego dziecka.

W rzeczy samej biedny Kostia krzyczał, rzucał się na podłogę, gotów był gryźć, byleby tylko nie jeść tej zacierki. Przez prawie dwie doby nie ruszył jedzenia. Przez cały czas krzyczał i płakał, jednak zacisnąwszy zęby wytrwaliśmy. Trzeciego dnia pomału zaczął próbować swojego dania. Z dnia na dzień robił się spokojniejszy, apetyt mu rósł i jadł coraz więcej. Na rezultat nie trzeba było długo czekać. Stan jego zdrowia zaczął się poprawiać. Po dwóch tygodniach brzuch się zmniejszył, ręce i nogi nabrały ciała. Kontynuowaliśmy kurację. Oprócz zacierki dawaliśmy mu surowe mięso, zamiast bułek – suchary i Kostia zaczął wracać do zdrowia. Choroba zostawiła jednak swój ślad. Złe nastroje syna dawały się we znaki otoczeniu i jemu samemu. Opowiem o tym jeszcze w odpowiednim miejscu.

## [W Królestwie Polskim]



Zostawiwszy żonę i dzieci u matki w Petersburgu, 13 kwietnia wyjechałem do Warszawy, dokąd przesłano moje mianowanie na stanowisko naczelnika zarządu żandarmerii powiatów grójeckiego, błońskiego i górnokalwaryjskiego. Po przybyciu do Warszawy przedstawiłem się naczelnikowi okręgu, baronowi generałowi Fredericksowi<sup>117</sup> oraz naczelnikowi Warszawskiego Gubernialnego Zarządu Żandarmerii, staremu generałowi [89] Wunschowi<sup>118</sup>.

*Platon Fredericks*

<sup>117</sup> Platon Aleksandrowicz Fredericks (1828-1888) – naczelnik Warszawskiego Okręgu Żandarmerii w latach 1867-1873.

<sup>118</sup> Wasilij Fiodorowicz Wunsch (1811-1874).



Jego żoną była Polka, dosyć oryginalna kobieta, która nie zważając na swój podeszły wiek, starała się wyglądać zawsze młodo. Ubierała się nad wyraz swojscie w wymyślne kostiumy, a przy tym tak bielila i różowiła policzki, że człowieka śmiech ogarniał.

Zapoznawszy się ze wszystkimi członkami kierownictwa okręgu i złożwszy każdemu z nich wizytę w domu, odjechałem do nowego miejsca mojej służby – do miasta Grójec (44 wiorsty od Warszawy). Codziennie kursowały tam karety pocztowe. Kareta wyruszała zwykle o czwartej rano i w Grójcu była o piątej lub szóstej wieczorem.



*Grójec w 1867 r.*<sup>119</sup>

Po przyjeździe do miasta zatrzymałem się w pokoju gościnnym w restauracji Rozmanitha<sup>120</sup>. Było to jedyne miejsce, gdzie mogli zatrzymać się podróżni. Na stacji pocztowej spotkał mnie wachmistrz Iszczenko, który pomógł mi przenieść rzeczy do pokoju, prawie naprzeciwko biura poczty. Po pewnym czasie wszedł do mnie jakiś oficer i zapytał, czy nie jestem bratem Wasilija Nikołajewicza de Lazari. Potwierdziłem, a wtedy on przedstawił się jako kapitan Zaporoszczenko i powiedział, że służył z moim bratem w Pułku Szyrwańskim.

<sup>119</sup> Rynek w Grójcu, „Tygodnik Ilustrowany” 1867, nr 381.

<sup>120</sup> Stanisław Rozmanith – warszawski kupiec, handlujący towarami kolonialnymi.

Ucieszyła mnie ta znajomość, ponieważ brat, opowiadając o życiu na Kaukazie, często wspominał Zaporoszczenkę jako kolegę i przyjaciela. Okazało się, że Zaporoszczenko służy w Grójcu w straży ziemskiej. Tego samego wieczora udałem się do swego poprzednika, kapitana Orłowskiego, od którego miałem przejąć obowiązki.

Przesiedziałem u niego [90] do jedenastej wieczorem, słuchając opowieści o sytuacji w kraju. Odniosłem wrażenie, że pracy będzie dużo więcej niż w Rosji, i że pozycja oficera żandarmerii jest tam bardziej znacząca.

Na drugi dzień o dziewiątej przystąpiłem do przejmowania kierownictwa zarządu żandarmerii. Tu Orłowski pokazał całą swoją małostkowość, wypisując cenę każdej kartki papieru, każdego czasopisma i każdej książki. Doszło między nami do takich nieporozumień, że odmówiłem przejęcia wszystkiego według wyliczonych przez niego cen. Orłowski złożył raport generałowi Wunschowi, a ten w raporcie do naczelnika okręgu zaproponował, by Orłowski przekazał mi wszystko za sumę przeznaczoną na materiały kancelaryjne (50 rubli rocznie). Ta okoliczność pozwoliła mi zmniejszyć rachunek wystawiony przez Orłowskiego o ponad 170 rubli, przez co stosunki między nami bardzo się pogorszyły.

Po wyjeździe Orłowskiego zająłem jego służbowe mieszkanie, składające się z czterech pokoi, przedpokoju i kuchni. Później w Banku Polskim dowiedziałem się, że na tym stanowisku udało mu się zgromadzić 20.000 rubli. Nic dziwnego, że wśród powiatowych urzędników, mieszkańców miast oraz wśród ziemian nie cieszył się sympatią i wyjechał z miasta ze złą opinią. Powoli zacząłem urządzać swoje mieszkanie. Z mebli Orłowskiego, ze względu na wysoką cenę, niczego nie kupiłem. Zresztą było ich i tak stanowczo za mało. Dlatego, gdy tylko przejąłem zarząd i zapoznałem się ze sprawami i korespondencją, [91] udałem się do Warszawy i wydałem tam ponad 400 rubli na urządzenie mieszkania.

W maju przyjechali moi bliscy i rozpoczęliśmy w Grójcu nowe życie rodzinne, z dobrą kucharką i pokojówką. Służba w tamtym kraju jest bardzo dobra i tania. Wynajmuje się ją kwartalnie (na 3 miesiące), zwykle za 9 lub 10 rubli za kwartał, co według tamtejszych cen uważa się za dobrą zapłatę. Zwykle urzędnicy płacili po 7 rubli za kwartał, a w skład służby wchodził pokojówka, kucharka i pracza. Nazywało się to „do wszystkiego”.

W odległości dwóch wiorst od miasta był majątek Głuchów, własność P. Ja. Tiewielewa, naczelnika Powiatu Warszawskiego. Tiewlew w majątku nie mieszkał, a jedynie przyjeżdżał od czasu do czasu, by sprawdzić stan spraw w tamtejszym browarze. Był tam ładny dom, sad i przepływająca

nieopodal rzeka. Gdy poznałem Tiewlewa, zaproponował nam, abyśmy na lato przeprowadzili się do tego domu. Z radością skorzystaliśmy z zaproszenia. Dzieci miały przestrzeń i czyste powietrze, a i żona potrzebowała powietrza, kąpiei i spacerów, gdyż znowu była w ciąży.



*Pałac w Głuchowie*<sup>121</sup>

Kostia miał już trzy lata i wszędzie chodził za mną. Zajmowała się nim 15-letnia niania, Sasza, którą przywieźliśmy z Krzemieńczuka. Pod pagórkem w sadzie urządziliśmy kąpielisko. Nigdy nie zapomnę jak Kostia, bawiąc się na pomoście, wpadł do wody i omal nie utonął. Saszy w tym czasie nie było obok niego, a ja pływałem. W pewnym momencie usłyszałem, że coś wpadło do wody. Wskoczyłem na brzeg, ale Kosti na pomoście nie zobaczyłem. [92] Był już pod wodą. W miejscu, gdzie wpadł dostrzegłem tylko zmętniałą wodę. Rzuciłem się do rzeki i wyciągnąłem go. Był nieprzytomny. Bardzo się przeląknęłam, wziąłem go na ręce i pobiegłem na górę do domu. Dopiero gdy wnosłem go do pokoju, krzyknął i zaczął płakać. Byłem tak przejęty, że położywszy go na łóżku, sam histerycznie załkałem. Długo nie mogłem się uspokoić na myśl, że mógł zginąć. Z Żenią żadnych problemów zdrowotnych nie było. Była silna, podobna do maleńkiej, ładniutkiej cyganczki, wszystko miała proporcjonalne.

Podczas pobytu w Głuchowie zdążyłem poznać wielu ziemian, którzy zawsze przyjmowali mnie uprzejmie. Zapoczątkowałem te znajomości u ziemianina Chudzyńskiego<sup>122</sup> w posiadłości Zalesie (dwie wiorsty od Grójca i Głuchowa). Byli to ludzie bardzo bogaci. U nich poznałem Krzywoszew-

<sup>121</sup> Fot. Andrzej Zygmunt Rola-Stężycki. Zob. Idem, *Rezydencje... ziemiańskie siedziby w Grójeckiem*, Grójec 2010. Serdecznie dziękuję Panu Roli-Stężyckiemu za udostępnienie tych zdjęć.

<sup>122</sup> Feliks Chudzyński, zob. <http://www.sejm-wielki.pl/b/3.266.154>.

skiego<sup>123</sup>, właściciela majątku Drwalew<sup>124</sup> (7 wiorst od Grójca). Jego żoną była córka Chudzyńskich. Poznałem również wielu innych ziemian: Sosnowskiego (majątek Michrów<sup>125</sup>), Niwińskiego [Wola Łychowska w gminie Jasieniec], Czarnockiego [Przęsławice], Zielińskiego<sup>126</sup> [Turowice], Suskiego<sup>127</sup> [Warpęsy] i wielu innych. Wszyscy byli ukontentowani znajomością ze mną i odnosili się do mnie bardzo życzliwie. Orłowski, mój poprzednik, nigdy z nikim z nich znajomości nie zawarł.

Ziemianie z uprzejmości pierwsi [93] mnie odwiedzili, czułem się więc w obowiązku złożyć im rewizyty. Przy opiniowaniu danej osoby często nadawana była przez miejscową administrację gołosłowna fraza: „postawa polityczna nieprawomyślna”.



*Pałac w Zalesiu*<sup>128</sup>

Od tej opinii często uzależnione było całe życie człowieka w sensie moralnym, politycznym i ekonomicznym. Wyłącznie z pobudek patriotycznego braku sympatii do Polaków bardzo niesprawiedliwe było, niezależnie od okoliczności, dodawanie do tej frazy cząstki „nie”. Mając świadomość, że rząd ma zaufanie do naszej instytucji (do Korpusu Żandarmów) i oczekuje od nas sprawiedliwego opiniowania postaw politycznych miejscowej ludności, uznałem za konieczne bliższe zapoznanie się z życiem mieszkańców wszystkich stanów, aby nie przedstawiać gołosłownych opinii o konkretnych ludziach.

<sup>123</sup> Bolesław Krzywoszewski, zob. <http://www.sejm-wielki.pl/b/3.266.162>.

<sup>124</sup> Zob. <http://www.institut-genealogii.com.pl/index.php?mod=artykuly&id=2&itemid=119>.

<sup>125</sup> Dobra Michrów, powiat grójecki, własność Karola Sosnowskiego herbu Nałęcz.

<sup>126</sup> Julian Ignacy Wincenty Zieliński (1833-1898).

<sup>127</sup> Piotr Suski h. Pomian – dziedzic majątku Warpęsy od 1855.

<sup>128</sup> Ibidem.





*Pałac w Drwalewie<sup>129</sup>*

*Dwór w Michrowie<sup>130</sup>*

W kancelarii mojego urzędu, obejmującego trzy powiaty, zastałem blisko 40 ksiąg kontrolnych. Do ksiąg tych wpisywano: wszystkich ziemian, dzierżawców majątków, zarządców, księży, urzędników i całą szlachtę, zamieszkującą dane powiaty, ze wszystkimi członkami ich rodzin. Przy każdej osobie w specjalnej rubryce robiono adnotację o jej postawie politycznej. Gdy dana osoba w mniejszym bądź większym stopniu podejrzewana była o nielojalność, obok jej nazwiska czyniona była odpowiednia adnotacja. Tego wystarczyło, by na całe życie zszargać komuś opinię.

[94] Środki podjęte przez rząd po buncie 1863 roku wobec miejscowej polskiej ludności były niezbędne. Nie chciano powtarzać błędów, które przyczyniły się do wybuchu powstania. Środki takie mają jednak sens tylko wtedy, gdy ludzie, którym rząd powierza dobrobyt kraju, stoją na wysokości zadania, do którego zostali powołani. Kierowanie się osobistymi sympatiami lub antypatiami prowadzi do niesprawiedliwości i rodzi masę nieporozu-

<sup>129</sup> Ibidem.

<sup>130</sup> Ibidem



mień. Rząd uznał, że elementem niebezpiecznym, zakłócającym utrzymanie w kraju stabilizacji politycznej są ziemianie i księża, jako aktywni uczestnicy minionego buntu. Nie było ani jednego ziemianina i ani jednego księdza, który, jeśli nie jawnie, to przynajmniej pośrednio, nie uczestniczyłby w działalności politycznej. Dlatego wszyscy byli wpisani do księgi kontroli i prawie przy każdym była adnotacja o nieprawomyślności politycznej.

Ziemianin Ludgard Czarnocki<sup>131</sup> od razu przy pierwszym naszym spotkaniu wydał mi się osobą dwulicową. Przyszedł do mnie i przedstawiając się jako sędzia pokoju, zaczął mówić o nieprawomyślnej postawie politycznej swoich sąsiadów, przeciwstawiał im siebie i podkreślał własne oddanie rządowi. Oburzyło mnie to. Po jego wyjściu zajrzałem do księgi kontroli. Okazało się, że był on w niej scharakteryzowany bardzo niepochwlebnie z następującą uwagą: „Podczas powstania przyjmował u siebie bandę buntowników i kilka dni ukrywał Żychlińskiego<sup>132</sup>, ich dowódcę. Bardzo przebiegły; zależnie od okoliczności staje po jednej lub po drugiej stronie”.

[95] Później mogłem się przekonać, na ile sprawiedliwa była ta ocena. Osłaniając siebie, wydał ziemianina Sosnowskiego, w którego domu umieścił Żychlińskiego i ten został aresztowany. Musiał zapłacić 3000 rubli kontrybucji, a Czarnocki został uniewinniony. W tamtym czasie w Cytadeli Warszawskiej działała Wojskowa Komisja Śledcza, której przewodniczył najpierw Tuchółka<sup>133</sup>, a potem generał Griszyn. Komisja ta rozpatrywała wszystkie sprawy

związane z buncem i kończyła już swoją działalność.



*Areszt w Grójcu  
z czasów zaborów<sup>134</sup>*

Później wrócę jeszcze do opisu sytuacji i warunków życia w tamtym Kraju, teraz natomiast przejdę do spraw rodzinnych.

<sup>131</sup> Ludgard Czarnocki – do 1858 r. Właściciel Ceranowa; sędzia pokoju w Przesławicach (zm. w 1885).

<sup>132</sup> Mowa o dowódcy oddziału powstańczego „Dzieci Warszawy” Ludwiku Żychlińskim (1837-1891).

<sup>133</sup> Gen. Fiodor Lwowicz Tuchółka (1807-873).

<sup>134</sup> Fot. Andrzej Zygmunt Rola-Stężycki. Zob. Idem, *Rezydencje...*



20 grudnia urodziła nam się córka. Daliśmy jej na imię Sofia.

### *Sofia de Lazari*

Ojcem chrzestnym był nasz przyjaciel W. A. Tomilin<sup>135</sup>, naczelnik powiatu górnokalwaryjskiego, a matką chrzestną – zaocznie – siostra żony Sonia. Zamiast niej dziecko trzymała Sasza, nasza pokojówka i niańka Kosti. Ponieważ żona nie mogła sama karmić córki, wynajęliśmy mamkę, Polkę, chłopkę Antoninę. Była to zdrowa, młoda i sympatyczna z wyglądu kobieta. Mamką była nadzwyczajną. Opiekowała się Sonią, wychowywała ją i przyuczała

do wszystkiego po swojemu. Zwykle, aby Sanię umyć, rozbierała ją do naga i podstawiała pod kran z zimną wodą. Ta metoda miała dobry wpływ na cały organizm Soni.

## [Rok 1873]

Nastał nowy 1873 rok. Latem 1872 bardzo zasmuciła nas wiadomość o nieoczekiwanej chorobie psychicznej i śmierci brata żony, pułkownika Aleksandra Engelgardta, który zarządzał całym rodzinnym kapitałem. Duża część tego kapitału przepadła z powodu dokonanego przez niego zakupu akcji Towarzystwa Gazowego. Po śmierci Aleksandra okazało się, że Titowa, jego konkubina, [96] przedstawiła do egzekucji lipne weksle na sumę 201 tys. rubli i tylko dzięki interwencji burmistrza Triepowa<sup>136</sup> weksle zosta-

<sup>135</sup> Walerian Aleksandrowicz Tomilin – nieco później, w latach 80. XIX wieku, był naczelnikiem Powiatu Jędrzejewskiego.

<sup>136</sup> Fiodor Fiodorowicz Triepow (1812-1889) – w latach 1873-1878 był burmistrzem St.-Petersburga.

ły zniszczone. Aleksander był chory prawie rok i 3 czerwca 1873 roku zmarł, pozostawiając wszystkie sprawy w zabagnionym stanie.

Ponieważ mieliśmy z żoną zobowiązania wobec jej matki na sumę 2,5 tys. rubli, które otrzymaliśmy tytułem przyszłego podziału majątku, a do tego rodzina się nam powiększyła a warunki materialne pogorszyły, zwróciłem się do naczelnika Okręgu, barona Fredericksa, z prośbą o pożyczkę w wysokości 2000 rubli, jednak Fredericks zamiast spełnić moją prośbę zwymyślał mnie, że śmiałem z taką sprawą zwrócić się do niego. Oczywiście uniosłem się honorem i zmuszony byłem wyjść z trudnego położenia zaciągając prywatne pożyczki.

To był początek ciężaru, który się na mnie zwał i ani w dzień, ani w nocy nie daje moralnego i fizycznego spokoju. Z czasem przez barbarzyńskie procenty długi rosły a ja byłem zmuszony je spłacać. Nie daj Boże, aby któreś z moich dzieci kiedykolwiek miało doświadczyć takiego zatrującego życie obciążenia. Tylko miłość do żony i do dzieci podtrzymuje mnie przy życiu i zmusza do walki z sytuacją, w jakiej się znalazłem, by dzieci nie zarzuciły mi, że nie troszczyłem się o nie. Inaczej dawno skończyłbym z życiem, bo tylko śmierć może zdjąć ze mnie ten moralny ciężar.

[97] Częste wyjazdy służbowe do Góry Kalwarii zbliżyły mnie z naczelnikiem powiatu Tomilinem i jego rodziną. U niego poznałem pułkownika Sokołowa i porucznika saperów N. P. Małychina. Obaj ożenili się z siostrami Tomilinej (z domu Bożerianowej). Brat tych sióstr, P. M. Bożerianow<sup>137</sup>, był w tym czasie komisarzem do spraw włościańskich w Suwałkach. Staliśmy się sobie na tyle bliscy, że Tomilinowie często odwiedzali nas, a my ich. W Górze Kalwarii kwaterowały dwa bataliony saperów. Oficerowie tych batalionów całe dni spędzali u rodziny Tomilinów. Była to najlepiej wykształcona i wychowana młodzież. Tomilin miał ogromny wpływ na nią, co było powodem niezadowolenia Klugena, dowódcy 2 batalionu. U Postielnikowa zaś, dowódcy 1. batalionu, Tomilinowie cieszyli się sympatią. Ta okoliczność zrodziła masę nieporozumień i plotek, co w małym miasteczku, jakim była Góra Kalwaria, nikogo nie dziwiło.

W Grójcu natomiast kwaterował 1 Batalion Strzelców, którym dowodził pułkownik Odincow. Ożeniony był z kupcową i byli to ludzie bardzo skąpi. Odincow dowódcą był srogim, tak dla oficerów, jak i dla żołnierzy. W anonimowych listach wciąż straszono go śmiercią. Opowiem o tym później.

<sup>137</sup> Paweł Michajłowicz Bożerianow.





*Koszary  
w Grójcu<sup>138</sup>*

Oficerowie strzelców i saperów byli mi przychylni i zawsze odnosili się do mnie [98] z szacunkiem i uwagą. Pewnego razu saperzy po-

stanowili zorganizować piknik razem z batalionem strzelców. Postielnikow, dowódca 1. batalionu saperów, zawiadomił mnie o tym listownie. Poprosił, abym zaproponował strzelcom urzeczywistnienie jego pomysłu. Na miejsce pikniku wskazał majątek Bluma<sup>139</sup> w Chynowie, który znajdował się w połowie drogi pomiędzy Grójcem i Górą Kalwarią (odległość od Grójca do Góry Kalwarii wynosi 30 wiorst). Majątek ten był kiedyś bardzo bogaty, z dużym ziemiańskim dworem, jednak później przez zatargi z miejscową administracją podupadł i Blum znalazł się w sytuacji nędzarza, o czym opowiem później.

Ponieważ w towarzystwie oficerów byłem postrzegany jako człowiek neutralny, obie strony wybrały mnie na gospodarza pikniku. Miał się on rozpocząć 15 maja o dwunastej w południe. Prócz składkowych pieniędzy miałem do dyspozycji służbę od saperów i od strzelców. Na piknik zaproszeni byli także ziemianie z rodzinami, z którymi oficerowie byli zaprzyjaźnieni, oraz wiele osób z powiatu górnokalwaryjskiego. Uzyskawszy zgodę Bluma na zorganizowanie imprezy w zagajniku przy jego domu, dwa dni wcześniej zebrałem służbę i kucharzy, i z zaopatrzeniem wyruszyliśmy do Chynowa, gdzie zajęliśmy się przygotowaniami. 15 maja od jedenastej zaczęli się zjeżdżać zaproszeni goście. Witalem ich przy wtórze dwóch orkiestr, a powozom wskazywałem miejsce w sąsiednim lesie.

[99] Na przyjazd uczestników w zagajniku nakryto stoły i o 1-ej po południu podano śniadanie z zakąskami, wódką, winem i stojącymi nieopodal

<sup>138</sup> Fot. Andrzej Zygmunt Rola-Stężycki. Zob. Idem, *Rezydencje...*

<sup>139</sup> Maurycy Blum – m. in. współwłaściciel cukrowni warszawskiej.

beczkami piwa. Podczas śniadania atmosfera była przyjacielska i wesoła. Nie omieszkało wypić za moje zdrowie.

Po śniadaniu wszystkie damy i tańczącą młodzież zaproszono do dużej sali, gdzie grała jedna z orkiestr. Druga przygrywała w zagajniku dla nietańczących i tych, którzy zostali przy stołach. Otwierając tańce walcem z panią Klugen (Postielnikow nie miał żony), wziąłem na siebie obowiązki wodzireja. Zabawa szła na całego, następował zmierzch. Znajdowałem się w sali tanecznej, gdy podszedł do mnie ktoś ze służby (nie pamiętam kto) i powiedział, że panowie oficerowie proszą, abym przyszedł do zagajnika. Niezwłocznie więc się tam udałem.

Gdy podszedłem do stołu, przy którym zebrało się wielu oficerów (saperów i strzelców), kapitan saperów P. zwrócił się do mnie w te oto słowa: „Panie kapitanie żandarmerii, czuję się w obowiązku oznajmić panu, że porucznik Z. jest łajdakiem”. Wówczas Z. (oficer saperów) zerwał się z miejsca, złapał butelkę i z rozmachem rzucił nią w P. Oficerowie schwycili obu, nie dopuszczając do dalszej bójki.

Nie spodziewając się takiego skandalu, zwróciłem się do P.: „Panie kapitanie, czuję się w obowiązku powiadomić pana, że nie występuję tutaj w roli oficera żandarmerii, lecz w roli gospodarza i niepotrzebnie wplątuje mnie pan w tę historię”.

[100] Zaraz potem zjawił się pułkownik Postielnikow i rozkazał kapitanowi P. opuścić piknik i udać się do aresztu. Przed odjazdem P. posłał jednego z oficerów do Z. z wyzwaniem na pojedynek. Następnego dnia pojedynek odbył się o szóstej rano za miastem. Z. został ranny w nogę i trafił do szpitala.

Dowiedziawszy się o pojedynku od żandarma, zabroniłem mu o tym rozpowiadać. Sam też milczałem. Pułkownik Postielnikow dowiedział się o zdarzeniu dopiero na trzeci dzień. Przyszedł do mnie i zapytał, co w tej sprawie wiem i czy gdzieś o niej doniosłem. Odpowiedziałem, ma się rozumieć, że nie doniosłem, i że postanowiłem nie wysyłać raportu do dowódcy brygady (Burmana<sup>140</sup>). Postielnikow zdecydował jednak, że sam napisze do niego list i poprosi o przeniesienie kapitana P. do innej brygady. Niedługo potem P. wyjechał do Rygi. Po pewnym czasie o pojedynku dowiedział się generał Fredericks i przysłał mi telegram z wezwaniem do Warszawy w celu złożenia wyjaśnień u naczelnika okręgu.

<sup>140</sup> Władimir Gieorgijewicz Burman (1832-1909) – generał-inżynier, od 1873 r. był dowódcą 1-ej (później 4-tej) Brygady Saperów, którą dowodził 20 lat; kwaterował w Warszawie przy ul. Nowy Świat 67.

Gdy przybyłem do Warszawy i zameldowałem się u barona Fredericksa, ten przyjął mnie z surową miną i zapytał: „Na jakiej podstawie nie doniósł pan o pojedynku pomiędzy dwoma oficerami saperów?”. Objąłem mu sytuację, w której się znajdowałem podczas całego zajścia, oraz że dałem słowo dowódcy batalionu, iż nie będę wynosił kłótni na zewnątrz. Dlatego jako oficer nie mogłem złamać tej obietnicy. Baron Fredericks, wysłuchawszy mnie, wyciągnął do mnie rękę i powiedział: „Tak, na pana miejscu zrobiłbym to samo. Dziękuję, że potrafił pan zyskać społeczny szacunek i że ludzie ufają panu”.

[101] Gdy później spotkałem się w Warszawie z generałem Burmanem, on także podziękował mi, że nie doniosłem o tym, co się stało, dzięki czemu można było rozwiązać sprawę w sposób administracyjny, bez śledztwa i sądu nad oficerami.

Ponieważ nie leży w moim charakterze zabieganie o zasługi służbowe, wykazując się patriotyzmem kosztem niesprawiedliwego traktowania bliźnich, uparcie trzymałem się zasady, by nie przyczyniać się do popełniania błędów przez rząd i przełożonych. Taka postawa pozwoliła mi zyskać szacunek i zaufanie ludzi. Czas buntu minął, nastąpił czas puszczania w niepamięć niesnasków w Kraju (jak i wszystkiego w życiu), dlatego czynienie Polakom wyrzutów, że nie pozostawali obojętni wobec powstania nie miało sensu. Tym bardziej, że kto zna historię tego ruchu, ten zgodzi się ze mną, że nikt z Polaków nie mógł być pewny własnego życia. Masa ludzi, w pełni życzliwych naszemu rządowi, mimo chęci uniknięcia jakiegokolwiek zaangażowania, ze strachu przed śmiercią zmuszona była do świadczenia pomocy powstańcom. Wystarczy przypomnieć barbarzyńskie, wręcz bestialskie postępowanie sztyletników wobec swoich, wobec tych Polaków, którzy nie chcieli wesprzeć buntu.

[102] Wielu urzędników w różnych rejonach Kraju, korzystając ze stanowisk służbowych, stworzyło coś w rodzaju ostoji dla rządowych wymagań, na zewnątrz okazując gotowość nieustępliwego podporządkowania się programowi zapewnienia spokoju mieszkańcom. Jednocześnie bezkarnie łowili ryby w mętnej wodzie, bogacąc się materialnie, zapewniając dobrobyt sobie i swoim rodzinom. Czyniąc ze wszystkiego problem polityczny, doprowadzali ziemian do nędzy w dosłownym znaczeniu tego słowa. Prym na tym polu wiodli naczelnicy powiatów, a szczególnie komisarze do spraw włościańskich.

Polecono mi przeprowadzenie poufnego rozpatrzenia skargi ziemianina Bluma (właściciela majątku, w którym zorganizowaliśmy piknik) na górno-

kalwaryjskiego komisarza Sz. Sz., korzystając z pomocy dwóch bogatych Żydów, Taumana i Bliasa, doprowadził do takiego porozumienia pomiędzy Blumem a chłopami w sprawie serwitutów, że majątek Bluma popadł w ruinę. Roszczeń chłopów nie zaspokoił, a siebie wzbogacił. Podczas prowadzenia w Górze Kalwarii tego poufnego śledztwa przyszła do mnie ziemianka, wdowa Ryx<sup>141</sup> i ze łzami w oczach zaczęła skarżyć się na Sz. Wziął od niej 5000 rubli, obiecując załagodzić konflikt z chłopami, a zrobił [103] tak, że chłopci, jak nigdy dotąd, bezkarnie wyrabują jej las, pasą swoje stada na jej łąkach, doprowadzając majątek do ruiny. Szukała we mnie obrońcy i prosiła, abym odpowiedział jej, do kogo ma się zwrócić ze skargą. Ryx bardzo skompromitowała się podczas powstania (była aresztowana). Oczywiście wszystko to przedstawiłem w raporcie. W rezultacie Sz. utracił posadę. Przełożeni zasugerowali mu złożenie dymisji i Sz. odszedł ze stanowiska ze sporym kapitałem.

W powiecie błońskim komisarzem był M. Na jego działalność wpłynęła taka masa skarg ze strony ziemian i chłopów, że namiestnik polecił warszawskiemu wicegubernatorowi Daniłowowi<sup>142</sup> przeprowadzenie dochodzenia w tej sprawie. Mnie wyznaczył na pomocnika. Daniłow (już nie żyje) był bardzo dobrym człowiekiem. M. mieszkał w tym czasie w Grodzisku, a zarząd powiatu znajdował się w Błoniach (8 wiorst od Grodziska). Umówiliśmy się z Daniłowem, że do Grodziska przyjedziemy w tym samym czasie – on koleją z Warszawy, a ja końmi z Grójca. Daniłow czekał na mnie na stacji kolejowej. Wraz z nim był M., uprzedzony o naszym przyjeździe. M. zaprosił nas do siebie na obiad. Daniłow początkowo się zgodził, jednak gdy ja odmówiłem, zjedliśmy obiad na stacji.

[104] Wszyscy petenci, którzy złożyli skargi u namiestnika, zostali zawczasu wezwani przez nas do Grodziska. Badając ich zażalenia, ujawniliśmy masę nadużyć i M. powinien był trafić pod sąd. Wraz z nim powinni byli być sądzeni również inni komisarze do spraw włościańskich, a przede wszystkim ich przełożony D. za nierozpatrzenie skarg na M. Gdy zakończyliśmy dochodzenie i przedstawiliśmy jego wyniki M., on ze łzami w oczach zaczął nas prosić, abyśmy go oszczędzili. Daniłow obiecał, że zrobimy, co będzie można, a gdy zostaliśmy we dwoje, pomyślawszy chwilę, zwrócił się do mnie (jąkał się): „No cóż, Nik...kołaju Nik...koł...laewiczu! Co z z...nim rob...bić?”. Na to ja: „Nie wiem, Konstanty Dmitrijewiczu. Co pan proponuje?”. Zmieszany, jeszcze bardziej się jąkając, stwierdził, że spraw już

<sup>141</sup> Józefa Pelagia Ryx (1809-1884) – właścicielka posiadłości Prażmów.

<sup>142</sup> Konstantin Dmitrijewicz Daniłow – wicegubernator Warszawy w latach 1869-1876.



się nie odwróci, że razem z M., jeśli postawi się go przed sądem, będą musieli odpowiedzieć również inni, a ucierpią na tym przede wszystkim małoletnie dzieci. Dlatego najlepiej orzec, że w pracy M. wykryto masę służbowych zaniedbań, dostrzeżono pełną jego nieporadność. Dlatego konieczne jest zdymisjonowanie M. i przekazanie jego obowiązków innemu komisarzowi do czasu mianowania nowego. Zgodziłem się z takim orzeczeniem. Daniłow przedstawił raport namiestnikowi o naszym dochodzeniu i M. został zdymisjonowany.

## [Kapitan Krupski]

[105] Naczelnikiem grójeckiego powiatu był kapitan Krupski<sup>143</sup>. Ukończył studia prawnicze, jednak stojąc na czele administracji powiatowej po-



zwalał sobie na nadużywanie władzy oraz lekceważył częste upomnienia i ostrzeżenia ze strony gubernatora, barona Medema<sup>144</sup>.

*Konstanty Krupski i znak ukończenia  
Aleksandryjskiej Akademii  
Wojskowo-Prawniczej*



Czynił bezeceństwa, nakładając na ziemian i księży grzywny, z których połowę chował do własnej kieszeni. Pomagał mu w tych niegodziwościach jeden z urzędników policji (zapomniałem jego nazwiska). Przychodzili do mnie ziemianie, urzędnicy, chłopci i skarżyli się na te nadużycia. Pewnego razu z życzliwości wobec Krupskiego i jego rodziny, także go ostrzegłem (w obecności jego żony<sup>145</sup>) i poprosiłem, by zaprzestał takiej działalności, gdyż stawia mnie w niezręcznym położeniu wobec władz. O skargach na niego powinienem zawiadamiać naczelnika okręgu. Krupski, pokazując mi swój academic-

<sup>143</sup> Konstantin Ignatjewicz Krupski (1838-1883) – ojciec Nadieżdy Krupskiej, żony Lenina.

<sup>144</sup> Nikołaj Nikołajewicz von Medem (1834-99) – był gubernatorem Warszawy w latach 1866-1892.

<sup>145</sup> Jelizawietta Wasiljewna Fiszman (1843-1915).

ki znaczek, zareagował na to tak: „Czy widzi pan ten dowód mojej znajomości prawa? Proszę więc mnie nie pouczać i samemu postępować zgodnie z prawem, a jeśli pana działalność polega na donoszeniu o wszystkim, co zaszło, to niech pan donosi, a mnie nie poucza”. Jego żona, widząc, że się zapomniał, próbowała ratować sytuację: „Kostia! Wydaje mi się, że N. N. należą się podziękowania za jego życzliwość, a nie nastawianie go przeciwko sobie!”. Na to on: „Milcz głupia! Co ty wiesz!”.

Po tym mogłem już tylko wyjść, co zresztą zrobiłem.

[106] W tamtym czasie Krupski planował nowe szachrajstwo i tylko czekałem, aż przystąpi do wyciągania pieniędzy od mieszkańców (przypomniałem sobie nazwisko tego urzędnika policji – to był Rodziński, kanciarz jakich mało). Krupski rozesłał okólne pismo do wszystkich wójtów i burmistrzów z nakazem, zobowiązującym wszystkich ziemian, najemnych pracowników rolnych i służbę do zaprowadzenia specjalnych książeczek, w których należało wpisywać okres i warunki najmu. Nikt jakoby nie miał prawa najać się ani nikogo najmować bez tej książeczki. Jej cena wynosiła 20 kopiejek i można było ją nabyć na posterunku policji u Rodzińskiego. Wójtów i burmistrzów zobowiązano do dostarczenia do urzędu powiatu zamówień z określeniem ilości egzemplarzy, a następnie do wręczenia tych książeczek obu stronom – najemcom i najmowanym. Uprzedzono, że jeśli zostanie wykryte, iż ktoś pracuje bez stosownego wpisu, na obie strony będzie nałożona grzywna. Ponieważ wszyscy ziemianie i mieszcianie, a nawet chłopci zatrudniali służbę i innych pracowników najemnych, wprowadzenie obowiązku posiadania tych książeczek przez obie strony spowodowało, że do urzędu powiatowego zaczęła napływać masa zamówień na nie, a w ślad za tym sy- pały się pieniądze.

Przyjmowali je Krupski z Rodzińskim [107] nigdzie ich nie księgując. W powiecie zaczęło się straszne narzekanie. Z różnych stron zaczęły wpływać do mnie zażalenia na to rozporządzenie. Urzędnicy byli oburzeni działalnością Krupskiego. Posłałem więc żandarma do najbliższej gminy, aby przyniósł mi oryginał okólnika. Gdy dostarczono mi dokument, przygotowałem raport do dowódcy okręgu. Przedstawiając swój pogląd na tego rodzaju rozporządzenie stwierdziłem, że wątpliwe jest, by rząd kiedykolwiek zadecydował o nałożeniu na ludność podobnego podatku. Poprosiłem o wydanie polecenia przeprowadzenia śledztwa w sprawie wszystkich nadużyć Krupskiego. Aby ten nie miał powodu do zarzucenia mi stronniczości, zasugerowałem wyłączenie mnie z dochodzenia i oddelegowanie do tej sprawy innego oficera żandarmerii.

Jadał u nas obiady zastępca naczelnika powiatu Michin, kawaler, bardzo uczciwy chłopak, którego także oburzały postęпки Krupskiego. Poprosiłem go, by uprzedził Krupskiego, że jadę z raportem o jego nadużyciach do naczelnika okręgu, wziąłem okólnik i wyruszyłem do Warszawy.

Zameldowałem się w Warszawie u barona Fredericksa, przedstawiłem mu cel swojego przyjazdu i wręczyłem raport. Przeczytał go z uwagą, a następnie, oddawszy mi okólnik, rozkazał udać się do gubernatora, barona Medema, zapoznać go ze prawą, a potem wrócić i zameldować, co Medem o tym sądzi. Niezwłocznie się tam udałem. Poprosiłem dyżurnego urzędnika, aby zameldował, że przybyłem z polecenia [108] naczelnika okręgu i zaraz zostałem przyjęty.

Gdy Medem przeczytał okólnik, zapytał: „Proszę powiedzieć, czy Krupski postradał zmysły?”. „Pewnie tak!” – ja na to. Baron zdecydował, że zaraz uda się w tej sprawie do Fredericksa. Gdy chciałem odejść, poprosił, abym poczekał i razem poszliśmy do naczelnika okręgu. Fredericks zaprosił Medema do gabinetu, ja zostałem w poczekalni. Po pewnym czasie wyszli obaj i Fredericks oznajmił, że będzie przeprowadzone na tę okoliczność śledztwo. Mimo że proszę o wyłączenie mnie z niego, on nie może na to przystać i życzy sobie, abym wziął udział w ujawnieniu wszystkich nadużyć Krupskiego. Z Warszawy miałem wyjechać wraz z odkomenderowanym do przeprowadzenia dochodzenia urzędnikiem. Medem wyznaczył do tego zadania Iwana Litkego<sup>146</sup>.

Następnego dnia wyjechaliśmy do Grójca. Po drodze zajechaliśmy do majątku Trzylatków, do ziemianina Wilkońskiego. Specjalnie skierowałem tam Litkego, gdyż Wilkoński przyjaźnił się z Krupskim. Chciałem, żeby Krupski nie mógł powiedzieć, że działamy nieobiektywnie i przesłuchujemy ludzi mu nieprzychylnych. Przybyliśmy do Trzylatkowa o dziewiątej wieczorem, gdy staruszek Wilkoński szykował się do snu.

Przedstawiłem mu Litkego i wyjaśniłem cel naszej wizyty. Wilkoński pokazał nam około 200 książeczek, w które wójt zaopatrzył jego i pracujących tam chłopów, a następnie zaczął wyjaśniać, na czym polegają nadużycia Krupskiego. Litke wszystko zapisał do protokołu i nocą wyjechaliśmy do Grójca. By nie było dwuznaczności, nie zaprosiłem go na nocleg do siebie do domu. Na drugi dzień o czwartej po południu przyszedliśmy do urzędu powiatu, odebraliśmy całą gotówkę przechowywaną u Rodzińskiego [109] za sprzedane książeczki i zarządziliśmy zwrot pieniędzy wszystkim, którzy je nabyli.

<sup>146</sup> Iwan Mitrofowicz Litke – kierownik kancelarii gubernatora warszawskiego.

Gdy Litke pokazał Krupskiemu nakaz przeprowadzenia śledztwa w sprawie jego działalności, ten zaprotestował i poprosił o wykluczenie mnie z dochodzenia. Wysłałem w tej sprawie telegram do barona Fredericksa i otrzymałem odpowiedź, że na moje miejsce ma być odkomenderowany major Ostrowierchow. Bardzo się z tego ucieszyłem. W wyniku przeprowadzonego śledztwa Krupski został zdymisjonowany, a jego obowiązki przejął Michin. Krupski próbował do tego nie dopuścić. Ostatecznie sprawę rozwiązano rozporządzeniem namiestnika. Wszystkie nadużycia zostały ujawnione i Krupski stanął przed sądem wraz z Rodzińskim.

## [Inne sprawy podczas służby w Grójcu]

Wyżej wspomniałem o stosunku Odincowa, dowódcy batalionu strzelców, do oficerów i innych podwładnych. Odincow był okrutny wobec żołnierzy niższej szarży i za drobne wykroczenia, za które można byłoby ukarać np. dodatkowym dyżurem, bezlitośnie zamykał ich w areszcie o chlebie i wodzie. Dlatego areszt zawsze był przepełniony, a oficerowie i żołnierze niższej szarży przy lada okazji dawali do zrozumienia, co myślą o swoim dowódcy.

Mieszkanie Odincowa znajdowało się w budynku koszar na piętrze. Pod nim mieścił się szpital batalionu. Od pewnego czasu służba Odincowa – ordynans Iwan i praczka – znajdowali na podwórku [110] jakieś listy i notatki. Ponieważ byli niepiśmienni, przynosili je Odincowowi. Były adresowane do niego i zawierały pogróżki, że zostanie zabity, jeżeli nie zmieni swego postępowania wobec niższej szarży. Początkowo Odincow nie ujawniał tych listów, jednak, pewnie ze strachu, wystawił przed swoim mieszkaniem wzmocnioną wartę. Można było odnieść wrażenie, że listy nastraszyły dowódcę. Pojawiły się więc kolejne, w których uprzedzano go, że żadna warta przed śmiercią go nie ochroni.

Ta okoliczność spowodowała, że Odincow zawiadomił mnie o listach i pokazał je generałowi Eggerowi<sup>147</sup>, dowódcy brygady (bardzo źle mówiącemu po rosyjsku, co było przyczyną kpin ze strony oficerów; jeden z epizodów opowiem później), który poinformował o nich namiestnika. Z rozkazu tegoż namiestnika odkomenderowano do Grójca generała-majora Morgensterna do przeprowadzenia, przy moim udziale, formalnego śledztwa w tej sprawie. Po przyjeździe do Grójca generał zgłosił się do mnie z prośbą, bym pomógł mu

<sup>147</sup> Artur Fiodorowicz Egger (1811-1877).



odnaleźć autorów listów. Oczywiście nie miałem pojęcia, kto mógł je napisać. Udaliśmy się więc do Odincowa.

[111] Podczas przesłuchania Odincow wskazał jako najbardziej podejrzanego swojego ordynansa Iwana, którego kilkakrotnie wtrącał do aresztu. Wymienił też kilku żołnierzy, których widział kontaktujących się z Iwanem. Na rozkaz Morgensterna wszystkich wskazanych zamknięto w oddzielnych karcerach. Następnego dnia generał zaprosił mnie do siebie i rozpoczęliśmy śledztwo. Oczywiście niczego nie udało się wykryć. Generał był oburzony. Wobec wzywanych na przesłuchanie żołnierzy zachowywał się tak skandalicznie, iż zmuszony byłem zwrócić mu uwagę, że nie wolno dopuszczać się bezprawnych działań. Poprosiłem go, by zaprzestał niedopuszczalnych form śledztwa, albo zwolnił mnie z uczestniczenia w nim, o czym miałem zamiar zawiadomić przełożonych. Jego metody zmuszania żołnierzy do przyznania się do zarzucanego im przestępstwa polegały na tym, że każdego wprowadzonego od razu straszył, że będzie rozstrzelany, jeżeli nie powie prawdy. Gdy żołnierz odpowiadał: „nie wiem, wasza wielmożność”, generał brał go za nos albo za ucho i zaczynał kręcić nim we wszystkie strony. Innych po prostu bił, a niekiedy do tego stopnia zapominał się, że rozkazywał żołnierzowi [112] otworzyć usta i wkładał mu do gardła swoją rozpaloną fajkę (Morgenstern zawsze palił fajkę z długim cybuchem).

Te inkwizytorskie metody oburzyły mnie do tego stopnia, że po drugim czy trzecim przesłuchaniu, wybrawszy moment, gdy zostaliśmy sami, głośno zaprotestowałem. Morgenstern zareagował na to pytaniem: „Może życzy pan sobie samemu przesłuchiwać?”. Odpowiedziałem, że moje uprawnienia ograniczają się wyłącznie do osobistej obecności podczas przesłuchań, ale nie mogę być obojętnym widzem torturowania przesłuchiowanych. Możliwe, że gdyby zostały zastosowane inne metody, dałoby się coś wyjaśnić, jednak Morgenstern nie potrafił inaczej rozmawiać z młodszymi szarzą. Chociaż po moim proteście zaprzestał brutalnych szaleństw, dochodzenie nic nie wyjaśniło. W kręgu podejrzanych pozostał jedynie ordynans Odincowa. Z rozkazu sądu wojkowego przy Cytadeli Warszawskiej zamknięto go w więzieniu.

Jeśli chodzi o Odincowa, to śledztwo wykazało, że w rzeczy samej był zgryźliwym i okrutnym dowódcą. Otrzymał od przełożonych ostrzeżenie, które odniosło należyty skutek – zmienił swój stosunek do podwładnych niższych stopniem.

Adiutantem w tym batalionie był porucznik Szawrow, bardzo zabawny i dowcipny młodzieniec. Po przeglądzie, przeprowadzonym przez dowódcę brygady, oficerowie zaprosili generała Eggera na obiad do kantyny. Zaprosili

również mnie. Było wesoło. Po toaście za zdrowie generała ten wstał i wygłosił [113] swoją mowę. Mówił bardzo długo łamanym językiem rosyjskim. Był Niemcem i wzbudzał powszechny z trudem powstrzymywany śmiech. Zakończył swoją mowę tak: „Bardzo lubię ruski żołnierz, bardzo lubię żołnierski koszar, dlatego będę wypijać za ruski żołnierski duch. Hura!”. Wszyscy krzyknęli „Hura!”, a Szawrow podszedł do dowódcy batalionu i oficjalnie zapytał: „Czy rozkaże pan, panie pułkowniku, by ordynans zamknął wszystkie drzwi i okna w koszarach, żeby nie uleciał ulubiony przez generała duch?”. Odincow się roześmiał. Egger zapytał go, z jakiego powodu się śmieje, a wtedy Odincow głośno powtórzył mu słowa Szawrowa. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Śmiano się i z dowcipu, i z faktu, że Egger zupełnie nie rozumiał w czym rzecz.

W Grójcu mieszkała polska rodzina Makowskich<sup>148</sup>. Dwie wiorsty za miastem mieli stację pocztową, a w mieście duży dom. Ponieważ mieli też trzy dorosłe córki, oficerowie często u nich bywali. W rezultacie wszystkie powychodziły za mąż za oficerów.

Lekarzem batalionowym był O. O. Goldstejn<sup>149</sup>. Wszyscy członkowie jego sporej rodziny byli z nami zaprzyjaźnieni, a szczególnie sam Goldstejn, który codziennie mnie odwiedzał, bo lubił pograć w karty. W tamtych czasach popularne były preferans i wist, a na lekarza batalionowego zawsze można było liczyć.

[114] Komisarzem był natomiast M. I. Dobrodziejew<sup>150</sup>. Przychodził do nas na obiady, w czasie których lubił sobie wypić. Niechętnie grał w karty z Goldstejnem, wciąż się z nim sprzeczał i wyśmiewał go. Zwykle graliśmy w czwórkę: Dobrodziejew, Zaporoszczenko, Goldstejn i ja. Pewnego razu Dobrodziejew zaprosił nas do siebie na partyjkę. Był już nieźle wstawiony. Gdy usiedliśmy do gry, okazało się, że ja mam grać z Zaporoszczenką, a lekarz z Dobrodziejewem. Jak zwykle posprzeczaali się. Dobrodziejew wstał od

<sup>148</sup> Leonard Makowski – prowadził stację pocztową w Grójcu, dzierżył także folwark Janówek położony 2 w km na wschód od Grojca (informacja od Andrzeja Roli-Stężyckiego).

<sup>149</sup> Józef [Osip Osipowicz] Goldstejn – „Lekarz narodowości żydowskiej, żonaty: Kamilia z d. Połomska, pianistka. Tytuł zawodowy: dr Lekarz wojskowy, Grójec [1873]. W 1893 przebywał na emeryturze (był wówczas wykazywany w Radomiu, jako były lekarz wojskowy, radca kolegiálny), prowadząc aż do śmierci praktykę prywatną. Zmarł w 1906 roku”. Zob. R. Wiraszka, *Noty biograficzne lekarzy radomskich E-J*, <http://www.muzeum-radom.pl/indexm.php?nid=1089&r=33>. Zob. też <http://www.sejm-wielki.pl/b/ut.52.1.34>

<sup>150</sup> Michaił Iwanowicz Dobrodziejew – komisarz do spraw włościańskich.

stołu, poszedł do sypialni i wrócił z załadowanym rewolwerem. Położył go naprzeciwko Goldsteyna i oznajmił: „Jeżeli będzie się pan sprzeczał, strzelę panu prosto w łeb!”. Goldstejn przestraszył się, nie mógł spokojnie usiedzieć naprzeciwko leżącego na stole rewolweru i nie chciał wziąć kart do ręki, dopóki Dobrodziejew nie schowa broni. Dobrodziejew wziął rewolwer, odwiódł kurek i mówi do lekarza: „Niech pan trzyma palec pod lewym okiem, a udowodnię panu, jak celnie strzelam”. Gdy zaczął celować, Goldstejn jął prosić o zaprzestanie podobnych żartów. Dobrodziejew skierował lufę do góry i wystrzelił. Goldstejn momentalnie znalazł się pod stołem. Przestraszyliśmy się i my. Rzuciliśmy się podnosić Goldsteyna, Dobrodziejew zaś w śmiech. Lekarz był cały, kula tkwiła w suficie. Oczywiście i nas śmiech ogarnął, jednak Goldstejn był już tak wystraszony, że nie mógł grać i poszedł do domu.

Wesoło mieszkano się w Grójcu. Często organizowano tam wieczorki taneczne, amatorskie spektakle (polskie) i społeczeństwo żyło [115] zgodnie. Zwykle w czwartki odbywały się jarmarki. Zjeżdżała się wtedy masa ziemian, którzy, załatwiwszy swoje sprawy w mieście, zbierali się u mnie albo u architekta Radwana<sup>151</sup>. Spędzaliśmy czas do drugiej albo trzeciej w nocy, grając w preferansa. Ziemianie niejednokrotnie zapraszali mnie także do siebie. Często spotykałem u nich Sosnowskiego (ziemianina z Michrowa), bardzo sympatycznego, mądrego i wesołego człowieka. Pewnego razu przyjechał do mnie z prośbą, abym nie przeszkadzał mu w wyjeździe za granicę do umierającej, chorej żony. Powiedziałem, że ze względu na jego nieprawomyślną przeszłość polityczną (w jego domu został ujęty przywódca bandy Żychliński, którego później powieszono<sup>152</sup>) sam zezwolenia wydać mu nie mogę, ale wystąpię o zgodę na jego wyjazd do moich przełożonych. Moje starania uwzględniono i Sosnowski wyjechał. Za granicą był trzy miesiące i wrócił z żoną i z córką. Był mi tak wdzięczny, że zaczął chwalić mnie w całym powiecie. Gdy bliżej się poznaliśmy, Sosnowski nie ukrywał swego uczestnictwa w powstaniu i mówił, że buntem Polacy udowodnili rządowi, jak bardzo są głupi.

Jako dobry komik zwykle bardzo poważnie opowiadał anegdoty. Słuchacze trzymali się za brzuchy, a jego twarz była niewzruszona. Podczas jednego z towarzyskich obiadów zwrócił się do mnie po polsku z pytaniem: „Panie naczelniku, co jest lepsze – gdy żandarm odprowadza księdza, czy gdy ksiądz odprowadza żandarma?”. Nie zrozumiałem gry słów i miałem kłopo-

ty z odpowiedzią. Sosnowski, widząc [116] moje niezdecydowanie, mówi: „Oczywiście lepiej, gdy żandarm odprowadza księdza, dlatego że wszystko jedno dokąd go odprowadza, choćby i na Sybir, ten ma szansę powrotu. Gdy natomiast ksiądz odprowadza żandarma, to ten już nigdy nie wróci, bo ksiądz odprowadza tylko do grobu”.

Na obiedzie obecni byli dwaj księża i wszyscy śmiali się do rozpuku. Innym razem Sosnowski, też na poważnie, poprosił mnie o zgodę na zwrócenie się do rządu z podaniem o nagrodę w wysokości 6 tysięcy rubli. Na moje pytanie – „Za co?” – odpowiedział, że to przecież u niego aresztowano Żychlińskiego, za co musiał zapłacić 3 tys. rubli kontrybucji, a gdyby nie stało się to u niego, Żychliński mógłby być wolny. Należy więc zwrócić mu 3 tys. i drugie tyle dać w nagrodę.

## [Rodzina Engelgardtów]

W sierpniu udaliśmy się całą rodziną oraz z wdową Zieleńską do Petersburga, aby pocieszyć matkę staruszkę po utracie ukochanego syna Aleksandra. Kola, najmłodszy brat żony, dosłużył się już stopnia oficera, a ponieważ był bardzo rozgarniętym i przyzwoitym młodzieńcem, zastępował w sprawach rodzinnych zmarłego brata. Pomagał matce we wszystkich sprawach.

Arkadij dowodził 8. Batalionem Strzelców w Częstochowie, a Konstanty był adiutantem. Arkadij miał żonę, jakąś laleczkę, która zdecydowanie nie czuła sympatii do krewnych swojego męża. Starła się unikać kontaktów z nimi i jeśli odwiedzała ich matkę, robiła to wyłącznie z obowiązku [117] wobec męża. Arkadij wyróżniał się brakiem taktu i nie był lubiany przez podkomendnych mu oficerów, Kostia zaś nie był specjalnie bystry. Gdy się ożenił, żona kierowała jego życiem. Matka była bardzo nieufna i skąpa, chociaż wobec nas, a szczególnie wobec mojej żony, okazywała wielką troskliwość. Kochała Saszę bardziej niż inne dzieci. Miała trudny charakter i życie z nią było niełatwe. Należało być wyrozumiałym z szacunku dla jej wieku oraz dlatego, że była ogniwem łączącym uczucia rodzinne wszystkich braci i sióstr. Dopóki żyła, między członkami rodziny panowała zgoda. Brat Nikołaj, przysły gwardyjski oficer w batalionie saperów, potrafił, mieszkając z matką, w jakiś sposób podtrzymywać dobre stosunki pomiędzy nią i jej dziećmi. Nawet, gdy się ożenił, jego stosunek do krewnych się nie zmienił. Niedługo niestety cieszył się życiem, które tak wspaniale i szczęśliwie rozpoczął. Bóg zabrał go do siebie. Kola zmarł na tyfus w San Stefano

<sup>151</sup> Julian Antoni Radwan (?-1906) – inżynier i powiatowy architekt w Grójcu.

<sup>152</sup> Ludwik Żychliński (1837-1901) nie został powieszony. Po powstaniu zesłano go na Syberię. Do kraju powrócił w 1868 roku.



podczas wojny z Turcją. Pozostawił młodą wdowę, która szybko znalazła pocieszyciela – wyszła za mąż za Ignatjewa.

Choć trudno było z matką dojść do ładu, nigdy bym nie przypuścił, że po jej śmierci wszyscy krewni odwrócą się od siebie. Pisząc te słowa muszę szczerze przyznać, że wraz ze śmiercią matki [118] historią stało się wszystko to, co dobre we wzajemnych stosunkach tej rodziny. Okruchy majątku, które staruszka zostawiła, a które zbierała, niejednego odmawiając sobie w imię pomyślności swoich dzieci, stały się kością niezgody między krewnymi. Podział rodowej posiadłości Flusowo<sup>153</sup> wygląda jak w bajce Kryłowa „Łabędź, szczupak i rak”. Przy naszej trudnej sytuacji materialnej lepiej byłoby, gdyby ten spadek w ogóle nie istniał. Na jego część liczyła moja żona. Miała nadzieję, że chociaż trochę poprawi nasze finanse i pomoże dzieciom. Teraz stan podziału jest tak zaplątany przez fantazje i upór Arkadija, że spadek jest gołębiem na dachu, a Arkadij psem ogrodnika. Wszyscy krewni są bractwem nędzarzy, oprócz Arkadija. Każdemu potrzebny jest grosz, a przez działania Arkadija nikt go nie otrzymuje. Dziwne, bo on zawsze z miłością odnosił się do mojej żony i rodziny.

## [Znowu w Grójcu]

Po 28 dniach pobytu w Petersburgu, zostawiwszy żonę z dziećmi u babci, wróciłem do Grójca. Podczas nieobecności rodziny często objeżdżałem trzy powiaty i wszędzie przyjmowano mnie uprzejmie. Oficerowie żandarmerii odbywali podróże służbowe końmi właścicieli ziemskich, płacąc 2 kopiejki za konia i wiorstę. Ponieważ Królestwo Polskie jest gęsto zaludnione, dystans od jednej posiadłości do drugiej był nieduży, dlatego [119] trzeba było często zmieniać konie i bryczkę, co skutkowało wieloma znajomościami z miejscowymi ziemianami.

Droga podczas tych objazdów mimo wszystko zwykle była kosztowna, gdyż większość ziemian, chcąc mi się przysłużyć, kazała zaprzęgać do swoich powozów czwórkę koni. Krępując się płacić dziedzicowi za konie osobiście (nie przyjałby pieniędzy i przez to byłbym postawiony w niezręcznej sytuacji), należną sumę przysyłałem gminnemu wójtowi, by za pokwitowaniem przekazywał pieniądze na konto posiadłości. Dawałem tym do zrozumienia,

<sup>153</sup> Miejscowość Flusowo (powiat jelninski) wspomniana jest w książce *Списки населенных мест Смоленской губернии по сведениям 1859 г.* w 1868 r. Zob. <http://maps.litera-ru.ru/selo.php?id=70401>.

że korzystniejsza dla mnie byłaby para koni i zwykła bryczki niż czwórka z powozem, tym bardziej, że dla podtrzymania prestiżu trzeba było i woźnicy dać na piwo nie mniej niż 50 kopiejek, a odległość wynosiła niekiedy 10-15 wiorst. Byli i tacy ziemianie, którzy mimo zamożności, niechętnie dawali konie. Tymczasem za odmowę nakładana była na nich grzywna.

Pewnego razu, gdy jechałem z Grójca do Góry Kalwarii, zboczyłem jakieś 4 wiorsty do posiadłości Reznera (był pruskim poddanym), gdyż nie chciałem zajeżdżać po zmianę koni do tych samych ziemian. Podjechałem do domu zarządcy majątku i poprosiłem o parę koni z bryczką. Zarządca pobiegł do dziedzica, a gdy wrócił, powiedział, że pan nie zezwala na wydanie koni. Posłałem do wsi po sołtysa, a sam czekałem na podwórzu. W tym czasie wyszedł do mnie Rezner i, nie zapraszając mnie na pokoje, zaczął wyjaśniać, że nie da mi swoich koni, [120] gdyż nie jest zobowiązany do dawania ich każdemu przejeżdżającemu przez jego posiadłość. Przedstawiłem mu się i poradziłem, by się nie upierał i kazał zaprząć dla mnie bryczkę. Gdy nadszedł sołtys, rozkazałem mu zarządzić dla mnie konie, a sam poszedłem do wsi i zajrzałem do szkoły.

Po pewnym czasie do szkoły podjechała bryczka z sołtysem, który zaczął się uskarżać, że Rezner nie podporządkowuje się żadnemu rozporządzeniu. W obecności nauczyciela i dozorca szkoły zapisałem oświadczenie sołtysa, wsiadłem do bryczki i odjechałem. Po przejechaniu 4 wiorst wpadł mi do głowy pomysł, jak ukarać dziedzica i kazałem woźnicy zawrócić do posiadłości.

Po drodze zabrałem ze wsi sołtysa i zajechawszy na podwórzec Reznera kazałem sołtysowi zaprząć inną parę na zmianę. Powiedziałem, że zmienię marszrutę i jadę z powrotem do Grójca. Rezner wyszedł do mnie i już bardziej uprzejmym tonem zapytał, czego potrzebuję. Ja na to, że chcę mu udowodnić, iż ile razy bym wtedy nie przejeżdżał, on zawsze musi dać mi konie i poprosiłem o konie na podróż powrotną. Wtedy on oświadczył, że tymi samymi końmi mogę jechać, dokąd chcę. Grubiańsko się odwrócił i odszedł klnąc po polsku. Odjechałem 6 wiorst i zwolniłem zapasowe konie. Po powrocie o zachowaniu Reznera poinformowałem naczelnika powiatu. Rezner został ukarany 5 rublami grzywny. Od tej pory zrobił się życzliwy i usłużny, ale ja nigdy więcej do niego już nie zajechałem.

W październiku wróciła moja rodzinka. Dzięki Bogu wszyscy byli zdrowi, a mamka Soni najwyraźniej zżyła się z małą. Miała dobry charakter i kochała Sonię. [121] Razem z żoną i dziećmi przyjechała młoda dziewczyna w charakterze bony – Maria Julianowna – życzliwa i sympatyczna osoba.



W przyszłości stała się dla nas jak członek rodziny, a dzieci ją wprost uwielbiały.

*Maria (bona dzieci Nikołaja)*

Najbliższymi ludźmi w Grójcu byli dla nas Goldsteyn i Radwan (architekt). Często razem spędzaliśmy czas, gdyż ich dzieci były rówieśnikami naszych.

Dla Rosjan życie w Kraju, prócz niezgody z Polakami, miało jeszcze jedną niedogodność – nigdzie w okolicy (oprócz Warszawy) nie było rosyjskich cerkwi. Nasze dzieci wychowywane były religijnie nie wiedząc, co to takiego prawosławna świątynia, nie słysząc słów i nauk naszych duchownych. Jeśli nawet podczas wielkiego postu przyjeżdżał do mia-

sta jakiś duchowny, oddelegowany z Warszawy lub Radomia, by wypowiadać i udzielić komunii świętej ważnym osobom, do których przyłączali się wszyscy urzędnicy rosyjscy, żandarmi, strażnicy ziemscy, to odbywało się to na chybcika, w ciągu 2-3 dni. Ten krótki czas (z niedbałym podejściem samych duchownych do problemu) nie zaspokajał religijnych potrzeb ani prawosławnych dorosłych, ani dzieci, które ukończywszy 10, a nawet 15 lat nie miały najmniejszego pojęcia o naszej służbie Bogu. Jeżeli ten mankament był dotkliwie odczuwany przez wykształconą część społeczeństwa, to co dopiero mówić o ludziach prostych, dla których w ich religijności niezwykle ważna jest i sama cerkiew, i jej wszyscy święci, a także wewnątrz świątyni oraz odbywające się w niej nabożeństwo!

[122] Nie wielkość parafii jest istotna i nie to, ile kosztowałyby rząd budowa niewielkich cerkwi w miastach Królestwa Polskiego – istnienie prawosławnych świątyń jest nieodzowne tak dla religijnego i moralnego, jak i politycznego życia Rosjan w tym Kraju. Nie byłoby wówczas tak silnego wpływu kościoła katolickiego i jego nabożeństw na Rosjan, z którymi się spotykałem.

Niemale znaczenie dla mieszkańców Królestwa Polskiego ma różnica czasu obu kalendarzy. Jest to znowu bardziej uciążliwe w życiu codziennym dla Rosjan niż dla Polaków. Wszystko ma swój określony czas, a tu rzadko kiedy jest on wspólny dla obu narodów. Gdy Polacy świętują swój karnawał,

swoje coroczne święta, Rosjanie dopiero zaczynają przygotowywać się do nich. Ta różnica jest szczególnie odczuwalna podczas świąt Wielkiej Nocy. Gdy Polacy zakończyli już post i w kościołach odbywają się uroczyste nabożeństwa, Rosjanie poszczą, a gdy następuje nasze święto, jest ono zupełnie niezauważone ani w miastach, ani na wsi. To samo dotyczy produktów spożywczych – Polacy mają wszystko świeższe i lepsze, a my, Rosjanie, musimy zadawałać się resztkami – i na Boże Narodzenie, i na Wielkanoc.

Polacy są mistrzami w przygotowywaniu na święta obfitości wszelkich potraw. Szczególnie na Wielkanoc nakryte stoły uginają się od przeróżnych bab, jajek i mazurków (po 12-13 rodzajów) oraz kielbas, pieczystego itd. Wystarczy przyjść z życzeniami, a gospodyni domu stara się nakarmić i напоić cię, jak to się mówi – do oporu. Oczywiście zapewnia, [123] że wszystko jest dziełem jej rąk. Nie możesz się więc nadziwić i nachwalić jej kunsztu.

Chcąc odwzajemnić polską gościnność i wiedząc, że gdy staną nasze święta, wszyscy ziemianie przyjdą do nas z życzeniami, udałem się przed świętami do Warszawy i w cukierni Kocha nakupiłem różnych ciasteczek, bab i mazurków za 45 rubli, a w wędliniarni – faszzerowanego ptactwa, prosiąt, kielbas itd. Wszystko to przywiozłem do domu.

Pierwszego dnia świąt rozstawiliśmy stoły i rozłożyliśmy wszystko jak na wystawie. Uradowaliśmy się, że nasz stół okazał się nie gorszy od polskiego i z dumą oczekiwaliśmy z żoną gości.

Po zakończeniu nabożeństwa w kościele zaprosiłem księdza, by poświęcił jaja i paschę. Z miejscowych Rosjan tylko my zorganizowaliśmy wielkanocny stół, przyszła więc do nas masa ziemian, urzędników i oficerów z życzeniami. Podjęliśmy wraz z żoną wszystkich. Goście zachwycali się stołem, a Krzywoszewski<sup>154</sup> powiedział: „Pan, panie naczelniku, dziwi się, że u nas jest obfitość na stole i że nasze żony są takimi dobrymi gospodyniami, a to wszystko kto zrobił?”. Odpowiedziałem z uśmiechem, że oczywiście moja żona. On jednak podniósł jedno z pudełek z mazurkiem i zobaczył znak firmowy „Koch”, więc również z uśmiechem dodał: „Tak. Widocznie Koch jej pomaga”. I wszyscy się roześmiali.

Ponieważ nasi goście nie mieli w planach kolejnych wizyt i nie było innych Rosjan, którym można byłoby składać życzenia (naczelnik powiatu był w Warszawie, Odincow nie przyjmował), zatrzymałem gości u nas na cały dzień i prawie wszystko zostało zjedzone i wypite.

<sup>154</sup> Właściciel posiadłości Drwalew.



[124] Mieszkańcy Królestwa Polskiego mają w zwyczaju nazywanie każdego z przedstawicieli władzy „panem naczelnikiem”, dlatego naczelników jest tam masa. Nawet właściciel koni pocztowych to naczelnik.

Przedstawiciele korpusu żandarmów byli wspaniale reprezentowani, dzięki postawie i pozycji naczelnika okręgu, generała barona Fredericksa. Liczono się z nami. Wszystkie sprawy odnotowywane przez żandarmów były badane i kierowane na właściwą drogę. Dzięki zaufaniu, jakim darzyła mnie władza duchowna w Kraju, zastępująca arcybiskupa, bywało, że osobiście rozpatrywałem waśnie i intrygi księży. Gdy powstawały jakieś nieporozumienia między nauczycielami szkół podstawowych lub chłopami a administracją powiatową, gdy skarżono się na nauczycieli, naczelnicy Dyrekcji Szkolnej – Popow, Szczebalski<sup>155</sup>, Sidorski<sup>156</sup> – zawsze zwracali się do mnie z prośbą o wyjaśnienie przyczyn powstałych konfliktów i sprawdzenie działań nauczycieli, nie zważając na zasadę naszej nieingerencji w sprawy oświaty.

Nikt z mieszkańców Kraju bez naszej uprzedniej opinii nie miał prawa wyjechać za granicę, otrzymać pozwolenia na broń. Opiniowaliśmy pod względem politycznym i moralnym mianowania urzędników, księży, ich przeniesienia z jednego miejsca na drugie. Każda osoba wpisywana była do kontrolnej księgi z odpowiednimi, charakteryzującymi ją adnotacjami. [125] Niektórzy urzędnicy opisywani byli mniej więcej tak: „Łajdak, szachraj, oszust, łapówkarz”. Chociaż wymagano opinii tylko o Polakach, to wszystkie zauważone nieprawości rosyjskich urzędników nie pozostawały bezkarne. Zawsze podejmowano kroki w celu naprawienia wszystkiego, co było niepoprawne i nienormalne w ich życiu służbowym i cywilnym. Taka pozycja i znaczenie członków Korpusu Żandarmów sprawiały, że ludzie zdrowo myślący, uczciwi i sensownie patrzący na życie szanowali nas, byli nam wdzięczni i mieli do nas zaufanie, widząc w nas obrońców przed wszelką niesprawiedliwością.

Natomiast ludzie nierzetelni, nieuczciwi i nadużywający swojego stanowiska odnosili się do nas bardzo nieżyczliwie. Traktowali nas jako swoich jawnych wrogów. Nie wiem, co inni na ten temat myśleli, ale ja, mając świadomość, że mogę być pożyteczny dla rządu i społeczeństwa, byłem dumny ze swojej pozycji.

<sup>155</sup> Piotr Karłowicz Szczebalski (1810-1886) – historyk i publicysta, naczelnik Warszawskiej Dyrekcji Szkolnej.

<sup>156</sup> Osip Siemionowicz Sidorski – naczelnik Suwalskiej Dyrekcji Szkolnej.

Podczas osiemnastoletniej służby w Królestwie Polskim poddany byłem wielu doświadczeniom moralnym, przeżyłem trudne i smutne epizody, o których jeszcze wspomnę, jednak z ogromnym żalem wspominam przyczyny mojego wyjazdu z Polski.

[126] W tamtym czasie przez Kraj przeszła silna epidemia cholery i z miasta się nie ruszaliśmy. Doktorzy byli rozbierani, a mieliśmy ich tylko trzech. Dobrą reputacją cieszyli się Mańkowski oraz Zawrocki i dlatego mieli dużo pacjentów. Goldsteyn miał ich mało i było mi go żal. Pamiętam jak kiedyś otrzymałem od dziedziczki Wolibner kartkę, w której informowała o chorobie męża i prosiła, by przysłać mu doktora. Ponieważ nie było w mieście ani Zawrockiego, ani Mańkowskiego, zaproponowałem Goldsteynowi, by pojechał przysłanym przez Wolibnerową powozem. Wolibner był bardzo bogatym ziemianinem i Goldsteyn ucieszył się, że otrzyma dobre honorarium. Pojechaliśmy razem i zastaliśmy Wolibnera w bardzo ciężkim stanie. Goldsteyn ze strachem zabrał się za leczenie, ale uratować chorego już nie zdołał. Wolibner zmarł.

Ponieważ Goldsteyna wezwano do innej wsi, nie miałem co tam robić i wróciłem do domu. Gdy przejeżdżałem przez miasto, żona Goldsteyna zauważyła mnie z okna swego domu, zatrzymała i spytała, gdzie jej mąż. Nie wiem dlaczego, postanowiłem sobie zażartować. Odpowiedziałem, że chorego Osipa Osipowicza zostawiłem w drgawkach. Zrobiło jej się słabo. Widząc to, wbiegłem do mieszkania i długo musiałem ją uspokajać, by uwierzyła, że był to głupi żart.

[127] Do żony Goldsteyna zalecał się Elsz., porucznik batalionu strzelców. Chociaż była już kobietą w zaawansowanym wieku i mało sympatyczną, doszło do tego, że w piętnastym roku małżeństwa, mając czworo dzieci, przyniosła mężowi kolejne. Potem rozwiodła się i zostawiwszy dzieci z byłym mężem wyszła za mąż za jakiegoś urzędnika z Petersburga.

Po Krupskim naczelnikiem powiatu został [Modest] Żegliński, który od początku nieprzyjaźnie odnosił się do Goldsteyna. W urzędzie miejsce Rodzińskiego zajął Prokopow. Zalecał się on do młodszej siostry Goldsteyna. Po jakimś czasie oświadczył się jej i został przyjęty. Żegliński jednak z niechęci do Goldsteyna nie chciał wydać zgody na ten ślub, co wywołało powszechne oburzenie. Prokopow i Goldsteyn zwrócili się do mnie o interwencję. Widząc, że Żegliński zamierza postawić na swoim, pojechałem do Warszawy. Wyjaśniłem gubernatorowi niezręczną sytuację, w jakiej znalazła się dziewczyna w związku z niedorzecznym uporem Żeglińskiego i otrzymałem od Medema zgodę na ich ślub. Narzeczeni pobrali się. Oczywiście

po tym fackie Prokopow nie miał życia u Żeglińskiego, przeniósł się więc do zarządu akcyzami. Jednak małżeństwo to nie było szczęśliwe. Po roku urodziły się im bliźnięta, które zmarły. Później urodziła się córka. Wkrótce jednak zmarł sam Prokopow, zostawiając wdowę z sierotką. [128] Zabrał je do siebie Goldsteyn.

Żegliński przyjechał do Grójca z żoną i małą córeczką. Był człowiekiem bardzo niesympatycznym, zgryźliwym i chamskim. Nie lubił towarzystwa, a jego żona odwrotnie – była wesołą i swobodną kobietą. Żegliński żył z nią niedługo. Zalecał się do niej porucznik batalionu strzelców Czyrkin. Uzyskawszy jej sympatię, namówił ją, by zostawiła męża i pojechała z nim do Petersburga, dokąd wybierał się na studia w Akademii Sztabu Generalnego. Potem urodziły im się dzieci. Czyrkin ukończył Akademię i został oficerem w Sztabie Generalnym. Podobno jednak to małżeństwo także zakończyło się rozwodem.

Ich ucieczka z Grójca była tak nieoczekiwana dla Żeglińskiego i innych osób, że początkowo nikt w to nie chciał uwierzyć. Żegliński nie był lubiany i wielu czerpało z tej historii złośliwą satysfakcję. Szczególnie cieszył się Goldsteyn, który uważał, że ucieczka żony Żeglińskiego była dowodem wyjątkowo trudnego charakteru jej męża. Potem jednak sam stracił żonę.

Dzieci nasze rosły, rozwijały się i były naszą radością. Pamiętam jak Kostia rozweselał nas swoim śpiewaniem. Bardzo lubił bawić się, stojąc przy stole. Pewnego razu zorganizowałem mu z książek zabawę w coś w rodzaju wiatraka. Tak mu się to spodobało, że zaczął śpiewać na wszelkie sposoby „Łagasak, tagadak, łagasak” i bębnić rączkami po stole. Co znaczyły te słowa, nawet on nie wiedział.

## [Rok 1874]

[129] Nadszedł rok 1874. Byłem już w pełni obeznany ze swoimi obowiązkami, z miejscowymi zwyczajami, dobrze rozumiałem język polski, dlatego nic nie wydawało mi się obce. Z rodziną i z ludźmi wokół żyłem w zgodzie. Wszędzie odnoszono się do mnie z życzliwością.

W tym samym roku nastąpiła zmiana naszych władz. Naczelnik okręgu, generał baron Fredericks, został gubernatorem w Irkucku. Na jego miejsce

mianowano pułkownika fligeladiutanta Orzewskiego<sup>157</sup>, człowieka względnie młodego i bardzo bogatego. Po jego przybyciu do Warszawy powinien był zameldować mu się, jako naczelnikowi okręgu, stary generał-major Wunsch, zasłużony podczas wojny krymskiej. Ta okoliczność była dla nas dosyć dziwna, nie w zwyczajach wojskowych, jednak los rozporządził się tak, że stary Wunsch krótko służył pod komendą dużo młodszego od siebie Orzewskiego. Zachorował i zmarł, pozostawiając po sobie wdowę i dorosłego syna.



*Piotr Orzewski*

Na pogrzeb generała Wunscha pułkownik Orzewski wezwał do Warszawy prawie wszystkich oficerów z okręgu, a ponieważ byłem dla rodziny Wunschów jednym z najbliższych znajomych, przyjechałem do Warszawy wcześniej. Udałem się do mieszkania generała, gdzie zastałem jego żonę i syna w gorzkich łzach. Orzewski, znając mój stosunek do zmarłego, [130] wezwał mnie do siebie. Powiedział, że życzy sobie, aby pogrzeb Wunscha odbył się z pełnym ceremoniałem, godnym starego generała. Oczywiście najpierw należało się dowiedzieć, jakimi środkami dysponuje wdowa. Dowiedziawszy się od niej, że po śmierci męża w domu zostało jedynie 67 rubli, udałem się do Orzewskiego i go o tym poinformowałem. Wówczas wypłacił mi 500 rubli, prosząc, abym zadysponował tymi pieniędzmi jak należy i poinformował go, gdyby środków zabrakło.

Wziąwszy na siebie te obowiązki, udałem się do biskupa i poprosiłem, aby wyznaczył do posługi kogoś z duchownych oraz zarządził uczestnictwo chóru. Wyjaśniłem mu też sytuację materialną wdowy. Biskup powiedział, że chętnie wszystkim się zajmie i żeby zapłacił tyle, ile mogę, nie wdając się w uzgodnienia z duchownymi i chórem. W magistracie poprosiłem pre-

<sup>157</sup> Piotr Wasiljewicz Orzewski (1839-1897) – od 1873 naczelnik Warszawskiego Okręgu Żandarmerii. W latach 1882-1887 – zastępca ministra spraw wewnętrznych i dowódca Korpusu Żandarmów, 1893-1897 – gubernator Wilna, Kowna i Grodna.



zydenta miasta o poczet, miejskie Towarzystwo Pogrzebowe – o katafalk, 6 koni i umundurowanych żałobników z pochodniami, komendanta natomiaszt – o oddział wojska i o białego konia. Ponieważ żona Wunscha była Polką i miała w Warszawie wielu znajomych, na pogrzeb przybyło mnóstwo ludzi. Była też obecna większość oficerów z okręgu.

[131] Do zaszczytnego uczestnictwa w ceremonii wyznaczono Wołyński Pułk Gwardyjski oraz szwadron ułanów. Wunsch miał wiele orderów – potrzeba było na nie sporo poduszek oraz oficerów do asysty z różnych oddziałów. Pogrzeb był rzeczywiście bardzo uroczysty. Orzewski podziękował mi, a ja przekazałem mu niewydane 160 rubli. Włożył je do koperty i polecił przekazać wdowie, nie mówiąc od kogo.

Po śmierci Wunscha na naczelnika Warszawskiego Gubernialnego Zarządu Żandarmerii wyznaczono generała-majora Szpiliotowa<sup>158</sup>, z którym najdłużej służyłem w Guberni Warszawskiej. Nasze stosunki były na tyle przyjacielskie, że nie krępując się poprosił mnie kiedyś o poręczenie weksla na 600 rubli. Cóż było robić – mimo trudnej sytuacji materialnej, musiałem pieniądze wyłożyć. Orzewski, naczelnik okręgu, wiedział o tym.

Moja sytuacja materialna z roku na rok się pogarszała, długi rosły i trzeba było płacić ogromne procenty.

## [Hrabina Prozor]

Latem 1875 r. poznałem w Górze Kalwarii dziedziczkę Pilicy<sup>159</sup> i Winiar<sup>160</sup>, hrabinę Prozor<sup>161</sup>. Udało mi się wynająć u niej w Winiarach dachę, w której nikt nie mieszkał. Znajdowała się w pięknym miejscu nad rzeką Pilicą, gdzie dzieci mogły się kąpać. Miejscowość ta na zawsze pozostanie w naszej pamięci – było tam niezwykle miło i przytulnie.

Hrabina Prozor [132] była kobietą w starszym wieku, ale zachowała urodę swej młodości. Kiedyś, za życia męża, odgrywała ważną rolę w warszawskim towarzystwie arystokratycznym. Była sympatyczna, wykształcona i wszyscy ją lubili. Dzięki bliskiej znajomości z hrabią

<sup>158</sup> Nikołaj Pietrowicz Szpiliotow (1819-?) – w żandarmerii w Królestwie Polskim od 1867 r.

<sup>159</sup> Wieś Pilica w pobliżu Warki nad rzeką Pilicą – 30 km. od Grójca.

<sup>160</sup> Wieś Winiary – teraz dzielnica Warki.

<sup>161</sup> Maria Prozor, z domu Grabowska (1826-1892), druga żona hrabiego Edwarda Prozora.

Adlerbergiem<sup>162</sup> jej niezwykłą urodę znał także Aleksander II. Hrabina dosyć często otrzymywała od niego ogromne sumy pieniędzy na zaspokajanie swoich arystokratycznych zachcianek. Pamiętam polecenie zarządcy Imperatorskiej Kwatery Głównej, abym spotkał się z hrabiną i oznajmił jej, że monarcha, zgodnie z prośbą, rozkazał wypłacić z Banku Polskiego 17 tys. rubli i że pieniądze te będą jej wyasygnowane przez warszawskiego gubernatora.

Innym razem otrzymała prawo na otwarcie na Nowym Świecie apteki. Sprzedawszy je, otrzymała 20 tys. rubli. Mimo tych subsydiów hrabina Prozor wiecznie potrzebowała pieniędzy. W rezultacie posiadłość Winiary została sprzedana na licytacji. Kobieta ta była niezwykła także z tego powodu, że dzień zamieniała w noc, a noc w dzień. Kładła się spać zwykle o piątej-szóstej nad ranem, spędziwszy całą noc w towarzystwie swoich dobrych znajomych. Miała ich wielu, dla niej poświęcali swój czas, byleby się tylko nie nudziła. Wstawała o trzeciej-czwartej po południu, obiad jadła o dziewiątej-dziesiątej wieczorem. Przestrzegała tego rozkładu do samej śmierci, a umarła w całkowitej nędzy.

Zawsze wkładała wiele pierścionków i gęstą woalkę. [133] Dużo paliła i nigdy nie przypalała papierosa sama. Używała mnóstwo kosmetyków i bała się zapalczanej siaraki. Byłem bardzo zaskoczony, gdy po raz pierwszy dała mi papierosa do przypalenia, a potem sama zaczęła go palić. Zawsze z uwagą odnosiła się do mojej rodziny.

Miała pasierba Maurycego<sup>163</sup>, z którego zrobiono kamerjunkra, choć był to głupi i nazbyt egzaltowany młody człowiek.



Maurycy Prozor

Mieszkało u niej sporo darmozjadów. Słynęła z dobroci, pomagała komu się da. Sprawy materialne tak ją przygniotły, że w ciągu kilku lat zadłużyła się u swojej służby – kucharzy, lokajów, stangretów oraz pokojówek – na sporą sumę i ludzie ci złożyli skargę u gubernatora. Pojechała wówczas do Warszawy i naczelnik okręgu

<sup>162</sup> Aleksander Władimirowicz Adlerberg (1818-1888) – generał, minister na carskim dworze.

<sup>163</sup> Maurycy Prozor (1849-1928) – syn pierwszej żony Edwarda Prozora, Marii Zaleskiej, przyszły dyplomata rosyjski. Zob. <http://www.rusdiplomats.narod.ru/prozor-me.html>

poprosił mnie, abym ją bronił i nie pozwolił służbie ją kompromitować. Sprawdziwszy, jak się sprawy mają, poradziłem jej, aby zaspokoila jednak roszczenia swoich pracowników. Z pomocą miejscowego księdza, który bywał u niej codziennie, udało się jej z nimi rozliczyć. Połowę służby potem zwolniła. Natomiast stary kucharz był na tyle hrabinie oddany, że zgodził się pracować bez zapłaty i był przy niej do śmierci. Jej krewni – hrabia Grabowski<sup>164</sup> i jego siostra, stara panna Ludwika – nie wiedzieli czym jest praca, byli bez środków do życia i pozostawali na jej utrzymaniu.

## [Lato w Winiarach]

[134] Podczas naszego pobytu na dacy w Winiarach przyjeżdżali czasem do nas znajomi, najczęściej Tomilinowie. Dacza znajdowała się dwie wiorsty od Winiar, gdzie zaopatrywaliśmy się w różne produkty. Pod Warką mieszkał ziemianin W. Michalczewski, z którym także się zaprzyjaźniliśmy i odwiedzaliśmy nawzajem.

Wśród ziemian można było spotkać masę ludzi godnych zaufania i ani trochę nie stroniących od Rosjan. Spotykało się jednak też i bardzo nieżyczliwych wobec nas i wobec rządu. Ci, którzy ucierpieli podczas powstania, byli z reguły ludźmi przyzwoitymi. Wielu z nich po powrocie do Kraju po amnestii – z Syberii, z Rosji, z zesłania – stawało przed poważnymi materialnymi i moralnymi problemami.

Pamiętam pewne zdarzenie. Pewnego razu przyjechał do mnie ziemianin Wilkoński i przedstawił mi swego syna, który powrócił z zesłania. Jakiś czas później przyjechał sam młody Wilkoński i nieco zmieszany zwrócił się do mnie z następującą prośbą: „Panie naczelniku! Proszę wybaczyć mi śmiałość, ale pokornie [135] proszę o radę: co mam zrobić, żeby mnie znowu zesłano w trybie administracyjnym na Sybir?”.

Przyznam się, że pytanie to bardzo mnie zdziwiło. Widząc moje zakłopotanie, szczerze, ze łzami w oczach wyznał mi, że wiedzie ciężkie, przygnębiające życie. Na Syberii był dobrze urządzony – prowadził sklepik z różnymi drobiazgami, dzięki któremu miał własne środki i radził sobie, a po powrocie do kraju cierpi straszną biedę. Dokuczają mu nie tylko obcy, ale i własny ojciec, przez którego żyć mu się nie chce.

<sup>164</sup> Najprawdopodobniej jej brat, stary kawaler – Stanisław Grabowski (1831-?).

Poradziłem mu, by się uspokoił i postarał się czymś zająć. Obiecałem, że pomogę znaleźć mu posadę. Pożegnał się ze mną i odjechał, a tydzień później dowiedziałem się, że się powiesił. Fakt ten bardzo mnie zasmucił. Wszyscy osądzili starego Wilkońskiego za despotyzm i okrutny stosunek do syna.

[136] Gdy przeprowadziliśmy się znów do miasta, zamieszkaliśmy w kozszarach. Odincow z batalionem został przeniesiony do Włocławka (też w Guberni Warszawskiej), a na miejsce strzelców przybył batalion Pułku Smoleńskiego<sup>165</sup>, którym dowodził pułkownik Gałachow. Pułk stacjonował w Kozienicach w Guberni Radomskiej.



Na początku stycznia przyjechała do nas w gości matka żony, a 21-go urodziła się nam córka Wiera. Chrzestnymi była babcia i zaocznie brat Arkadij. Żona nie mogła karmić sama, wzięliśmy więc mamkę, ta jednak wkrótce zachorowała i zmarła w szpitalu. Trzeba było znaleźć inną.

*Wiera de Lazari*

Wiosną wszyscy pojechaliśmy w odwiedziny do ziemianina Michalczewskiego. Matce żony bardzo spodobało się, jak nas tam przyjęto.

## [Zakup majątku]

Przez dłuższy czas nie siadałem do pisanie wspomnień. Teraz mam już 60 lat i wspominam dalej.

Po narodzinach córki Wiery, po jej chrzcinach, matka żony była u nas jeszcze przez cztery miesiące. W marcu przyjechał też Arkadij. Odwiedzali nas również oficerowie saperów Gołowkin, Chonski i Gołubinin, którzy przychodzili do nas pieszo z Góry Kalwarii (30 wiorst od Grójca).

W tamtym czasie każdego roku w Królestwie Polskim Urząd Skarbu Pań-

<sup>165</sup> 25-y Smoleński Pułk Piechoty.



stwa sprzedawał skonfiskowane ziemiańskie posiadłości [137] oraz ziemie odebrane księżom za udział w powstaniu. Sprzedawano je urzędnikom oraz mieszkańcom rosyjskiego pochodzenia z dużą zniżką – po licytacji płacono się 10% wartości, a resztę rozkładano na raty, które należało spłacić w ciągu trzydziestu sześciu lub czterdziestu dwóch lat, w zależności od decyzji kupującego. Ziemie te po zakupie oddawano zwykle warendę miejscowym mieszkańcom na dłuższy okres, co dawało pewne materialne wsparcie biedującym urzędnikom rosyjskim. Po rozliczeniu ziemia stawała się ich własnością.

Pod samym Grójcem także były kawałki ziemi kościelnej, którą skarb państwa oddawał warendę i którą można było kupić na ogólnych warunkach. Chcąc jakoś poprawić naszą sytuację życiową, postanowiłem kupić taką działkę, aby zbudować na niej niewielki dworek. Pojechałem więc do Warszawy i poprosiłem, aby wystawiono upatrzoną przeze mnie działkę na sprzedaż, gdyż miałem zamiar kupić ją na licytacji.

[138] Zamiaru tego nie ukrywałem przed komisarzem Dobrodziejewem, który, jak wspomniałem wyżej, stale jadał u nas obiady. Dobrodziejew wykorzystał fakt, że przegapiłem ogłoszenie o terminie licytacji i razem z Dobrolubowem kupił ją, informując mnie o tym po przyjeździe z Warszawy. Oznajmił mi jednocześnie, że zapłacił za nią 10 tys. rubli, jednak, jeśli chcę – odsprzeda mi ją za 11 tys. 500, czyli za odstępnę weźmie 1500 rubli.

Z pomocą Arkadija, brata żony, udało mi się w 1876 roku nabyć tę ziemię i od tego czasu zaczęło się nasze aktywne życie. Zapanowała też radość z faktu, że jesteśmy właścicielami ziemskimi.

Ponieważ pod zabudowę posiadłości rząd zezwalał na wydanie drewna budowlanego z lasów państwowych na kwotę 10% wartości zakupionej ziemi, wystarałem się w Warszawie o wyasygnowanie mi tego drewna z nadleśnictwa w Grodzisku za 1000 rubli po cenie urzędowej. Część sprzedałem za 2200 rubli. Za te pieniądze przystąpiłem do budowy nowych [139] i przebudowy starych budynków folwarku. Wszystko zostało wykonane w ciągu 1876 roku. Sasza, będąca w tym czasie w ciąży, energicznie mi pomagała w zagospodarowaniu dworku, zakupie inwentarza i w gospodarowaniu. Całe dnie, od rana do późnego wieczora spędzaliśmy razem z dziećmi na budowie. Na początku 1877 roku staliśmy się prawdziwymi gospodarzami na naszym chutorze. Zbierali się u nas goście, znajomi z Grójca, a w szczególności rodzina Radwana. Była z nami bona naszych dzieci, Maria Uljanowna, dla której byliśmy rodziną. Był to piękny okres naszego życia w Królestwie Polskim.

27 sierpnia żona urodziła córkę, której daliśmy na imię Ksienia. Dla tego dziecka również wzięliśmy mamkę, bardzo dobrą, łagodną i sympatyczną kobietę.

### *Wiera i Ksienia*

Moją działalność służbową doceniał przełożony oraz przedstawiciele innych instytucji. Szczególną sympatię okazywał mi warszawski gubernator baron Medem, [140] kurator warszawskiego okręgu szkolnego Apuchtin<sup>166</sup> oraz naczelnik Warszawskiej Dyrekcji Szkolnej Szczebalski. Obowiązków służbowych miałem dużo i były one trudne. Od członków



korpusu żandarmów wymagano swobodnego taktu, umiejętności radzenia sobie w środowisku zróżnicowanej społeczności oraz niepopelniania błędów w charakteryzowaniu poglądów poszczególnych obywateli i całego społeczeństwa.

Niejednokrotnie stawały przede mną problemy moralne. Współczułem młodzieży, zaangażowanej w ruch społeczno-rewolucyjny, ilekroć dochodziło do rewizji, aresztowań i przesłuchań. Bardzo wielu tych młodych, dobrze wykształconych, lecz źle ukierunkowanych ludzi, zagubiła drogę prawdy i poświęciła się ruchowi, kierowanemu z zagranicy. Zagranica była blisko i wiele osób uciekało tam przed prześladowaniami, pozostawiając w kraju zatrute korzenie nauk społecznych.

Nasze wspaniałe dzieci rosły i przysparzały nam wiele radości. Na ich rozwój fizyczny dobry wpływ miał nasz chutor, na którym spędzaliśmy całe dnie. Interesowały się naszym gospodarstwem, szczególnie podczas [141] sianokosów i zniw. Gdy składano siano, wszystkie dzieci miały wspaniałą zabawę. Właziły na stogi, skakały stamtąd na podwożone kopy, zagrzebywały się w nich i przez całe lato do syta korzystały ze świeżego powietrza. Chutor uzdrowił życie całej naszej rodziny i polepszył naszą sytuację materialną.

<sup>166</sup> Aleksander Lwowicz Apuchtin (1822-1903) – kurator warszawskiego okręgu szkolnego w latach 1879-1897.

Kostia bardzo lubił podczas młócki poganiać konia przy dyszlu młockarni i robił to ze świadomością przysparzania korzyści gospodarstwu.

Osobą bardzo nam oddaną w Grójcu była Żydówka Kolejwa. Spędzała w naszej kuchni całe dnie i we wszystkim nam pomagała. Dzieci bardzo się do niej przywiązały. Gdy pewnego razu zapytałem małą Żenię, czy chce z Kolejwą pojechać do Warszawy, zgodziła się bez zastanowienia, ubrała się szybko, nałożyła palto, wyszła przed dom i rzuciła się na ręce Kolejwy. Bardzo była rozczarowana, gdy kazaliśmy jej wrócić. Trudno było ją namówić, by się rozebrała i została w domu.

[142] Uraziliśmy jej ambicję. Żenia była bardzo ambitną i obrażalską dziewczynką. Pewnego razu krzyknąłem na nią i nazwałem głupią. Tak bardzo się obraziła, że przez dwa dni nie odzywała się do mnie. Fizycznie była bardzo delikatna i chorowita. W odróżnieniu od niej Sonia była krzepkiego zdrowia, ale małomówna. Nazywałem Sonię żołnierzykiem. Okazywała mi szczególną sympatię. Bywało, że po obiedzie, narzuciwszy na siebie tużurek, kładłem się, by odpocząć. Gdy tylko Sonia zauważyła, że się kładę, natychmiast przychodziła do łóżka i nie mówiąc ani słowa kładła się obok mnie, ciągnąc na siebie tużurek i słodko zasypiała. Przyzwyczajenie to pozostało jej na długo.

W gospodarowaniu na chutorze bardzo pomagał nam żandarm Iszczuk, człowiek bardzo rodzinny. Za jego pomoc dałem mu mieszkanie. Mógł u nas trzymać dwie krowy. Każdemu z żandarmów wydzieliłem po kilka metrów ziemi na posadzenie kartofli, które dzięki temu mieli przez cały rok, a część nawet sprzedawali. W sąsiedztwie chutoru (przez miedzę) był kawałek pokościelnej ziemi „Worów”. Wziąłem tę ziemię warendę, a później kupiłem ją na licytacji w Warszawie na takich samych warunkach.

[143] Mimo naszej satysfakcji z życia w Grójcu i z bycia właścicielami ziemskimi, mimo zadowolenia z gospodarstwa, gdy pojawili się chętni dzierżawcy i możliwość, by bez wysiłku mieć wsparcie materialne, zgodziłem się oddać ziemię warendę. Warunki wydawały się opłacalne, dzierżawa długoterminowa, jednak później, gdy wypuściliśmy ze swych rąk chutor w Grójcu i ziemię w Worowie, nieraz narzekaliśmy. Do tej pory ta transakcja odbija się czkawką na naszej sytuacji materialnej. Mieszkaliśmy jeszcze jakiś czas w Grójcu i choć posiadłość została wydzierżawiona, interesowaliśmy się nią, bo mimo wszystko przynosiła pewien dochód.

30 sierpnia 1880 żona urodziła syna Saszę. Ojcem chrzestnym zgodził się być naczelnik powiatu wareckiego, kamerjunkier Krusenstern (kuzyn hra-

biego Kotzebue)<sup>167</sup>, który po chrzcinach zobowiązał się na piśmie, że gdy Sasza ukończy 10 lat, weźmie na siebie koszty jego dalszego wychowania i nauki. Niestety nie sądzone mu było obietnicę spełnić – [144] zmarł w dosyć młodym wieku.



*Aleksander (Sasza)*



## [W Warszawie]

Za zgodą generała Orzewskiego przeprowadziliśmy się do Warszawy, by dzieci mogły pójść do szkoły. Zachowałem poprzednie stanowisko. Posiadłość była wydzierżawiona. Fakt ten ostatecznie nadszarpnął stan naszych finansów i obciążył całe moje przyszłe życie. Wydawało się, że zakup ziemi będzie sprzyjał poprawieniu sytuacji materialnej. Początkowo wszystko szło dobrze i nasze położenie rzeczywiście się poprawiło. Gdy jednak oddaliśmy Worów warendę, a ściślej mówiąc, sprzedaliśmy go na fikcyjnych warunkach (Rosjanie często to praktykowali), wytoczono mi proces, który przegrałem. To był początek mojego permanentnego zadłużenia.

Gdy zamieszkaliśmy w Warszawie, Żenia i Sonia poszły do żeńskiego gimnazjum<sup>168</sup>, a Wiera i Ksienia do prywatnej szkoły Lebediewej. Kostia został oddany do Połockiego Korpusu Kadetów. Uczył się tam i zachowywał bardzo dobrze, rzadko korzystał z przepustek, a jeśli je brał – chodził do kapitana żandarmerii Iwaszki, który na moją prośbę opiekował się nim.

<sup>167</sup> Aleksander Aleksandrowicz Krusenstern (zmarł w 1887 r., pochowany został na Cmentarzu Wolskim w Warszawie).

<sup>168</sup> W budynku przy ul. Krakowskie Przedmieście 36. Zob. [http://warszawa.gazeta.pl/warszawa/1,34880,9357032,Ponura\\_szkola\\_noblistkiprzy\\_Krakowskim\\_Przedmiesciu.html](http://warszawa.gazeta.pl/warszawa/1,34880,9357032,Ponura_szkola_noblistkiprzy_Krakowskim_Przedmiesciu.html)





*Kadet Kostia*

Gdy w Warszawie generał-gubernatorem został Kotzebue<sup>169</sup>, wraz z nim przyjechał książę Dołgorukow<sup>170</sup> jako urzędnik do specjalnych poruczeń. Znałem go jeszcze z czasów mojej służby w pułku gwardyjskim. Odwiedzaliśmy razem znane domy w Petersburgu. W tamtym czasie niczym się nie zajmował i hulał, jak wszyscy utytułowani młodzi [145] ludzie, jeśli tylko mieli na to środki („Co po tytule, kiedy pusto w szkatule?” – jak mówią Polacy). Los uśmiechnął się do tego książątka, gdy jego rodzona siostra Jekatierina Michajłowna<sup>171</sup>

zajęła ważne miejsce w historii w czasie ostatnich lat rządów imperatora Aleksandra II (została jego żoną jako księżna Jurjewska). Wszyscy na wyścigi starali się zapewnić odpowiednią pozycję służbową i towarzyską temu Wasi Dołgorukowowi.

I oto, gdy po latach spotkaliśmy się w Warszawie, nasza znajomość na nowo ożyła. Poznał moją rodzinę, jednak zachowywał się wobec mnie już z wyższością i protekcyjnie. Z kamerjunkra zrobiono z niego szambelana i radcę stanu. Orzewski był karierowiczem, nie znał przeszłości Dołgorukowa i na rękę było mu przejście z nim na przyjacielskie „ty”. Wiedział też, jaki jest mój stosunek do Wasi. Gdy zmarł wicegubernator Daniłow<sup>172</sup>, na to stanowisko mianowano Dołgorukowa. Później odszedł radomski gubernator Anuczin<sup>173</sup> i jego miejsce zajął Dołgorukow jako rzeczywisty radca stanu. Orzewski zaś został zastępcą ministra, dowódcą Korpusu Żandarmów i sze-

<sup>169</sup> Paweł Jestańjewicz Kotzebue (1801-1884) – funkcję warszawskiego generała-gubernatora i dowódcy Warszawskiego Okręgu Wojskowego pełnił w latach 1874-1880.

<sup>170</sup> Wasilij Michajłowicz Dołgorukow (1840 -1910).

<sup>171</sup> Jekatierina Michajłowna Dołgorukowa (1847-1922) – druga (1866), morganatyczna żona Aleksandra II, wcześniej jego kochanka.

<sup>172</sup> Konstantin Dmitrijewicz Daniłow – pełnił funkcję wicegubernatora Guberni Warszawskiej w latach 1866-1876.

<sup>173</sup> Dmitrij Gawriłowicz Anuczin (1833-1900) – radomski gubernator w latach 1867-1879.

fem policji. Na miejsce Orzewskiego naczelnikiem okręgu został Kutajsow<sup>174</sup> (20 kwietnia mianowano mnie na majora).

W 1881 roku Dołgorukow często przyjeżdżał do Warszawy i zawsze mnie odwiedzał. (O swojej działalności służbowej nie będę tu pisał, ponieważ o przeszłych trzydziestu latach służby w korpusie żandarmów sporządziłem specjalne memorandum; zob. przypis<sup>175</sup>).

## [W Radomiu]

W Radomiu spotkałem się [146] z ciepłym i uprzejmym przyjęciem tamtejszej społeczności dzięki opinii Dołgorukowa, uprzedzającej mój przyjazd – dzięki peanom pochwalnym, które wyśpiewywał na mój temat w nieznanym mi jeszcze towarzystwie. Jak się później okazało miał w tym swój cel, co można wyczytać z mojego memorandum.

Naczelnikiem zarządu był w Radomiu pułkownik [Nikołaj] Janisz, człowiek stary i słaby. Jego żoną była bardzo młoda i sympatyczna kobieta. Wyszła za starego Janisza, gdy miała 17 lat, dzięki swemu byłemu opiekunowi, który zapewne widział w tym własny interes. Janisz, żeniąc się po raz trzeci, wziął wraz z żoną posag w postaci 30 tys. rubli. Mimo widocznego niedołęstwa Janisza, zastałem to małżeństwo z czwórką małoletnich dzieci.

Aby być konsekwentnym w swojej spowiedzi i mając świadomość, że zapozna się z nią moja żona i dzieci, szczerze wyjawię tajemnicę, którą ukrywałem do tej pory. Jestem przekonany, że moje dorosłe już dzieci (Kostia, Żenia i Sonia), widząc moje bliskie stosunki i sympatię do M.L., niezaskuszenie podejrzewają mnie, że zdradzałem ich matkę. Jestem przekonany, że moja żona także popełnia ten błąd. Niechaj Bóg będzie świadkiem, na ile ja, jako mąż i ojciec, zasłużyłem sobie na potępienie z ich strony.

Opowiem tu o całej historii mojego romansu z tą kobietą, o ile moje stosunki z nią można nazwać romansem. Janisz był człowiekiem nieczułym. Całe życie pozostawał na utrzymaniu innych, nigdy niczym się nie zajmował, a narodziny kolejnych dzieci traktował jako rezultat zaspokojenia swojej żądzy. W żonie nie dostrzegał żadnych ludzkich zalet, traktował ją wy-

<sup>174</sup> Paweł Ippolitowicz Kutajsow (1837-1911) – naczelnik warszawskiego okręgu żandarmerii w latach 1882-1884.

<sup>175</sup> Przypis Nikołaja de Lazari: Charakterystykę Dołgorukowa i tamtego służbowego życia przedstawiłem w osobnym „Memorandum doświadczonego żandarma”, 19 lutego 1898 r., Omsk. [Dokument nie zachował się].

łącznie jak swoją samicę. Był zapalonym graczem, rozrzutnikiem i pijakiem. Obrzydl żonie. Roztrwonił cały jej majątek, nie zostawiwszy niczego dla niej i dzieci. Dwa razy wyciągała go z długów [147] przy pomocy swego brata, który pożyczał jej pieniądze.

W tych warunkach poznałem M.L. i na tyle zyskałem jej sympatię, że zaczęła mnie prosić, abym częściej ją odwiedzał, gdyż mąż spędzał każdy wieczór w klubie i czuła się samotna. W te wieczory, gdy byliśmy sam na sam, dawała upust swoim żalom, a ja, sympatyzując z nią, współczułem jej gorzkiemu losowi. Tak przyzwyczaiła się do mojego towarzystwa, że było jej przykro, gdy nie przychodziłem przez kolejne wieczory. Aby zmusić mnie do spędzenia z nią czasu, wiedząc, że lubię grę w karty, zaczęła organizować u siebie partyjki.

Tak mijał czas, nasza wzajemna sympatia rosła i M.L. zakochała się we mnie. Tego uczucia nie ukrywała przed swoją przyjaciółką, panią Tarchową, która robiła wszystko, żeby nas zbliżyć i sama zaczęła organizować partyjki, a ponieważ lubiła grać w winta, była dla nas partnerem. To prawda, że M.L. mi się podobała i widząc jej skłonność do mnie, często, nie krępując się obecnością innych osób, całowałem jej ręce, co oczywiście rozpalało jej namietność.

Pamiętam pewne zdarzenie. Janisz, otrzymawszy w południe telegram z Opoczna od rotmistrza Djakonowa, miał pojechać tam w sprawie jakiejś pożyczki na kwotę 1500 rubli. Oznajmił, że wyjedzie o piątej po obiedzie. Gdy wychodziłem z zarządu, M.L. poprosiła mnie, abym przyszedł do nich na obiad i odprowadził męża. Zjadłem u nich obiad i po odjeździe Janisza zacząłem się żegnać, żeby pójść do domu, wtedy M.L. poprosiła, abym przyszedł wieczorem na partyjkę.

Przyszedłem o ósmej wieczorem i, nie widząc nikogo z partnerów, pytam: „A kto będzie?” Nie wiem, czy zgodnie z prawdą, czy nie, odpowiedziała, że zaprosiła Tarchową i Gorielowa, [148] jednak oboje przysłali wiadomość, że przyjść nie mogą. Poprosiła, abym został na herbacie i zjadł z nią kolację. Zgodziłem się. Po herbacie zaprosiła mnie do sypialni (sypialnia składała się z 2 pokoi, w jednym stały łóżka, w drugim był jej buduar). Usadziła mnie w fotelu przy stoliku, podała czasopismo „Wiestnik Jewropy” i poprosiła, abym przeczytał jej o czymś. Sama wzięła robótkę i zaczęła słuchać. Zacząłem czytać. Co chwilę wychodziła do sypialni dzieci i skarżyła się, że jej gorąco. Zdjęła gorset i założyła bluzkę. W pokoju dziecięcym zrobiło się cicho – dzieci zasnęły. Zajrzała znowu do nich i mówi: „No, dzieci się zmęczyły, śpią!”. I rzuciła mi się na szyję, zaczęła mnie całować w usta, oczy, czoło

i przyciskać się do mnie piersią. Odpowiadałem jej pocałunkami w szyję, piersi. Wzięła mnie za ręce, pociągnęła za sobą na tapczan, nie wypuszczając ze swoich objęć. Jednak Bóg uchronił mnie przed grzechem. Opamiętałem się na czas, zerwałem i wpadłem w histerię. Uspokoilem się, gdy zobaczyłem, że ona też płacze.

Po tym incydencie zacząłem unikać przebywania z nią sam na sam, jednak ciągnęło mnie do niej. Ukształtowały się między nami takie stosunki, że tuląc się do siebie, pozwalaliśmy sobie na wiele, jednak do zdrady małżeńskiej nie dochodziło. Tego grzechu nie popełniłem.

Świadectwem niechaj będzie korespondencja po naszym rozstaniu. Zbyt cenię sobie miłość mojej żony, bym mógł zdecydować się na grzech z inną kobietą. Do tej pory kocham M.L. Mam świadomość, że jej przywiązanie do mnie jest na tyle silne, że w każdej chwili gotowa jest mi się oddać. Sam ten fakt powoduje, że zawsze będę jej wiernym przyjacielem i rodzonym bratem. Te uczucia do niej pójdą ze mną do grobu. Ona o tym wie. Jeżeli M.L. [149] kiedyś kogoś kochała i kocha nadal, to tylko mnie. Tego jestem pewien.

Janisz znowu popadł w karciane długi. Oddawszy wszystkie otrzymane pieniądze, wciąż winien był 3 tys. rubli. Obiecał spłacić ten dług w ciągu 10 dni. Przedstawiwszy żonie sytuację, poprosił ją, by po raz ostatni pojechała do Czerepowca i wzięła od brata pieniądze na spłatę. M.L. ze łzami w oczach wyjechała z Radomia i wróciła z 3 tys. rubli. Dając je mężowi, poprosiła go w mojej obecności, by przysiągł, że porzuci hazard raz na zawsze. Janisz ukląkł przed ikoną i złożył przysięgę.

Minął jakiś czas. Pewnego razu przyszedłem do zarządu o dziesiątej rano, ale Janisza nie zastałem. Żandarm zameldował mi, że pułkownik nie wrócił jeszcze z kart po wczorajszym wieczorze. Po kilku minutach wszedł Janisz, blady, ręce się trzęsą i na moje pytanie: „Co się stało?” – odpowiada: „Przegrałem 1200 rubli”. Podczas tej rozmowy do pokoju weszła pokojówka i mówi do Janisza, że wzywa go pułkownikowa. Poszedł do sypialni i po dwóch minutach słyszę głos M.L.: „Nikołaju Nikołajewiczu, proszę szybko tu przyjść”.

Wchodzę do sypialni i zastaję ją w samej koszuli klęczącą na łóżku. Poprosiła, abym podszedł do niej i z płaczem rzuciła mi się na szyję. Janisz pyta: „Co to ma znaczyć?”, a ona łkając odpowiada: „To, że nie ma bliższego mi człowieka od Nikołaja Nikołajewicza i skoro on był świadkiem, jako mój jedyny przyjaciel, twojej przysięgi na ikonę, że nie będziesz grać, to bądź teraz ty świadkiem mojej przysięgi o wieczystej miłości do niego. Jesteś łajdakiem, draniem i kochać ciebie nie jestem w stanie”.



[150] Prócz tej sceny było też inne zdarzenie. Kiedyś rano przychodzę do nich i zastaję M.L. we łzach, pakującą rzeczy do wielkiego podróżnego kufra. Janisz wita się ze mną i prosi, abym namówił ją, by została. Chciała porzucić jego i dzieci, i wyjechać na zawsze. Po długich namowach i przekonywaniu, że skompromituje męża, siebie i rodzinę, zgodziła się zostać. Ponad trzy miesiące nie zamieniła z nim ani słowa. Gdyby nie moja interwencja, nieszczęsne dzieci zostałyby sierotami za życia matki.

Wszystko to zbliżyło ją do mnie. Ceniła mnie jako swego i jej rodziny wybawcę. Wszystkie moje dzieci pamiętają zapewne, że gdy Janisz po przejściu w stan spoczynku przeprowadził się z żoną do Petersburga, ich dzieci pozostały u nas na czas urzędowania się ich rodziców na nowym miejscu. Potem razem z Żenią i Sonią odwieźliśmy je tam. Tak wyglądały moje stosunki z M.L. Nie zasługują one na jakiekolwiek podejrzenia ze strony mojej żony i dzieci.



*Nikołaj de Lazari w Radomiu*

W Radomiu Żenia i Sonia poszły do gimnazjum. Mieszkała tam biedna rodzina Leonidowów – wdowa z czterema córkami. Jedną z córek, Olę, wziął na wychowanie Mieciołowski, kapitan intendencji wojskowej. Miał on żonę i dwóch synów. Żona Mieciołowskiego zaczęła robić wymówki mężowi, że całą uwagę poświęca Oli ze szkodą dla ich dzieci. Gdy usłyszałem to w ich domu, zaproponowałem, że wezmę tę dziewczynkę do siebie. Ucieszyli się z tej propozycji i oddali nam Olę. Skromna, dobra, grzeczna dziewczynka szybko zaprzyjaźniła się z naszymi córkami, jej rówieśnicami. Przyzwyczaiła się do nowej sytuacji i pokochała naszą rodzinę jak własną.

Troszczyliśmy się o nią tak samo, jak o nasze własne dzieci i do tej pory traktujemy ją jak rodzoną córkę. Po naszym wyjeździe z Radomia Ola ukończyła gimnazjum i studia felcherskie w Warszawie. Później została siostrą miłosierdzia w powiatowym szpitalu wojskowym, gdzie pracuje do dziś. [151] Pamięta o nas i koresponduje z nami.

W Radomiu spotkałem starego znajomego (podobno spokrewnionego

z nami), dowódcę 7. brygady artylerii – generała-majora Iwana Konstantinowicza Postowskiego<sup>176</sup>, jego żonę Marię Pietrowną oraz ich trzech synów i cztery córki. Bardzo się z tą rodziną zaprzyjaźniliśmy. Gdy Dołgorukow wyjechał do Jekatierinosławia<sup>177</sup>, gubernatorem w Radomiu został Arkadij Andriejewicz Tołoczanow<sup>178</sup>, człowiek dobrze wychowany, wykształcony i sympatyczny. Wszystkie te jego zalety były szczególnie dobrze widoczne, gdy porównało się go z pompadourem i sobiepanem Dołgorukowem. Za czasów Tołoczanowa zorganizowano ochronkę przy prawosławnej cerkwi. Gdy wybrano mnie na sekretarza kurateli nad nią, rozpocząłem szeroką działalność społeczną. Początkowo kuratelą objęto trzy sieroty i zebrano na ten cel około 2 tys. rubli. W czasie mojego kierowania kuratelą liczba sierot zwiększyła się do 24 chłopców i dziewcząt, a kapitał wzrósł do 7000 rubli.

[Na tym rękopis się kończy].

<sup>176</sup> Iwan Konstantinowicz Powstowski (1828-?). Zob. <http://regiment.ru/bio/P/130.htm>

<sup>177</sup> W.M. Dołgorukow w latach 1883-1884 był gubernatorem Jekatierinosławia (obecnie Dniepropietrowsk).

<sup>178</sup> Arkadij Adriejewicz Tołoczanow (1830-1897) był gubernatorem Radomia w latach 1883-1888.

## Aneks

### Przebieg służby Nikołaja de Lazari

Z Rozkazu Jego Imperatorskiej Wysokości Monarchy Nikołaja Aleksandrowicza Samodzierzcy Wszechrosyjskiego etc...

Okaziciel niniejszego generał-major Nikołaj Nikołajewicz de Lazari posiada order: Św. Włodzimierza 4 stopnia z kokardą za wysługę 25 lat w stopniach oficera, Św. Anny 3 stopnia, Św. Stanisława 3 stopnia z mieczami i kokardą. Medale: brązowy za stłumienie w Królestwie Polskim buntu w latach 1863 i 1864, srebrny ku pamięci panowania Imperatora Aleksandra III i brązowy ku pamięci panowania Imperatora Nikołaja I.

Urodził się 10 stycznia 1837 roku. Ze szlachty Guberni Taurydzkiej. Wyznania prawosławnego. Kształcił się w 2 Korpusie Kadetów, obecnie Szkoła Konstantynowska. Do służby wstąpił jako chorąży do Taurydzkiego Batalionu Straży Wewnętrznej 16 czerwca 1856 roku. Wyruszył do miejsca służby 28 czerwca, przybył 23 lipca 1856 roku. Przeniesiony rozkazem dowództwa do 54 Mińskiego Pułku Piechoty 16 kwietnia 1860 roku; wyruszył zgodnie z przeniesieniem 7 czerwca, przybył 27 czerwca. Awansowany na podporucznika 5 czerwca 1861 roku. Na rozkaz dowództwa przydzielony do 30 Połtawskiego Pułku Piechoty 1 listopada 1861 roku. Na rozkaz dowództwa przydzielony do 6 Lipawskiego Pułku Piechoty Księcia Karola Pruskiego, aż do przeniesienia doń, z mianowaniem na stanowisko oficera liniowego 2 dywizji piechoty 10 stycznia 1862 roku. Rozkazem Monarchy przeniesiony do 6 Lipawskiego Pułku Piechoty Księcia Karola Pruskiego 23 kwietnia 1862 roku. Na rozkaz dowództwa 2 dywizji piechoty mianowany na pełniącego obowiązki adiutanta Oddziału Wysokiego-Litewskiego do walki z polskimi buntownikami, dokąd wyruszył 24 lutego 1863 roku. Przybył z powrotem do dywizji sztabowej 26 czerwca 1863 roku. Za gorliwą służbę nagrodzony przez najmiłoścwiej panującego jednorazowo sto czterema rublami 3 lipca 1863 roku. Za wyróżniającą postawę, okazaną w walce z polskimi buntow-

nikami 21 kwietnia 1863 roku przy wsi Karniewo nagrodzony Orderem Św. Stanisława 3 stopnia z mieczami i kokardą 24 lipca 1863 roku. Zwolniony ze stanowiska dywizyjnego oficera liniowego 22 sierpnia 1863 roku. Przydzielony do Lejb-Gwardyjskiego Pułku Fińskiego na próbną służbę i przeniesiony doń 4 września 1863 roku. Wyruszył zgodnie z przeniesieniem 5 października, przybył 7 października. Na rozkaz dowództwa przeniesiony do Lejb-Gwardyjskiego Pułku Fińskiego jako chorąży rozkazem Monarchy z 5 maja 1864 roku, z podjęciem obowiązków od 17 kwietnia 1864 roku. Mianowany na podporucznika 27 marca 1866 roku. Przydzielony do piechoty w randze sztabskapitana ze skierowaniem do służby w urzędach cywilnych w Okręgu Północno-Zachodnim 18 kwietnia 1866 roku. Na własne życzenie przydzielony do Sztabu Korpusu Żandarmów 8 lipca 1867 roku. W ciągu tego czasu nie wpłacono ani 6% do kasy emerytalnej, ani dobrowolnej 6% i 3% składki. Rozkazem Monarchy przeniesiony do Korpusu Żandarmów 8 grudnia 1867 roku. Mianowany na zastępcę naczelnika Połtawskiego Gubernialnego Zarządu Żandarmerii 11 grudnia 1867 roku. Wyruszył do miejsca służby 22 grudnia, przybył 19 stycznia 1868 roku. Nagrodzony Orderem Św. Anny 3 stopnia 20 kwietnia 1869 roku. Mianowany na naczelnika Zarządu Żandarmerii powiatów grójeckiego i górnokalwaryjskiego (obecnie grójeckiego i błońskiego) 8 lutego 1872 roku; wyruszył do miejsca służby 25 marca, przybył 4 kwietnia 1872 roku. Za wyróżniającą się służbę awansowany na kapitana 16 kwietnia 1872 roku. Przez najmiłoścwiej panującego nagrodzony jednorazowo 125 rublami 28 marca 1877 roku. Za wyróżniającą się służbę awansowany na majora 20 kwietnia 1880 roku. Mianowany na naczelnika Zarządu Żandarmerii powiatów radomskiego, koneckiego i kozienickiego 15 września 1881 roku; wyruszył do miejsca służby 1 października, przybył 2 października 1881 roku. Rozkazem Monarchy awansowany na podpułkownika 6 maja 1884 roku. Przez najmiłoścwiej panującego nagrodzony Orderem Św. Włodzimierza 4 stopnia z kokardą za wysługę 25 lat w stopniach oficera 22 września 1884 roku. Przez najmiłoścwiej panującego nagrodzony jednorazowo 282 rublami 24 kwietnia 1888 roku. Mianowany na zastępcę naczelnika Tyfliskiego Gubernialnego Zarządu Żandarmerii w mieście Signaghi 11 października 1888 roku; wyruszył do miejsca służby 8 listopada, przybył 13 grudnia 1888 roku. Przez najmiłoścwiej panującego nagrodzony jednorazowym zasiłkiem na leczenie w kwocie 269 rubli 50 kopiejek 21 grudnia 1889 roku. Rozkazem Korpusu Żandarmów nr 22 mianowany na zastępcę naczelnika tegoż zarządu w mieście Tyflis 13 października 1890 roku. Rozkazem Korpusu Żandarmów nr 23 mianowany na pełniącego



obowiązki naczelnika Erewańskiego Gubernialnego Zarządu Żandarmerii 28 marca 1891 roku; wyruszył do miejsca służby 2 maja; przybył 4 maja 1891 roku. Rozkazem Monarchy awansowany za wyróżniającą się służbę na pułkownika z zatwierdzeniem tegoż stanowiska 5 kwietnia 1892 roku. Rozkazem Korpusu Żandarmów nr 88 mianowany na naczelnika Omskiego Zarządu Żandarmerii 11 września 1892 roku; wyruszył do miejsca służby 14 października; przybył 10 listopada 1892 roku. Rozkazem Monarchy z dnia 7 marca 1898 roku awansowany na stopień generała-majora ze zwolnieniem ze służby z mundurem i emeryturą ze Skarbu Państwa po osiemset sześćdziesiąt rubli rocznie oraz z kasy emerytalnej wojsk lądowych po tysiąc dwieście dziewięćdziesiąt rubli rocznie. Po wejściu w życie rozkazu Monarchy o zwolnieniu pełnił obowiązki na zajmowanym stanowisku naczelnika Omskiego Zarządu Żandarmerii do 21 czerwca 1898 roku aż do przekazania go osobie wyznaczonej nań. Służby cywilnej i z wyboru szlachty nie pełnił. Reskryptów i najwyższych nagród od Monarchy nie otrzymywał. Przebywał na urlopach: 14 dni od 24 września 1861 roku; 28 dni od 6 grudnia 1861 roku; dwa miesiące z zachowaniem pensji od 17 sierpnia 1864 roku; 3 miesiące i 28 dni z zachowaniem pensji od 26 marca 1866 roku; 8 dni od 15 kwietnia 1868 roku; 28 dni od 20 grudnia 1869 roku, przedłużony o 14 dni, przekroczył o 9 dni, przekroczenie przełożeni usprawiedliwili; 22 dni od 5 października 1871 roku; 14 dni od 10 sierpnia 1873 roku; 1 miesiąc i 9 dni z zachowaniem pensji od 22 czerwca 1875 roku; 11 dni od 4 sierpnia 1879 roku; 28 dni od 11 stycznia 1881 roku; 28 dni od 10 sierpnia 1883 roku; 14 dni od 23 sierpnia 1884 roku; 15 dni od 15 sierpnia 1886 roku; 28 dni od 6 maja 1888 roku; dwa miesiące z zachowaniem pensji od 7 września 1888 roku; 6 dni od 10 lutego 1895 roku; 8 dni od 17 czerwca 1895 roku; cztery miesiące z zachowaniem pensji od 27 czerwca 1897 roku i 7 dni od 2 marca 1898 roku. Urlopów na leczenie ran nie brał, w niewoli u nieprzyjaciela nie był.

Uczestniczył w walkach i bitwach: podczas tłumienia w Królestwie Polskim buntu od 2 stycznia do 28 sierpnia 1863 roku w oddziałach Wileńskiego Okręgu Wojskowego, oraz od 28 sierpnia do 5 października 1863 roku uczestniczył w ekspedycji wojskowej generała-majora Beklemiszewa w celu rozbicia pod wsią Hornowo szajki Latkowskiego, przebijającej się z Królestwa Polskiego do Puszczy Białowieskiej w Guberni Grodzieńskiej. Ranny ani kontuzjowany nie był. Na rozkaz dowództwa był odkomenderowany: w 1862 roku do Zarządu Płockiego Wydziału Wojskowego do wykonania obowiązków służbowych, gdzie przydzielono mu stanowisko młodszego urzędnika, które sprawował od 25 stycznia do 1 października 1862

roku; oraz w 1894 roku do miasta Krasnojarsk Guberni Jenisejskiej w celu wykonania polecenia dowódcy Korpusu Żandarmerii, gdzie przebywał do 29 czerwca 1894 roku. Ożeniony z córką rzeczywistego radcy stanu Engelgardta – Aleksandrą Aleksandrowną. Posiadłości rodowej lub nabytej ani on, ani żona, ani jego rodzice nie posiadają. Ma dzieci urodzone: Konstantina – 5 marca 1869 roku, Aleksandra – 13 sierpnia 1880 roku, oraz córki Jewgienię – 2 listopada 1870 roku, Sofię – 20 grudnia 1872 roku, Wierę – 21 stycznia 1875 roku i Ksienię – 27 sierpnia 1877 roku. Żona i dzieci są wiary prawosławnej. Sądzony z wpisem do sądowego rejestru karnego nie był. Podczas służby generała-majora de Lazari okoliczności, pozbawiających go prawa do uzyskania odznaczenia nienagannej służby lub przedłużających okres wysługi wymagany do tego odznaczenia, nie było. O czym podpisem i pieczęcią państwową poświadczam 18 czerwca 1889 roku, kwatera główna w mieście Irkuck. W tym dokumencie naniesiono poprawek pięć. Oryginał poświadczony podpisem.

W sumie dokument składa się z ponumerowanych, przesnurowanych i opieczętowanych pieczęcią Zarządu Syberyjskiego Okręgu Żandarmerii dwóch kart. Podpisał starszy adiutant Zarządu Syberyjskiego Okręgu Żandarmerii rotmistrz.

Imperator na wiernopoddańczy raport Jego Wysokości Szefa żandarmów o gorliwej i długoletniej służbie byłego naczelnika Omskiego Zarządu Żandarmerii, obecnie w stanie spoczynku generała-majora de Lazari 21 stycznia 1899 roku Monarszą Wolą zezwolił wyznaczyć mu w zamian zgodnej z zasadami (osiemset sześćdziesiąt rubli) podwyższoną emeryturę ze Skarbu Państwa po dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem rubli rocznie, o czym podpisem i pieczęcią państwową poświadczam.

23 kwietnia 1899 roku, kwatera główna, miasto Irkuck.

Oryginał podpisali: naczelnik Zarządu Syberyjskiego Okręgu Żandarmerii generał-major Demidow, starszy adiutant rotmistrz.

## Fotografie z lat późniejszych



*Nikołaj i Aleksandra de Lazari (koniec lat 90. XIX wieku)*



*Nikołaj z rodziną  
w Rudłowie;*

*Konstanty  
w Kazachstanie (1896)*

*oraz w Polsce,  
w Żuchowicach  
(początek XX w.)*







*Jewgenija Bażenowa i jej córki  
Nadieżda (1892-1966, Sablin)  
i Aleksandra (1893-1992, de Goguel)*

## Zdjęcia z lat 1900-1906



*Nadieżda i Aleksandra  
z Zofią de Lazari*



*Walentyna de Lazari (1893-1916) z Nadieżdą i Aleksandrą Bażenow*

### Aleksandra z wnuczkami



*Karykatura*

*Ivana (Wanieczki) de Lazari  
(1871-1931), syna Konstantego  
de Lazari – Konstantinowa  
(rys. z albumu N. i S. Legatów  
„Русский балет в карикатурах”,  
1903 r.)*

*oraz*

*Andrzeja de Lazari z kroniki  
zespołu „Bałalajki”  
(rys. Ani Lesińskiej, 1974 r.)*

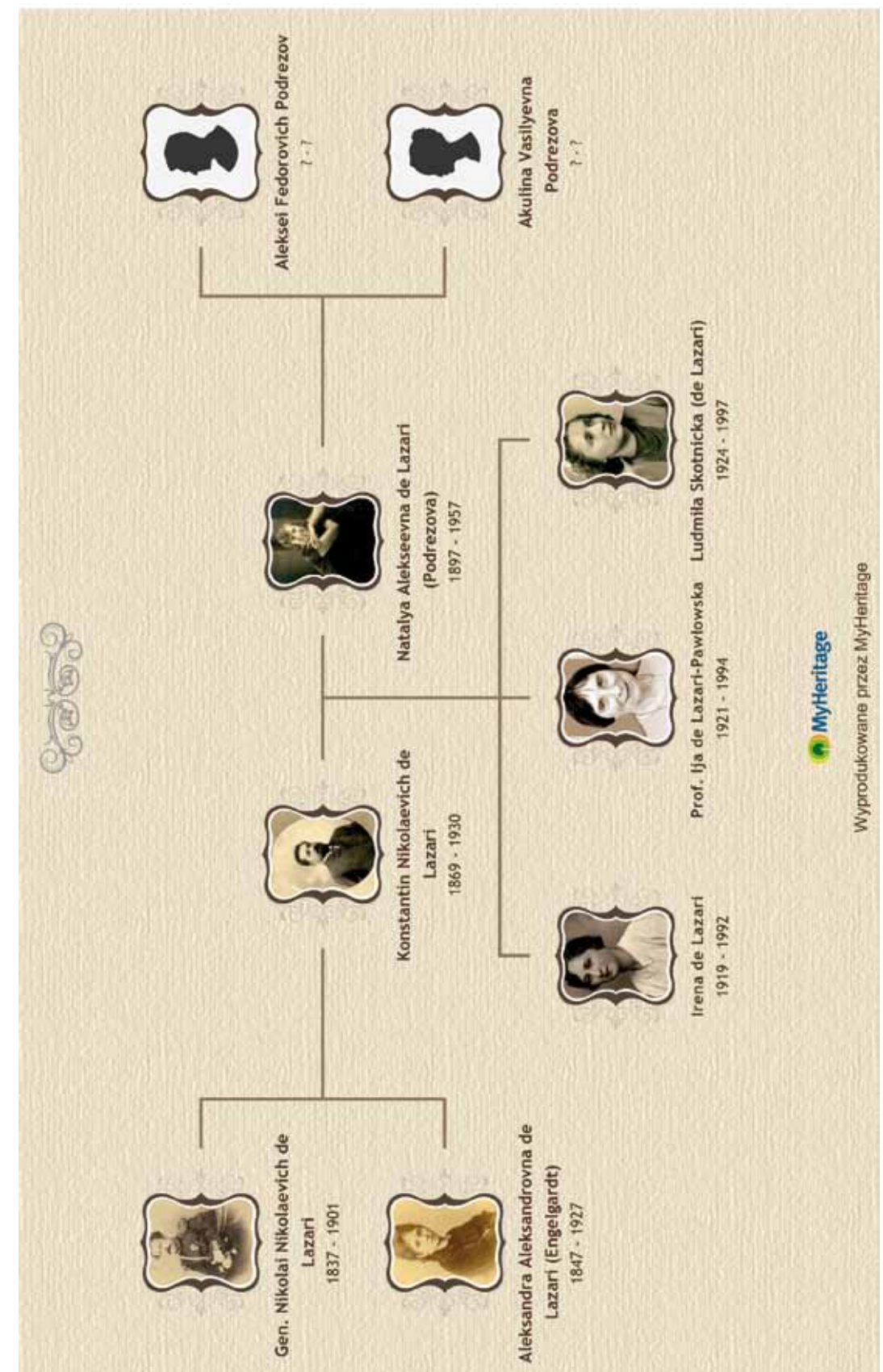
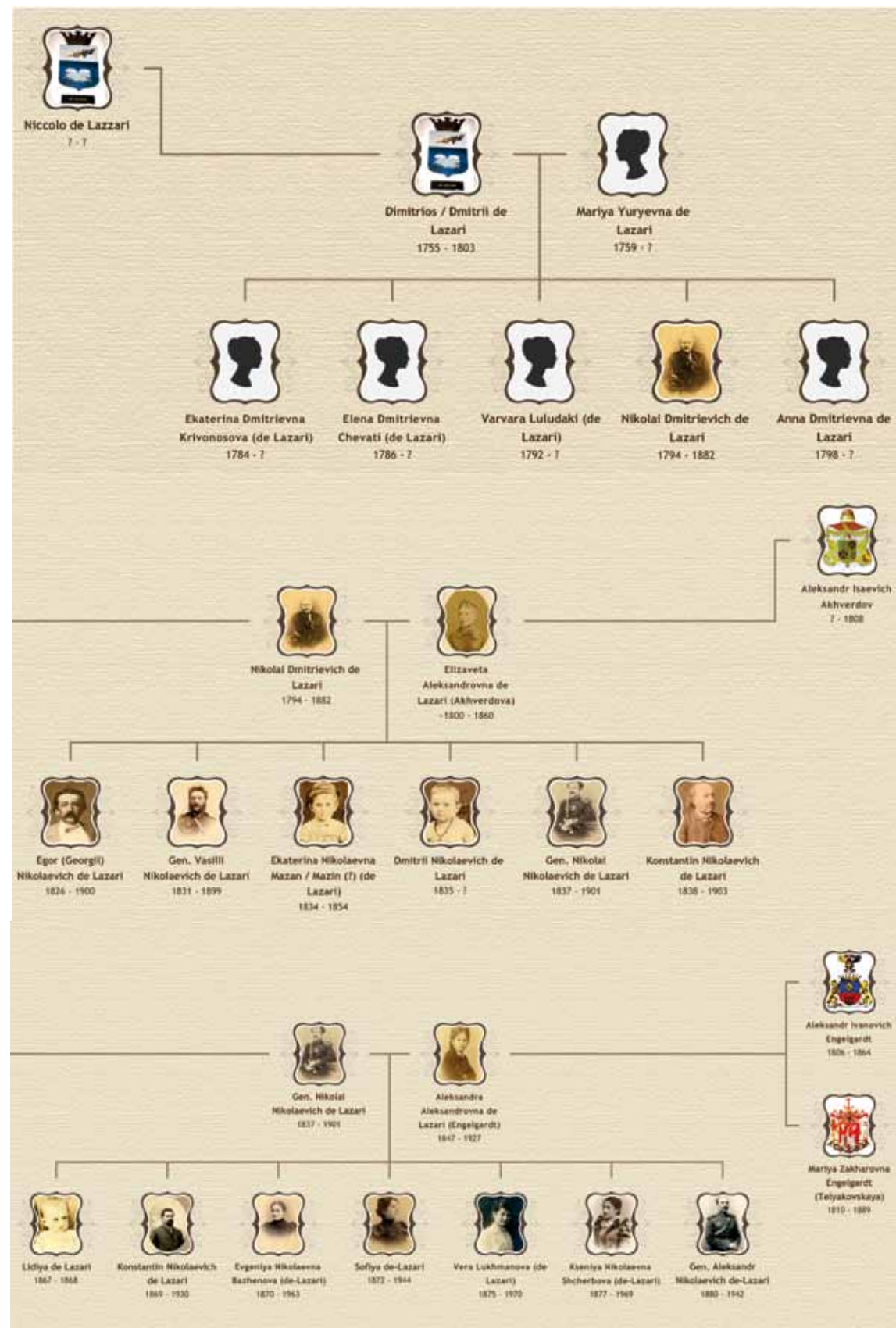


**DRZEWO**

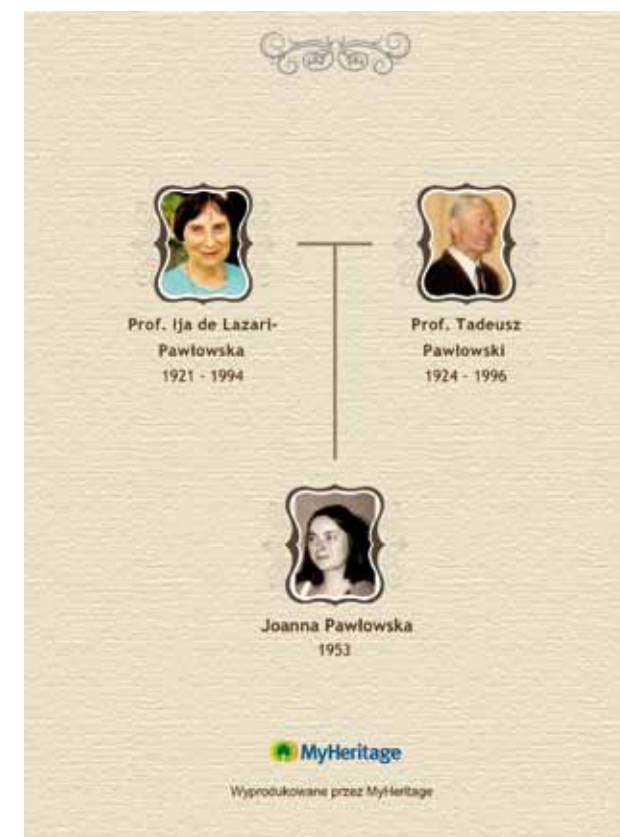
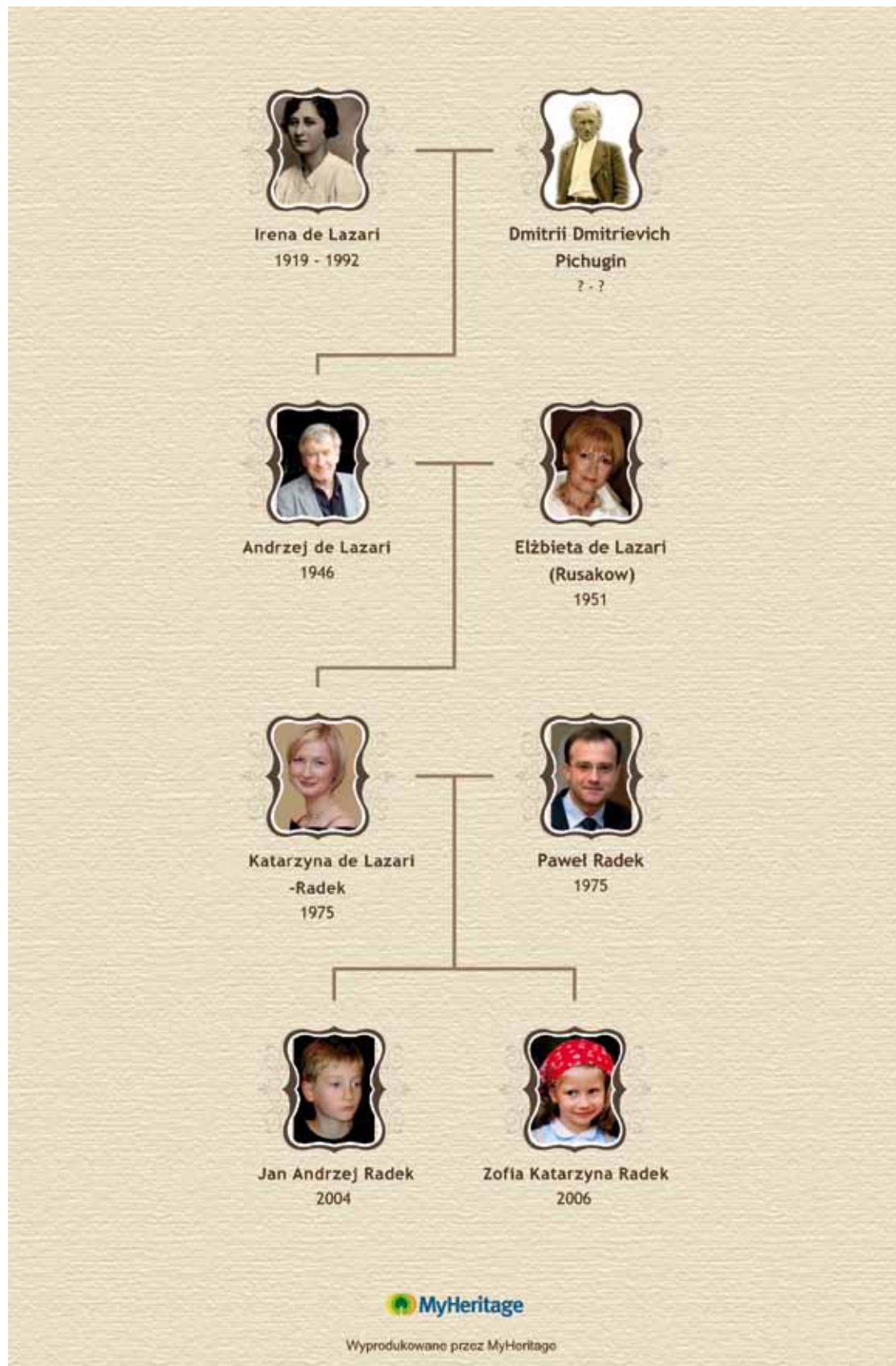
**GENEALOGICZNE**

*(wybrane strony)*

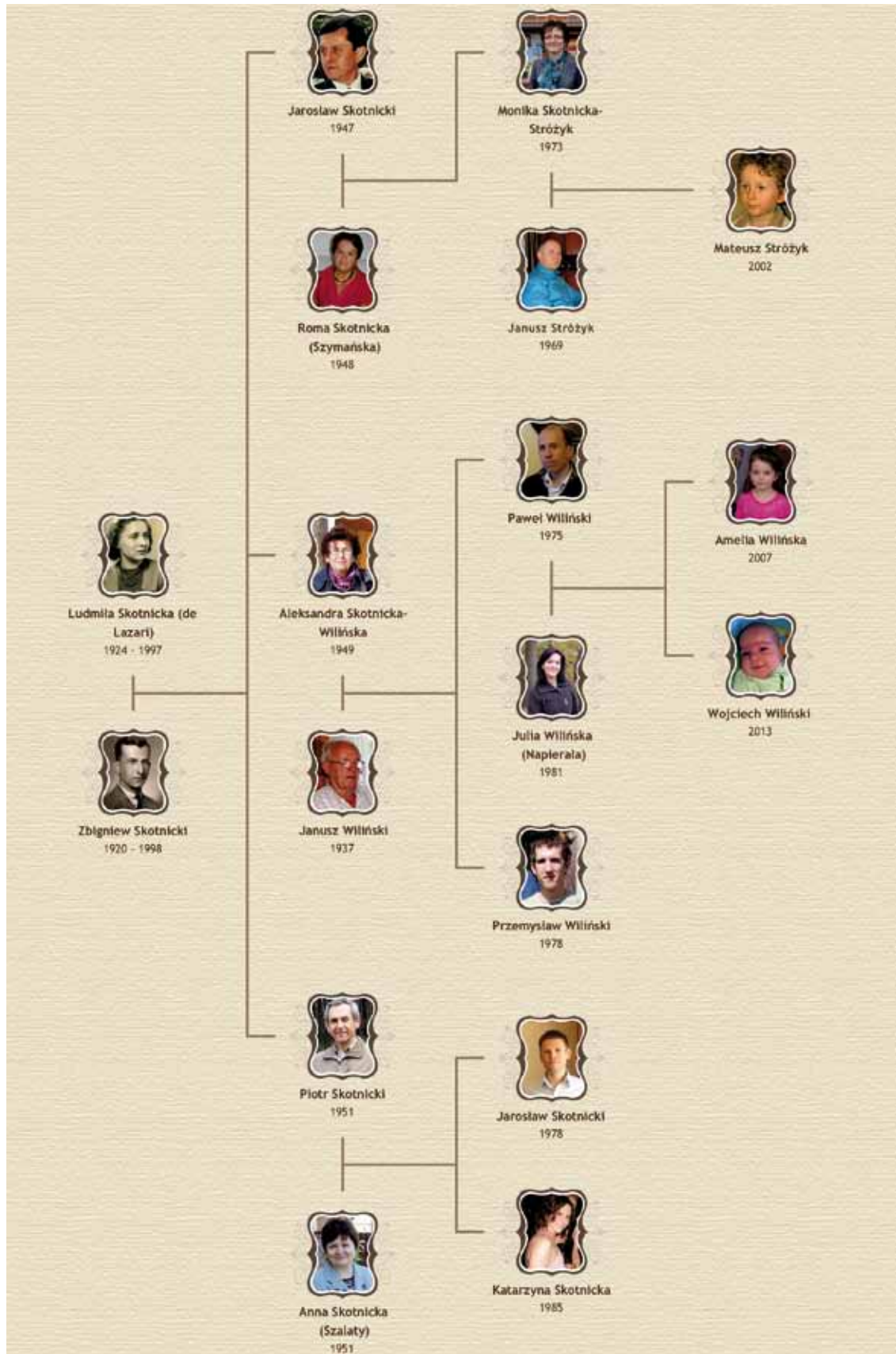












## POSŁOWIE

Nikołaj de Lazari nie był oczywiście beletrystą, jednak, gdy weźmiemy pod uwagę fakt, że zakończył jedynie korpus kadetów i niemal przez całe dorosłe życie był oficerem (najpierw liniowym, później żandarmerii), jego opowieść jest w pełni „literacka”. Literaturoznawcy oczywiście nie zadowolili, ale niejednemu historykowi może się przydać.

Starłem się „rozszyfrować” imiona i nazwiska oraz dodać do nich przypisy; nie z wszystkimi sobie poradziłem i będę wdzięczny tym czytelnikom, którzy są w stanie podpowiedzieć mi, o kim mowa w danym fragmencie tekstu.

Większość zamieszczonych zdjęć pochodzi z domowego archiwum – pozostawił je mój dziad Konstanty. Kilka otrzymałem od moich dalekich krewnych – od **Constantina de Goguela** z Londynu, **Andrieja Delazari** z Petersburga oraz od **Nikity Zujewa** z Lipawy (praprawnuk Dymitra Łuchmanowa). Pozostałe (nierodzinne) znalazłem w Internecie (własność publiczna).

Andrzej de Lazari

<http://www.strony.toya.net.pl/~delazari/>



**Prof. dr hab. Andrzej de Lazari** – wykłada na Uniwersytecie Łódzkim na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych. Wydał m.in.: *Idee w Rosji. Leksykon rosyjsko-polsko-angielski*, t. 1-5, Warszawa-Łódź 1999-2003; *W kręgu Fiodora Dostojewskiego. „Poczwinnictwo”, „Ibidem”,* Łódź 2000; *Katalog wzajemnych uprzedzeń Polaków i Rosjan*, PISM, Warszawa 2006; [z Olegiem Riabowem] *Polacy i Rosjanie we wzajemnej karykaturze*, PISM, Warszawa 2008; *Polskie i rosyjskie problemy z rosyjskością*, Wyd. UŁ, Łódź 2009; [z Olegiem Riabowem i Magdą Żakowską] *Europa i Niedźwiedź*, CPRDiP, Warszawa 2013.

45 lat temu stworzył orkiestrę bałajkową, grającą do tej pory na Uniwersytecie Łódzkim.





*Pradziadowie trwają w pamięci  
potomnych, albo słuch o nich  
ginie. Mój przetrwał, bo „rękopisy  
nie płoną”, a pradiad zostawił  
wspomnienia, dziad zaś masę zdjęć  
z przełomu XIX i XX wieku. Niech  
więc pamięć o przodkach trąfi teraz  
do wnuków, a w przyszłości dzięki  
tej książce również do kolejnych  
pokoleń...*

*Andrzej de Lazari*

